

Najsztab kupuje Solorza • Japonia wierzy w naszego jasnowidza •

**PRZE
KROJ**

nr 05 / 3006 • 2 lutego 2003 • cena 3,50 zł

(w tym 7% VAT)

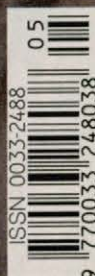
OSTATNIE CZyste SZALEŃSTWO

GALLIANO... na chwilę

rozproszył lęk świata

przed wojną...

Haute Couture



FOT. VEVENDER MEDIAN

JUŻ W KIOSKACH

PRZE
KROJ

RACZKOWSKI na Czwartek

VIVA!
nr 2 (150) 27 stycznia 2003 Cena 5,99 zł
(za tydzień 4 zł 99c)

W PREZENCIE
„WŁADCA PIERŚCIENI – DWIE WIEŻE”
wszystko o filmie

PLYTA
MULTIMEDIALNA
oraz SPECJALNY
DODATEK

DANUTA RINN
„Rozsyptałam się na kawałki”

Kobiety ROMANA POLANSKIEGO
Zobacz niezwykle zdjęcia!

EMINEM
Sprzedał matkę

Wizyta w nowym domu
JANA NOWAKA – JEZIORAŃSKIEGO

EXTRA
Przepraszam, czy tu kłoniują?

Przemysław Saleta z żoną Ewą

NAJGORĘTSZY ŚLUB TEJ ZIMY!

Wyjątkowe prezenty

DODATEK SPECJALNY 24 strony



PLYTA MULTIMEDIALNA
z interaktywnym przewodnikiem
po filmie i licznymi niespodziankami

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o procesie „Baraniny”, bo to tylko przedbiegi i z zaciekawieniem czekamy, jak austriacki system sprawiedliwości da sobie radę z naszym eksportowym mafioso, skoro austriacka policja tak długo dała mu się wodzić za nos.

...o rozważaniach polityków nad formą referendum akcesyjnego do Unii Europejskiej. Bo te dyskusje pokazują, że władza nie wierzy ani w obywatelski rozsądek, ani we własny autorytet, więc zrobiło się trochę śmieszno, choć i straszno.

...o świetnej trójcy nieświętej (księdzu – kiedyś opozycjoniście, byłym PRL-owskim cenzorze i łebkim prawniku), którzy wykorzystując kościelne wydawnictwo, oszukali budżet państwa na co najmniej 35 milionów złotych. Bo szkoda nam, że to udane porozumienie ponad podziałami dokonało się w pralni brudnych pieniędzy.

...o wirusie komputerowym, który w ciągu weekendu zaatakował 200 tysięcy serwerów internetowych, a wszystko nie bez udziału firmy Microsoft (producenta „dziurawego” programu) i niefrasobliwości właścicieli serwerów. Bo też pracujemy na komputerach i nie chcemy się narażać, choć czasem mamy wrażenie, że producenci wirtualnego świata zbyt nachalnie chcą nam pokazać, jak realna jest ich władza nad nami.

...o inicjatywie SLD-owskich senatorów, aby pozbawić Instytut Pamięci Narodowej jego pionu śledczego, bo premier Miller nie poparł nadgorliwców i sprawa upadła. Czyżby się dowiedział, że mieliśmy o tym napisać?



MYŚL TYGODNIA

Najlepszym gazem jest gaz własny.

Wicepremier MAREK POL
o zmianie umowy
na dostawę gazu z Rosji

spis
prawdziwych
treści
s. 21

POŻARY BUSZU PO RAZ PIERWSZY WDARŁY SIĘ NA PRZEDMIEŚCIA CANBERRY. JAK DOTAŁO DO NIEMIE POCHŁONĘŁY 530 DOMÓW I ZMUSIŁY DO UCIECZKI KILKA TYSIĘCY LUDZI

OGIEN DO NIEBA

W Canberze księżyc
jest żółty od popiołów.
Dym z pożarów,
które zawładnęły
wschodnim wybrzeżem
Australii, widać
już nawet z kosmosu

MAX SUSKI

Plonący dom
w dzielnicy Duffy
na przedmieściach
Canberry
(18 stycznia)

PRZY TEMPERATURZE POWYŻEJ 35 STOPNI I WIETRZE O PRĘDKOŚCI DO 100 KIŁÓMETRÓW NA GODZINĘ POŻAR ROZPRZESTRZENAŁ SIĘ W BŁYSKAWICZNYM TEMPIE



Tak wyglądała jedna z dzielnic Canberrę dzień po przejściu ściany ognia. Spalone domy sąsiadują z nietkniętymi. Baseny pozostały jedynym śladem po luksusowych rezydencjach

O drugiej po południu zapanował półmrok. Wyciągnęliśmy węże wodne i laliśmy, ile się dało. Ale z nieba cały czas sypał się popiół. Na końcu ulicy, kilkaset metrów dalej, widać było już płomienie pochłaniające busz – wspomina James Hamilton, który tydzień temu uczestniczył w walce z pożarem na przedmieściach Canberry. Jak dotąd żywioł zabił cztery osoby. Rannych jest 150, a ewakuowanych kilka tysięcy. W stolicy Australii doszczętnie spłonęło 530 domów.

Simon Franjic mieszka w Canberze od 30 lat, ale nigdy jeszcze nie widział pożaru takiego jak ten, który strawił jego dom i firmę w dzielnicy Duffy na zachodnim krańcu miasta. W niedzielę 19 stycznia, gdy ściana ognia natarła na Canberę ze zdwojoną siłą, Franjic bezskutecznie próbował uchronić dobytek przed spalaniem. – Robiłem, co mogłem, ale ogień był po prostu za szybki. Oblewaliśmy domy wodą, lecz po południu

trzeba było po prostu uciekać. Zostały gołe ściany, które i tak ledwo stoją. Kompletna ruina – mówi załamany. Do domu wróci najwcześniej za pół roku.

Płonące obserwatorium

Panujące od wielu dni upały wywołały w Australii największą od stu lat suszę. Na jej efekty nie trzeba było długo czekać – w Górach Śnieżnych i parku narodowym wokół Góry Kościuszki pierwsze pożary wybuchły zaraz po nowym roku. 13 stycznia płomienie otoczyły Melbourne, a trzy dni później od południowego zachodu dotarły na przedmieścia Canberry.

Rozprzestrzenianie się ognia ułatwiły temperatury utrzymujące się powyżej 35 stopni i silny wiatr, którego prędkość dochodzi do stu kilometrów na godzinę. Na domiar złego w związku z suszą w Canberze wydano zakaz marnowania wody na podlewanie ogrodów. Wysuszona na wiór trawa łapała ogień od najmniejszej iskry.

Gdy płomienie zaczęły się przemieszczać w kierunku miasta, władze nakazały natychmiastową ewakuację ośrodka narciarskiego w Thredbo nieopodal Canberry. W pierwszych dniach kataklizmu pożar strawił obserwatorium astronomiczne na górze Stromlo. W stolicy ogłoszono stan wyjątkowy.

Według Jona Stanhope'a, gubernatora Australijskiego Terytorium Stołecznego, tegoroczna plaga pożarów jest największa od założenia stolicy Australii w roku 1912. 312-tysięczna Canbera zaprojektowana na początku ubiegłego wieku przez amerykańskiego architekta Waltera Griffina miała rozstrzygnąć odwieczne animozje i walkę o pierwszeństwo między największymi miastami kontynentu: Sydney i Melbourne. Planując Canberę, Griffin oparł się na europejskich wzorach, rozmieszczając budynki rządowe i dzielnice mieszkalne dla urzędników wśród parków i fragmentów naturalnego lasu. Rozległe obszary zieleni ułatwiają teraz rozprzestrzenianie się pożaru.

Ocalało pięć domów

– Po południu wiatr zaczął nagle mocno wiać od zachodu – wspomina mieszkaniec dzielnicy Duffy Andrew Geraghty. – Nie wiedziałem, co się dzieje, dopóki nie wyszedłem przed dom. Wtedy zobaczyłem, jak płomienie pożerają korony oddalonego o trzy przecznice lasu. Zostałem dom w chwili, gdy zaczynały go ogarniać płomienie.

Pożar był tak silny, że strażacy przestali go gasić i zajęli się ewakuacją ludności. Geraghty miał szczęście. Tuż po jego odjeździe wiatr zmienił kierunek i ogień zaczął się cofać.

– Byłem przekonany, że mój dom doszczętnie spłonął, dopóki nie wróciłem tu następnego ranka – mówi. Jego posesja znalazła się w jedynym kwartale dzielnicy, którego nie strawił żywioł. W sumie ocalało pięć domów.

– Wszędzie był popiół – wspomina Brendan Crumpston, którego dom całkowicie spłonął. – Gdy uciekaliśmy, wokół były już tylko ściany ognia. To była ostatnia chwila, żeby się ratować.

Rozmiary klęski powiększają podpalacze. Policja oskarżyła o umyślne podłożenie ognia dwóch ludzi w wieku 15 i 20 lat. Zgodnie z australijskim prawem grozi im za to nawet 15 lat więzienia. Natomiast 16-latkę zatrzymano podczas plądrowania ewakuowanego domu. Łakomym kąskiem dla złodziei są wyładowane dobytek samochody uciekających przed pożarem rodzin.

To musi się palić

Obecny pożar jest trzecim w Australii w ciągu ostatnich 13 miesięcy atakiem żywiołu, który wymknął się spod kontroli. Sydney, Melbourne, Adelaide i Hobart ogień atakuje od 40 lat. Teraz do grupy zagrożonych miast dołączyła także Canbera. W ubiegłym roku pożar zagroził nawet ambasadom i budynkom rządowym stolicy.

Władze Australijskiego Terytorium Stołecznego są krytykowane za słabe przygotowanie do walki z ogniem. Region stolicy ma zaledwie 12 odpowiednio przystosowanych wozów stra-

żackich. Zdaniem mieszkańców ostrzeżenia o rozmiarach zagrożenia były niewystarczające.

Pożary w australijskim buszu są rzeczą naturalną. Niektóre lokalne rośliny, jak znany na całym świecie eukaliptus, potrzebują pożaru, aby ich nasiona mogły wykiełkować. Specjaliści ostrzegają jednak, że inne gatunki roślin mogą wytrzymać maksymalnie trzy pożary w ciągu 20 lat. – Jeżeli będą się zdarzać częściej, skończy się tym, że w lasach będziemy mieli wyłącznie eukaliptusy – twierdzi John Connor, dyrektor australijskiej fundacji ochrony przyrody.

– 30 lat temu Australijczycy chętnie wyprowadzali się na przedmieścia otoczone lasami ze sprowadzonymi z Europy gatunkami roślin, które nie palą się tak łatwo – wyjaśnia Phil Cheney badający źródła i zachowanie pożarów leśnych. – Ale dziś w buszu dominuje nasza roślinność, która co jakiś czas musi się palić. Musimy bardziej uważnie wybierać miejsca do budowania domów, inaczej tragedie będą się powtarzać.

MAX SUSKI



Nawet zwierzęta nie zdołały uciec przed płonącym buszem. Na farmie pod Canberą spłonęło żywcem 600 owiec

WIADOMOŚCI KRAJOWE

CZEKAJĄ NA SOMOSIERRE

Polska pomoże Amerykanom zdobywać Irak nawet bez zezwalającej na atak rezolucji ONZ – minister Włodzimierz Cimoszewicz zapowiedział, że **Polska wesprze USA „na miarę naszych niewielkich możliwości”**, ale za to „nie tylko politycznie”. Może znajdzie się do zdobycia choćby skromny wóz o jakiejś dźwięcznej nazwie?

CELNE SŁOWA

Strzelajcie szybciej i celniej od bandytów – powiedział premier Leszek Miller ośmiu policjantom, którzy w Warszawie zastrzelili dwóch gangsterów. Przestępcy byli zamieszani w zabójstwo policjanta w Nadarzynie. Szukani są jeszcze czterej bandyci. – **Żywi lub martwi zostaną zatrzymani** – zapewniła minister Krzysztof Janik.

MNIEJ GAZU

Polska i Rosja uzgodniły zmniejszenie o 35 procent dostaw gazu do naszego kraju, co w sumie ma dać **oszczędność pięciu miliardów złotych**. Zmniejszenie obowiązuje od roku 2010 do końca umowy, czyli do 2022. W tej matematycznej łamigłówce orientuje się tylko relacjonujący ją Marek Pol, bo sama umowa jest niedostępna.

REFERENDUM DLA NAJMŁODSZYCH

W sejmowych pracach nad wydłużeniem do dwóch dni referendum decydującego o wejściu do Unii Europejskiej pojawiły się słuchy o **likwidacji możliwości głosowania osób starszych przez pełnomocników**. Natomiast Andrzej Zoll, rzecznik praw obywatelskich, popiera pomysł prereferendum dziecięcego.

NADZIEJA W POLAKU

Dziennikarz musi nieść także i radosne przesłanie, dawać nadzieję – powiedział biskup Tadeusz Pieronek o kryteriach dziennikarskiej nagrody Ślad biskupa Jana Chrapka. **Laureatem Śladu został w tym roku Grzegorz Polak**, redaktor naczelny dwutygodnika „Księga Świętych”.

NAJKRÓCEJ

☛ W Rimini powstaje **MUZEUM FEDERICA FELLINIEGO**. Władze miasta, w którym urodził się reżyser, chcą w ten sposób uczcić 10. rocznicę jego śmierci. W muzeum będzie można zobaczyć pamiątki osobiste i szkice genialnego reżysera.



Celny przechwyty

Funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego i celnicy przechwycili w Gdyni ponad 400 kg czystej kokainy o czarnorynkowej wartości około 79 milionów złotych. Przesyłka przybyła z Wenezueli na holenderskim statku. To największa udaremniona dotąd w Polsce próba przemytu narkotyków.
FOT. KWP/KFP



Taxi kontra kasa

W różnych miastach taksówkarze jeździli grupowo, protestując przeciw wprowadzeniu od marca do ich aut kas fiskalnych. Największy postój ustawił się w Warszawie, gdzie z 50 miast zjechało tysiąc (dane policji) lub dwa tysiące (dane organizatorów) taksówek. Taksówkarze nie chcą kas, tłumacząc to zbyt dużymi kosztami ich zakupu i instalacji – wynoszą one cztery tysiące złotych.
FOT. D. KRAMSKI/AG



Głęboki protest

Ponad kilometr pod ziemią, w Polkowicach, górnicy strajkują i domagają się zaległych wypłat na kwotę 350 tysięcy złotych. Choć firma Micom szybko zmieniła prezesa, a nowy zszedł do strajkujących i rozmawiał z nimi kilka godzin, pod ziemią pozostało 70 górników. Nie chcą wypłat na raty, domagają się pełnej spłaty należnych pieniędzy.

Ich Troje jedzie do Rygi

– Nie chcemy brać na siebie odpowiedzialności, że na konkurs pojechał nie ten wykonawca, co trzeba – mówił Sławomir Zieliński, dyrektor 1TVP, przed eliminacjami do konkursu Eurowizji. Teraz, już bez odpowiedzialności, telewizja wysłała do Rygi Ich Troje – o wyekspediowaniu zespołu za granicę z piosenką „Bez granic” zdecydowały SMS-y widzów. Wystali ich prawie 300 tysięcy, ale w czasie głosowania do telewizji dotarł tylko co dziesiąty. Jak zwykle winny był system (komputerowy).



FATUM NAD MYSŁOWICAMI

Ktoś, nie wiadomo kto, ugodził nożem pełniącego obowiązki prezydenta Mysłowic Grzegorza Osyrę. **Krwawiącego włodarza znalazła przed urzędem przechodząca kobieta**. P.o. był wiceprezydentem powołanym na stanowisko przez prezydenta Stanisława Padlewskiego, który w zeszłym roku popełnił samobójstwo. W niedzielę Osyra w szpitalu wybierał wraz z mieszkańcami Mysłowic nowego prezydenta. Okazało się, że będzie druga tura – do przekroczenia progu 50 procent zabrakło mu zaledwie 121 głosów...

LOTNY FUNKCJONARIUSZ

Olsztyński policjant zauważył jadącego zygakiem fiata 126p. **Biegiem ruszył w pogoń za podejrzanym autem**. Biegnąc kilkaset metrów po prostej, dogonił zataczającego się „malucha”. Wewnątrz był kompletnie pijany student, który trafił – z pomocą lotnego funkcjonariusza – do izby wytrzeźwień.

UNIA DO LIKWIDACJI

Władysław Frasyniuk **zapowiada zmianę nazwy partii**, której jest przewodniczącym – Unii Wolności. Nie podał nowej nazwy, ale dziwi niechęć do „Wolności”, zastanawia także odejście od „Unii” w przeddzień wejścia do Unii Europejskiej.

TAJNE, ALE FAJNE

Sprzęt do podsłuchiwania, podglądania i elektronicznego śledzenia będzie pokazany w kwietniu w Warszawie. **Na targi przyjdą policjanci, tajni agenci, szpiegdy i ci, co szpiegów zwalczają**. Urządzeń nie będzie mogła obejrzeć ani publiczność, ani dziennikarze.

WYROSNIĘTY BRZDĄC

Pijany 19-latek **zdemolował szkołę w Ratoszynie**. Po wybiściu szyby w drzwiach wejściowych przeszedł jak Terminator szkolnymi korytarzami. Stłukł 127 szyb, zdemolował szklany łącznik do sali gimnastycznej, porozbił szklane gablotki z pracami uczniów, aż w końcu dopadła go policja.

☛ Sposobami **OTWIERANIA PACZKI CHIPSÓW** zajęli się naukowcy z Wielkiej Brytanii. Rząd dał 152 tysiące euro na badania „możliwości otwarcia paczki u różnych kategorii ludności”, w tym osób upośledzonych, które kaleczą się, używając do otwierania noża lub nożyczek.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE

TURYSTYCZNY BAGDAD

Muġla Amasz zarzuca świętokradstwo inspektorom ONZ w Iraku, którzy w bagdadzkim meczecie zadawali „dziwne pytania” o rozmiary świątyni i o liczbę wiernych. Sami inspektorzy twierdzą, że **pytania były prywatne, a wizyta – turystyczna**. Przy granicy Iraku na zwiedzanie Bagdadu czeka już sto tysięcy amerykańskich „turystów”. Ci przynajmniej nie mają pytań.

GLOBALNE REZERWACJE

USA zarezerwowały sobie **prawo ataku na Irak** – poinformował Colin Powell, sekretarz stanu USA, podczas Światowego Forum Gospodarczego w Davos. Dodał, że Korei Północnej Stany nie zaatakują. To oświadczenie umożliwia rezerwację ataku na Koreę przez inny kraj. Rezerwacje ataków nie wymagają potwierdzenia przedpłat na konto atakowanego kraju.

ZGROMADZENIE NIEZDECYDOWANE

Czeskie Zgromadzenie Narodowe (połączone izba poselska i senat) **nie wybrało w drugiej turze** głosowania następcy Vaclava Havla, który urzęduje do 2 lutego. Prezydent zachęca do znalezienia wspólnego kandydata koalicji lub do wyborów powszechnych. Wyborów chce też Vaclav Klaus, którego poparło w sondażu 48 procent Czechów.

NIE TEN WARSZTAT

W Korei Południowej pod Seulem **rozbił się amerykański samolot szpiegowski U-2**. Nie wiadomo, ile osób było w samolocie (szczegóły są tajne), ale pilot podobno zdążył się katapultować. Do awarii na pokładzie doszło wkrótce po starcie. Maszyna spadła na warsztat naprawy samochodów, ale samolotu nie dało się już naprawić.

Z CIEKAWOŚCI DO PIEKŁA

15-letni Rumun powiesił się, wierząc, że **odrodzi się dzięki klonowaniu**. – Zrobił to z ciekawości: interesował się granicą między życiem a śmiercią – twierdzi policja. Miejscowy genetyk uważa, że chłopiec nie zrozumiał istoty klonowania i padł ofiarą szumu wokół tych eksperymentów.



Z upału i nienawiści

W Cochín w Indiach podczas pokazów słoń Raviapuram Govindan zaatakował swojego poganiacza Gopalakrishnana. Licznijšie ostatnio ataki słoń na ludzi w tym rejonie tłumaczone są wielkimi upałami oraz nienawiścią zwierząt do torturujących je poganiaczy. Dotkliwie poraniony Gopalakrishnana zmarł.

FOT. STR/AP



Militarne nauki

Przyszła królowa Szwecji, 25-letnia księżniczka Wiktorja, pójdzie na trzy tygodnie do wojska. Zamieszka w koszarach, nauczy się obchodzić z bronią, maską przeciwgazową, pozna techniki przetrwania. Po wojsku chce w USA studiować rozwiązywanie konfliktów. Radzimy Szwedom zaopatrzyć się w zapasy maki i cukru.

FOT. PRESENS BILD/AP

Bunkier armii urzędników

NATO rozstrzygnęło konkurs na projekt architektoniczny nowej siedziby. Wygrało międzynarodowe konsorcjum kierowane przez londyńską firmę SOM. W budynku o powierzchni 176 tys. mkw. mają pracować cztery tysiące urzędników. Koszty to 320–480 milionów euro. Polacy dadzą 10–15 milionów euro, czyli 3,15 procent kosztów budowy.

FOT. PA/MEDIUM



Abonament na finały

Serena Williams wygrała czwarty z rzędu turniej wielkoszlemowy – **AUSTRALIAN OPEN**. W finale pokonała swoją siostrę Venus, która przegrała czwarty z kolei turniej Wielkiego Szlema. Wcześniej, grając w półfinale, Serena i Venus pokonały dwie Belgijki, za co prezenterzy jednej z belgijskich rozgłośni nazwali je „koczkodanami”. Sprawa o rasizm trafiła do sądu. Obie siostry zgodnie wygrały w grze deblowej turnieju. W grze pojedynczej mężczyzn w Australii wygrał po raz czwarty Andre Agassi.



NIESPRAWIEDLIWOŚĆ

W Pakistanie członkowie pustynnego plemienia Bagti **ostrzelali trzema rakietami gazociąg** w odwecie za wstrzymanie dostaw prądu na pustynię (plemię nie płaciło rachunków). Ostrzał pozbawił gazu większą część kraju. Dlaczego takie pustynne plemię może mieć rakiety, a w Polsce gospodarz – porządny, choć ubogi – nie ma ani jednej?!

HARPAGON Z FLORENCJI

Profesor Rab Hatfield odkrył, że Michał Anioł był skąpcem. – Najbogatszy artysta wszech czasów **ukrywał pieniądze nawet przed rodziną** – twierdzi po zbadaniu archiwów Florencji. Dowodem sknerstwa jest m.in. spanie w podróży w jednym łóżku z asystentami. – Nie chodziło o upodobania erotyczne, ale o tańszy nocleg – wyjaśnia profesor.

CHUDY, BO ZAKOCHANY

Człowiek zakochany chudnie, lepiej więc kochać, niż stosować dietę – donoszą włoscy badacze. Czekolada i inne cukry stymulują neuroprzekazniki, dając poczucie szczęścia, lecz także tłuszcz. **Zakochany jest szczęśliwy bez czekolady**, więc chudnie. Co trzeci Włoch tyje po ślubie, a to przewrotnie potwierdza odkrycie naukowców.

WALC NA LOTNISKU

Boeing 737 ze stoma pasażerami **wpadł w Monachium w poślizg podczas kołowania**. Pilotowi nie udało się odbić kierownicą w drugą stronę, bo w samolocie kierownicy nie ma. Maszyna spadła więc z betonu, ryjąc kołami w ziemi. Może pilot zwolni i skupi się na czymś prostszym, np. na parkowaniu tyłem?

SFORA W AUCIE

Policja na rok odebrała prawo jazdy 60-letniej Brytyjce, która **wiozła w samochodzie 30 psów**, z tego cztery na kolanach i cztery na siedzeniu obok. Pani jechała – zygzakiem – na spacer po oddalonej o 160 km plaży. Teraz ma rok na uformowanie sfory i dotarcie na plażę piechotą.

SŁON BEZ SMYCZY

Policja wylapuje słonie w Bangkoku. **150 wielkich ssaków snuje się po ulicach**, powodując wypadki. Nie wiadomo, czy w Bangkoku powstanie schronisko dla słoni, ale pewne jest, że nie znalazły się na ulicy po wyrzuceniu z samochodu.

FOT. DAVID GRAY/REUTERSFORUM

NAJKRÓCEJ ✎ Podczas festiwalu filmowego w Sundance **ROBERT REDFORD WYSTĄPIŁ Z APELEM** do prezydenta Busha, by ten zrezygnował z ataku na Irak. Protestują również inni amerykańscy artyści, m.in.: Martin Scorsese, Susan Sarandon, George Clooney.

✎ **TRÓJWYMIAROWE RURKI** – odpowiednik naczyń krwionośnych – wydrukowali na drukarce atramentowej naukowcy z University of South Carolina, używając zamiast tuszu zawiesiny komórek. W przyszłości mają zamiar „drukować” w ten sposób całe narządy.

KRAJOBRAZ PO KUTZU



Przedruk wywiadu z senatorem Kazimierzem Kutzem, „Gazeta Wyborcza”, 24.01.2003

Napisał w „PRZEKROJU” 23.01.2003



Napisał w „PRZEKROJU” 16.01.2003



Tydzień temu opublikowaliśmy wywiad z Kazimierzem Kutzem, który wywołał medialną burzę. Wicemarszałek Senatu przekonywał w nim, że za Rywinem i złożoną przez niego propozycją łapówki stoi prezes TVP Robert Kwiatkowski i członek KRRiTV Włodzimierz Czarzasty. Obaj odpowiedzieli listami do bohatera wywiadu – ich kopie publikujemy obok. Jak powiedział nam wicemarszałek Sejmu Tomasz Nałęcz, Kazimierz Kutz może zostać przesłuchany przez sejmową komisję śledczą

Kim mogą być ci oni?

KAZIMIERZ KUTZ: Krążą oczywiście różne hipotezy, a mnie się wydaje, że hipoteza z Włodzimierzem Czarzastym, zastępcą szefa Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji i Kwiatkowskim, prezesem TVP, jest najprawdziwsza. Mają pomysł na sprywatyzowanie części mediów publicznych i stworzenie koncernu medialnego porównywalnego z Agorą. Nie sądzę, żeby premier był w to wpłątany. To ci chłopcy chcieli się urządzić. Miller będzie rządził określony czas, podobnie Kwaśniewski, a potem musi dojść do zmiany pokoleniowej. Oni, Czarzasty i Kwiatkowski, szykując się do tego, już grają swoje gry.

A może on [prezes Kwiatkowski] jest feudal, ale dobry prezes.

– Nie, on jest normalnym, współczesnym politrukiem, niczym więcej. To jest po prostu młody komisarz partyjny, który chce robić wielką karierę i świetnie się w tym czuje, bo ma silne gwarancje partyjne i prowadzi tę instytucję, tak jak chce. Najgorsze jest to, że on jest tak strasznie niewrażliwy na kulturę.

(„Jak on pięknie gra Rywiną” – z Kazimierzem Kutzem, wicemarszałkiem Senatu, rozmawia Piotr Najsztub, „Przekrój” nr 4/3005)

W nowelizacji ustawy nie wymienia się programów TVP, „Jedynki” i „Dwójki”, co pozwala snuć przypuszczenia, że możliwa jest prywatyzacja np. „Dwójki” – skoro nie jest wymieniona w ustawie jako część TVP. Ta nieobecność jest celowa?

ALEKSANDRA JAKUBOWSKA: Nie zwróciłam na to uwagi. Jeśli dostanę ekspertyzę prawników, że to może pomóc w prywatyzacji „Dwójki”, to zmienimy ten zapis.

Premier, rząd, Aleksandra Jakubowska nie chcą sprzedać 2 Programu TVP?

– Absolutnie nie.

(„Dziewczyna z Pruszkowa u chłopaka z Żyrardowa” – z Aleksandrą Jakubowską, szefową gabinetu politycznego premiera, rozmawia Piotr Najsztub, „Przekrój” nr 3/3004)

Zaproszenie na przesłuchanie

PAWEŁ WIECZOREK: Czy twierdzenia o panach Czarzastym i Kwiatkowskim wypowiedziane przez Kazimierza Kutza na łamach „Przekroju” będą pomocne w pracach komisji?

TOMASZ NAŁĘCZ, wicemarszałek Sejmu, przewodniczący sejmowej komisji śledczej badającej sprawę Rywina: Są dwie możliwości. Albo pan marszałek Kutz fantazjuje i mówi o rzeczach, o których nie ma pojęcia, albo coś wie, a wtedy powinien być przesłuchany przez komisję.

Ale kto ma decydować, czy Kazimierz Kutz fantazjuje, czy może coś wie?

– Ja tego nie rozstrzygnę. Pan marszałek Kutz, jeśli coś wie, powinien sam zgłosić się do komisji. Nie mogę sprawdzać sam każdej wypowiedzi dla mediów. Naruszałoby to powagę parlamentu i urzędu.

Czarzasty do Kutza

Odwoluje się Pan do mojego nazwiska oraz spekuluje Pan na temat mojej osoby. W Pana wyobraźni zaistniałem jako jeden z kreatorów afery łapówkarskiej, aplikujący do stworzenia koncernu medialnego kosztem mediów publicznych oraz jeden z „chłopców”, którzy „chcieli się urządzić”, wykorzystując urząd publiczny oraz tworząc mafijno-wasalny układ. To niemiłe dowiedzieć się, że wicemarszałek Senatu RP i zaślony polski artysta ma taką opinię. Jeszcze bardziej niemiłe jest to, że Pan Marszałek wypowiadając się kategorycznie obraża kilkunastu „redaktorów naczelnych”, czyli prezesów spółek radia publicznego, zarzucając im, że „niewiele wspólnego mają z radiem, nie mają wymaganych kwalifikacji”. To nieprawda, tak jak nieprawdziwe są domniemania Pana Marszałka na mój temat.

Informuję Pana Marszałka, że prezesi spółek skarbu państwa, którymi są spółki radiofonii publicznej, posiadają najwyższe – ściśle określone prawem – kwalifikacje. Informuję również, że o sprawie Lwa Rywina myślałem i wiem mniej niż Pan (nie znam tak dobrze jak Pan redaktora Adama Michnika) oraz nie aspiruję do roli szefa koncernu medialnego i nie mam zamiaru uczestniczyć w prywatyzacji mediów publicznych. Publiczne spekulacje na temat mojej osoby uważam za uwłaczające powadze pełnionego przez Pana urzędu i obraźliwe.

Ponadto upewniam Pana Marszałka, że nie jestem zastępcą przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

PS. Jeśli Pan Marszałek chce publicznie opowiadać anegdoty o premierach lub prezydentach, to warto wiedzieć, że John Fitzgerald Kennedy został 35. prezydentem Stanów Zjednoczonych w 1961 roku – gdy jego syn (John Fitzgerald Kennedy junior) miał roczek, a zginął tragicznie w 1963 roku, gdy jego syn miał trzy lata. JFK junior nie mógł więc jako 4-latek odpowiadać dziennikarzowi: „tatuś siedzi w skarpetkach na podłodze w rogu pokoju i cały czas się martwi”. Anegdoty, Panie Marszałku, także trzeba weryfikować.

WŁODZIMIERZ CZARZASTY,
SEKRETARZ KRAJOWEJ RADY
RADIOFONII I TELEWIZJI

Szanowny Panie Redaktorze

W związku z opublikowaniem w „Przekroju” wywiadu, który przeprowadził Pan z Wicemarszałkiem Senatu RP Kazimierzem Kutzem, przesyłam kopię listu, który Prezes Zarządu Telewizji Polskiej SA Robert Kwiatkowski skierował do Pana Wicemarszałka Senatu RP. Uprzejmie proszę o opublikowanie treści listu na łamach Pańskiej gazety.

RZECZNIK TELEWIZJI POLSKIEJ SA
JACEK STANKIEWICZ

Kwiatkowski do Kutza PANIE MARSZAŁKU

Przeczytałem wywiad Piotra Najsztuba z Panem zamieszczony w „Przekroju” nr 4 z dnia 26 stycznia br. i przedrukowany następnego dnia przez „Gazetę Wyborczą”. Jestem dotknięty i zażenowany stwierdzeniami i ocenami odnoszącymi się do mojej osoby. Pragnę Pana poinformować, że zawar-

te w wywiadzie Pańskie opowieści, domysły, przypuszczenia o mojej roli w tzw. sprawie Rywina nie mają żadnych podstaw i mijają się z rzeczywistością. Przypisywanie mi autorstwa „kombinacji sprzecznej z wszystkimi ustawami, z konstytucją”, pomówienie mnie o „upierdalanie telewizji publicznej”, o przywrócenie w niej ustroju feudalnego, porównywanie pełnionej przeze mnie funkcji prezesa telewizji publicznej do roli „normalnego, współczesnego politruka”,

przypisanie mi braku kultury i wrażliwości estetycznej z powodu wojskowej profesji mojego Ojca – odbieram jako oceny i stwierdzenia obraźliwe, nacechowane złą wolą, wrogością do mnie.

Zażenowanie moje jest tym większe, że słowa takie wypowiada Pan, artysta, człowiek troszczący się o kulturę i wrażliwość estetyczną, o czym zapewnia Pan prawie w każdym zdaniu tego wywiadu. Pod względem kultury języka nigdy Panu na pewno nie dorównam i nie chcę dorównywać. Od takiej kultury mój Ojciec skutecznie „odciął mnie” w młodości, za co jestem mu wdzięczny. Proszę przyjąć do wiadomości, że Pańskie wypowiedzi dotyczące mnie i mojego Ojca traktuję jako pomówienia naruszające nasze dobre imię i cześć.

PREZES ZARZĄDU SPÓŁKI TELEWIZJA POLSKA SA
ROBERT KWIATKOWSKI

ZARZUTY MEDIÓW WOBEC
PREZESA TVP SA
ROBERTA KWIATKOWSKIEGO

Skandal w łódzkim ośrodku TVP, w którym promowano zabójcę ks. Jerzego Popiełuszki oraz antyklerykalny tygodnik. (marzec 2000)

Kombatanci żądają odwołania prezesa za to, że nie było bezpośredniej transmisji telewizyjnej z uroczystości rocznicowych w Katyniu. (lipiec 2000)

List marszałka Sejmu Macieja Płażyńskiego po wystąpieniu prezesa TVP na posiedzeniu sejmowej komisji kultury, na którym zwrócił się on do członków komisji: „Czy nie rozumiecie, że nikt was nie ogląda?”. (wrzesień 2000)

Prezes wstrzymał nagrania kaset z Charkowa, aby nie dopuścić do kompromitacji prezydenta Kwaśniewskiego. (październik 2000)

„Pozwalam sobie przywołać Pana do porządku” – mówił dziennikarz TVP Piotr Gembarowski do kandydata na prezydenta Mariana Krzaklewskiego w programie „Kandydat”. Gembarowski zawieszono na trzy miesiące, po czym wrócił na wizję i do tego samego programu. „Dziennikarz nie jest saperem, który może się mylić tylko raz” – wyjaśnił prezes Kwiatkowski. (październik 2000, styczeń 2001)

Prezes nie wierzy w rewelację Janusza Rolickiego o spotkaniach premiera Millera z szefami TVP, podczas których uzgadniano podobno strategię propagandową SLD. (marzec 2001)

Mimo starań szefostwa „Wiadomości” prezes TVP nie zgodził się na zamieszczenie materiału na temat kredytu mieszkaniowego, którego bank należący do Aleksandra Gudźowatego udzielił premierowi Millerowi. (luty 2002)

Agent SB pracował na stanowisku dyrektora OTV w Łodzi. (październik 2002)

Żaden z dziennikarzy „Wiadomości” nie zdawał relacji z pierwszych obrad sejmowej komisji śledczej w sprawie Rywina. (styczeń 2003)



Kaddafi marzy o stworzeniu Unii Afrykańskiej na wzór Unii Europejskiej

STRAŻNIK WOLNOŚCI

PUŁKOWNIK MUAMMAR KADDAFI, LIBIJSKI WÓDZ I DYKTATOR OSKARŻANY O WSPIERANIE TERRORYZMU, BĘDZIE W TYM ROKU STAŁ NA STRAŻY PRAW CZŁOWIEKA

Jeszcze niedawno straszono nim amerykańskie dzieci. Muammar Kaddafi był Saddamem Husajnem i Osamą ben Ladenem lat 80. ubiegłego wieku. Wymieniano go jednym z tchem z Mobutu Sese Seko z Zairu i Manuelem Noriegą z Panamy jako jednego z najniebezpieczniejszych ludzi świata. Mówiono, że finansuje większość światowych organizacji terrorystycznych.

Tymczasem Libia dziś staje na czele oenztetowskiej Komisji Praw Człowieka, która ma wspierać wysiłki na rzecz wolności. Wygląda na to, że Kaddafi z wolna zrzuca skórę „wściekłego psa Bliskiego Wschodu”, jak nazywał go kiedyś amerykański prezydent Ronald Reagan. Czy spod tej skóry wyłoni się runo baranka?

Niby nie ma o co rwać włosów z głowy. Komisja tak naprawdę niewiele może, a i ambasador Libii przy ONZ pani Nadzat al Hadżdżadzi wybrała właśnie na jej szefową nie ma takiej siły sprawczej, by pod pozorem walki o prawa człowieka zaprowadzić terror na świecie. Wprawdzie ONZ nie odwołała sankcji przeciw Libii po pamiętnym zamachu na samolot PanAm nad Lockerbie (270 ofiar) w grudniu 1988 roku, jednak niedawno warunkowo je uchyli-

ła. W dodatku Libia jako jeden z pierwszych muzułmańskich krajów potępiła zamach z 11 września. Nie zgłosiła też sprzeciwu wobec interwencji Zachodu w Afganistanie.

Niegdyś Kaddafi dążył do przywództwa nad całym światem arabskim. Kiedy jednak od kolegów z Bliskiego Wschodu dostał kosza, przerzucił się na Czarny Kontynent. Dziś należy do najzagorzalszych zwolenników utworzenia Unii Afrykańskiej wzorowanej na Unii Europejskiej. Właśnie dzięki głosom krajów Afryki – mimo sprzeciwu Stanów Zjednoczonych, Kanady i Gwatemali – pani al Hadżdżadzi została przewodniczącą Komisji Praw Człowieka ONZ. Tymczasem organizacje pozarządowe zajmujące się przestrzeganiem praw człowieka nie mają wstępu do Libii. Human Rights Watch donosi, że oponenci Kaddafiego wciąż bywają uprowadzani, torturowani, więzieni bez wyroku i zabijani.

Zaiste, wysłannik Kaddafiego na straży praw człowieka – to brzmi jak próbka czarnego humoru. Pytanie, czy w tym sformułowaniu ważniejsze są prawa człowieka, czy raczej wyrażenie „na straży”.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

ZMARLI



WALDEMAR GÓSZCZ

Waldemar Gószcz, 29, aktor, model i piosenkarz. Zyskał popularność rolą Adama w telewizyjnym serialu „Adam i Ewa”. Jako 19-latek wygrał konkurs Twarz Roku i rozpoczął karierę na wybiegach. Pracował między innymi dla Ceruttiego, Muglera, Nicosy. Zagrał w kilkunastu reklamach. Miał – jak przyznawał z zażenowaniem – cztery szafy ubrań. W roku 1997 założył boys-band Hi Street, trzy lata później wydał solową płytę. Występował na festiwalu opolskim. Zginął za kierownicą lancii koło Ostródy, na trasie Gdańsk – Warszawa. Podczas wyprzedzania zderzył się z jadącym z naprzeciwka fordem escortem. Kierowca forda oraz pasażerowie lancii – aktor Radosław Pazura i muzyk Filip Siejka – zostali ranni.



GIANNI AGNELLI

Gianni Agnelli, 82, legendarny prezes koncernu Fiat. Jeden z najbarwniejszych milionerów XX wieku (patrz „P” numer 3 z 2003 roku). Z rodzinnej firmy uczynił międzynarodowy koncern. Najślynniejszy europejski *bon vivant* lat 50., później finansista dysponujący potężną władzą. Ostatnio Fiat popadł w tarapaty i w tej chwili grozi mu przejście przez General Motors. Agnelli zmarł na kilka godzin przed zjazdem rodzinnym, który miał zdecydować o przyszłości samochodowego giganta. Był przeciwny sprzedaży udziałów należących do Agnellich. Wiadomość o jego śmierci spowodowała pięcioprocentową zwykłą akcję Fiata.



CRAIG KELLY

Craig Kelly, 36, snowboardzista, pionier i twórca tego sportu. Siedmiokrotny mistrz świata. Największe sukcesy odnosił w latach 80., potem zajął się projektowaniem i testowaniem prototypowego sprzętu narciarskiego. Wciąż uprawiał snowboard, chociaż zniechęcały go coraz większe tłumy na popularnych szlakach zjazdowych. Wyszukiwał nowe, nieznanie i często niebezpieczne miejscowości. Kilka lat temu wybrał się w 18-miesięczną podróż z Alaski do Argentyny. Po drodze, gdzie tylko się dało, jeździł na desce. W styczniu z grupą przyjaciół przebywał w odludnych górach na granicy Kanady i USA. Zginął wraz z siedmioma uczestnikami wyprawy pod 30-metrowej wysokości lawiną.



REGINALD CREW

Reginald Crew, 74, brytyjski robotnik portowy nieuleczalnie chory na postępujący zanik mięśni. Chcąc oszczędzić rodzinie kosztów opieki nad sobą, postanowił umrzeć godnie. Eutanazja jest w Wielkiej Brytanii zakazana, co potwierdził w zeszłym roku Trybunał Europejski, nie zezwalając, by mąż skrócił cierpienia chorej na tę samą chorobę Brytyjce Diane Pretty. Crew dowiedział się z telewizji o szwajcarskim stowarzyszeniu Dignitas, pojechał z żoną do Zurychu i zażył śmiertelną dawkę truciźny. Szwajcarskie prawo nie zakazuje w wyraźny sposób asysty przy samobójstwie, jeśli osoba kończąca życie jest nieuleczalnie chora i w pełni władz umysłowych. Crew był pierwszym znanym z nazwiska brytyjskim turystą eutanazyjnym.

PRZE KROJ

z KLAUSEM BACHMANNEM, niemieckim dziennikarzem i publicystą, znawcą spraw polskich, rozmawia WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI



Edyta Górniak podczas wywiadu dla Polsatu zdementowała plotkę o ciąży z prezydentem

CIAŻA UROJONA WAGI PAŃSTWOWEJ



Klaus Bachmann

PO RAZ PIERWSZY W HISTORII POLSKICH MEDIÓW ZNANA PIOSENKARKA W CZASIE NAJWYŻSZEJ OGLĄDALNOŚCI ZDEMENTOWAŁA PLOTKĘ O TYM, ŻE JEST W CIAŻY Z PREZYDENTEM RP. MAMY SIĘ Z TEGO ŚMIAĆ CZY NAD TYM UBOLEWAĆ?

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI: Co zrobiłby kanclerz Niemiec, gdyby pojawiły się pogłoski, że ma dziecko z popularną niemiecką piosenkarką?

KLAUS BACHMANN: Po prostu podałby autora tych pogłosek do sądu. Tak zrobił ostatnio, gdy prasa doniosła, że jego małżeństwo przeżywa kryzys. Robił tak już wcześniej – na przykład gdy jeden z dzienników zasugerował, że kanclerz farbuję włosy.

W niektórych krajach życie osobiste polityków zawsze trafia na pierwsze strony gazet. Jest tak głównie w krajach anglosaskich. Wszyscy znamy przypadki prezydenta Clintona czy różnych ministrów w rządzie brytyjskim. Ale obok anglosaskiej jest też tradycja kontynentalna. Opiera się ona na konsensie, według którego życie prywatne urzędników państwowych jest absolutnym tabu, o ile nie ma ono wpływu na ich politykę.

A do której tradycji – anglosaskiej czy kontynentalnej – zalicza się teraz Polska?

– Mimo ostatnich wyrazów sympatii do USA myślę, że jednak do kontynentalnej.

U nas prezydent dementuje, a piosenkarka oświadcza w telewizji, że nie ma romansu z głową państwa. Czy taka sytuacja nie naraża na szwank autorytetu państwa?

– Jeżeli jest to tylko pogłoska, w dodatku fałszywa, wtedy nie. Gorzej, gdyby prezydent (tak jak to było w przypadku Clintona) skłamał. Ja bym raczej powiedział, że cała ta sytuacja źle świadczy o systemie medialnym w Polsce. Jest pewne nieporozumienie co do roli, jaką media powinny odgrywać w społeczeństwie. Prasa i telewizja same wybierają, o czym chcą pisać i co pokazać. Plotkami powinny zajmować się wtedy, gdy sięgają one dalej niż w życie osobiste polityka.

A kiedy media mają obowiązek podchwytować plotki?

– Wtedy gdy sprawy z życia osobistego danego polityka wpływają na sposób, w jaki sprawuje swój urząd. Co pozostaje w głowach ludzi po takim incydencie?

– Niestety, zawsze coś zostaje. Za pięć lat, jak się kogoś spyta na ulicy, czy prezydent jest wiernym mężem, to

być może ta osoba będzie pamiętała tylko pogłoskę, a nie jej dementi. To jest groźne dla polityka. Media powinny się zastanawiać nad tym, co piszą. Czy szkody są mniejsze, jeśli ofiara plotki pozywa, zamiast dementować?

– Z jednej strony może to odstraszyć innych i zwiększyć poczucie odpowiedzialności wśród autorów takich pogłosek, z drugiej strony może spowodować – i z tym mieliśmy do czynienia przy procesie o pomówienie, który prezydent wytoczył „Życiu” – że cała sprawa się wydłuży i więcej zaszkodzi, niż pomoże poszkodowanemu.

Czy zachowanie naszego prezydenta w tej sprawie – dłuższe milczenie, potem dementi – było właściwą drogą?

– Myślę, że prezydent potrzebował czasu do namysłu. Na pewno się zastanawiał, czy to jest sprawa, którą warto dementować, czy po jakimś czasie sama nie ucichnie. Czasem lepiej przejść nad plotką do porządku dziennego. Reagując, można osiągnąć efekt odwrotny do zamierzonego i do wartościować autorów pogłosek.

A jakiego rodzaju sprawami z życia osobistego polityków powinny się w takim razie media zajmować?

– Tymi, które mają wpływ na politykę, postępowanie w sferze publicznej. Gdyby się na przykład okazało – z góry przepraszam za takie dywagacje – że obcy wywiad grozi prezydentowi Kwaśniewskiemu ujawnieniem romansu z jakąś znaną piosenkarką i ten pod presją szantażu podpisał na przykład jakąś ustawę, wtedy oczywiście należy to ujawnić, bo tylko w ten sposób można zakończyć szantaż.

Ale czy sam fakt, że popularna piosenkarka występuje publicznie w telewizji, żeby oczyścić imię głowy państwa, nie jest farsą?

– Nie, nie wydaje mi się. Pani Górniak była osobą zainteresowaną. Obowiązkiem mediów było zapytać ją, czy to jest prawda – tym bardziej że Kwaśniewski już wypowiadał się na ten temat, czyli sprawa stała się publiczną. Daje jej to możliwość oczyszczenia się z zarzutów.

Z gołą d... na wojnę

PIOTR NAJSZTUB



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Wzeszłym tygodniu okazało się, że ta wojna będzie wojną elit. Większość Polaków (88 procent) nie chce wojny w Iraku, jeśli nie da się udowodnić, że Saddam Husajn ma broń masowej zagłady, a 51 procent nie chce jej nawet wtedy, gdyby taką bronią nam zagrażał. Bezwzględnie chce go usunąć tylko cztery procent rodaków. Większość Polaków nie chce też, by w razie interwencji nasze wojska

brały w niej udział. Gdyby podobne badania przeprowadzić wśród dziennikarzy, polityków, urzędników, przedsiębiorców, to wyniki byłyby zupełnie inne, w tej grupie przeważa bowiem zrozumienie dla polityki wojennej USA. W tym samym tygodniu opinia publiczna zdjęła tym elitom spodnie. Ankieterzy zapytali Polaków, z kim można załatwić coś za łapówkę. Większość odpowiedziała, że z urzędnikami, dziennikarzami, sędziami, posłami

i senatorami. Tylko wstydlivy odsetek (trzy procent) wierzy w nieprzekupność elit. Delikatnie mówiąc, ludzie nie mają o elitach najlepszego zdania. Może właśnie dlatego mimo długotrwałej kampanii polityczno-medialnej nie chcą „iść” z nami na wojnę? W społeczeństwach demokratycznych nie ma innego wyjścia – na elitach spoczywa obowiązek namawiania rodaków do słusznych, korzystnych lub potrzebnych rozwiązań. W totalitaryzmie ten obowiązek bierze na siebie tyran, po prostu obowiązuje jedynie słuszne myślenie. Żyjemy w demokracji, ale z niewiarygodnymi elitami. A czeka nas jednak ta wojna

z Husajnem, referendum w sprawie Unii Europejskiej, niepopularne, trudne do wytłumaczenia reformy systemu pomocy socjalnej, finansów państwa. Dziennikarze, politycy i urzędnicy ze ściągniętymi do kolan spodniami nie zdołają społeczeństwa do niczego przekonać. Jak więc podciągnąć spodnie? Przede wszystkim szybko i na widoku publicznym. Tak, żeby nikt z ankietowanych nie miał już wątpliwości co do prestiżu i zadań przypisanych takim zawodom jak dziennikarz, polityk czy urzędnik państwowy. Bo inaczej Polacy nie tak prędko staną się obywatelami świata i Europy.

WILHELM SASNAL



Zbigniew Machej

Dawna przepowiednia

Nadejdą czasy demokracji i wiara okaże się równie ulotna jak prawa. Wysokość czynszu, cła i podatku stanie się właściwą miarą wolności. Deficyt podyktuje nowe dogmaty. Polityczna czujność wyrodzi się w nieznośną, proceduralną nudę. Słowa jednak nadal będą ukrywały myśli, a aureola otaczająca głupotę

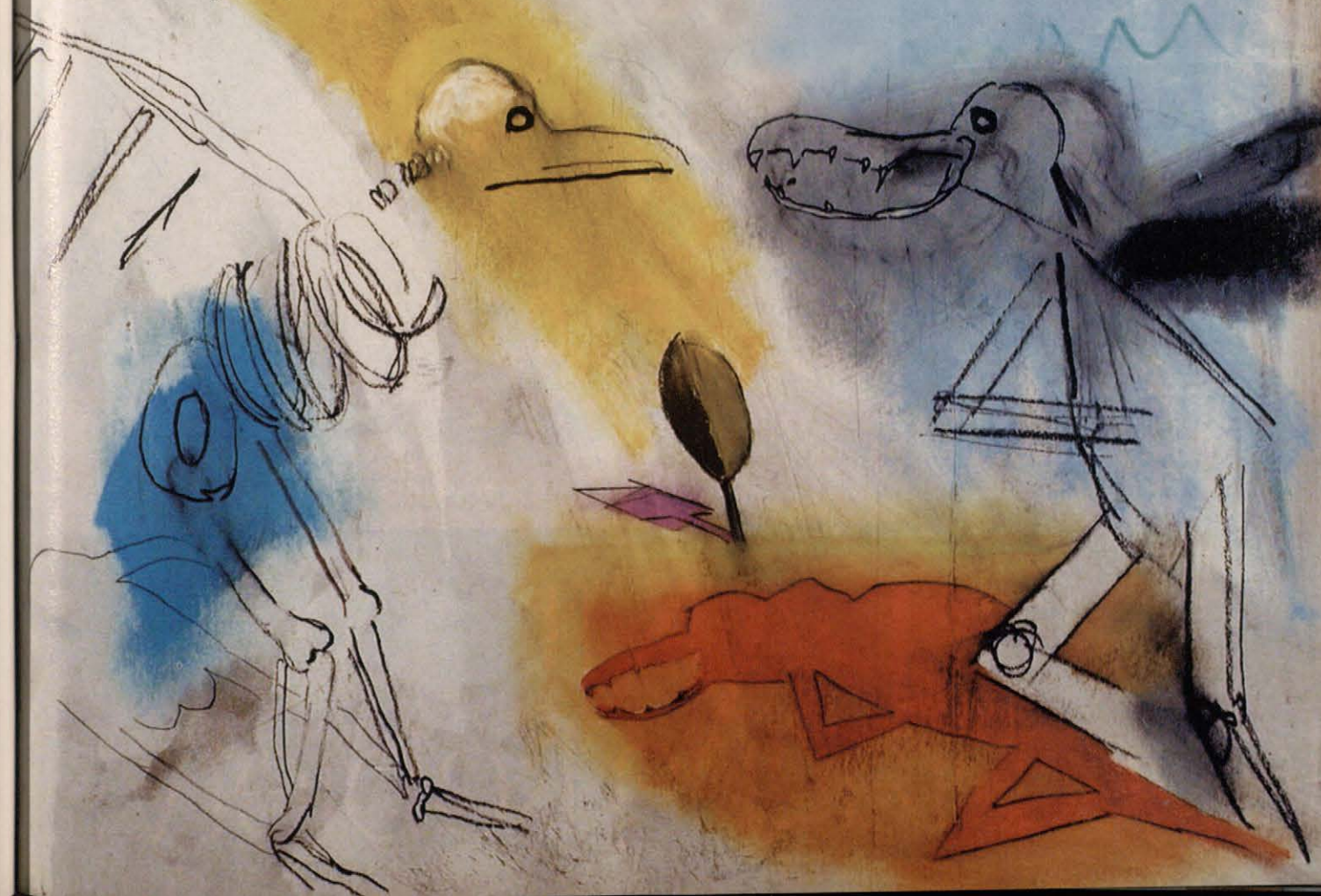
nigdy nie zagaśnie. Ręce, które rwały ciernie, obmyją się na spotkanie dłoni, które plotły bicze. Godność i pożądanie w jednym stana domku, a wilk przytuli się do czarnej owieczki i brzydkiego kaczątka. Marzenie o wielkiej hurtowni owoców południowych zaćmi tęsknotę za sztuką czystą. Mesjasz litewskich wieszczów nie znajdzie

przytułku nawet w gabinecie figur woskowych. Zwątpienie zamknie wyobraźnię poetów w widzialnym, rzeczywistym świecie. Miłość, na szczęście, wciąż na nowo będzie rozkładać swoje akcenty w nieprzewidywalnym rytmie. Natomiast nicość nareszcie objawi się czysta jak błękit nieba na widokówce z Rzymu.



Zbigniew Machej (ur. 1958)

FOT. ELŻBETA LEMPP



Dla „Przekroju” ANDRZEJ DUDZIŃSKI

W lutowej PANI



Dominika i Piotr Kraśkowie
W małżeństwie ważne są wspólne pasje i margines swobody



Co zakryć, co odstąpić,
a co podkreślić, by go skusić



Romantyczna kolacja we dwoje
według Przemysława Salety

PANI

tego pragną kobiety

PANI

Walentynkowy numer specjalny 100 prezentów dla zakochanych

CENA 7,20 zł (w tym 7% VAT)
NR 2 (149)
LUTY 2003
Numer indeksu 368632
ISSN 1230-8293

NA OKŁADCE
Alicja Bachleda-Curuś
Włosy to mój wabik
Ty też możesz poznać swój!

RAFAŁ KRÓLIKOWSKI
Tajemnice amanta

Kochaj się bezpiecznie
Nowości w antykoncepcji

Czego mężczyźni chcą od nas oprócz seksu?

MODA W KOŁORZE MIŁOŚCI
Seksowne ubrania i dodatki na randkę

Wygrasz romantyczny weekend we dwoje w luksusowym hotelu

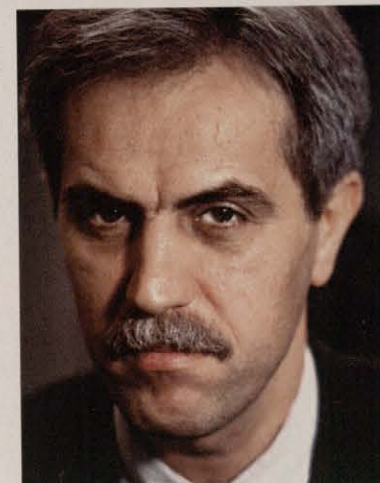
SPIS TREŚCI

PRZEKROJ

nr 05/3006/ 02_02_2003



48 W Japonii odbył się pojedynek jasnowidzów. Wygrał Polak. Uwierzyło mu 50 milionów ludzi



22 Zygmunta Solorza nie wie, ile kosztuje Polsat, ale chciałby go sprzedać



42 Arwen (Liv Tyler) chciała dla niego zrezygnować z nieśmiertelności. Viggo Mortensen, gwiazda „Dwóch wież”, drugiej części ekranizacji „Władcy Pierścieni”, to ucieleśnienie tolkienowskiego kochanka

NAJSZTUB PYTA...

- 22 AAAABY KUPIĆ POLSAT...
– nie chciałbym niszczyć nieprzemyślane autorytetu państwa, autorytetów konkretnych ludzi
– odpowiada Zygmunta Solorz

GORĄCY DOKUMENT

- 28 TELEWIZJA CHCE WOJNY
Zbliżająca się wojna w Iraku będzie nie tylko starciem amerykańskiej armii z oddziałami Saddama Husajna, lecz także walką między największymi koncernami medialnymi o tytuł arcymistrza w dostarczaniu informacji

CYWILIZACJA CODZIENNA

- 32 TRZEBA STRACIĆ, ŻEBY ZAROBIĆ
Ile pieniędzy powinniśmy dostać za naruszenie naszej godności, a ile za pozostawienie w brzuchu nożyce chirurgiczne?
- 36 PAPIER NA PRĄD
Ruchome fotografie w gazetach, papier wielokrotnego użytku,

atrament sympatyczny na baterie – już wkrótce

- 38 LEKI NA MIARĘ
Dzięki genetyce powstaną leki dopasowane do indywidualnych cech chorego, ale mogą też powstać dostosowane do indywidualnych organizmów trucizny

- 41 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

LUDZIE!!!

- 42 AMANT, WOJOWNIK I POETA
Dotychczas pozostawał w cieniu. „Władca Pierścieni” dał mu sławę i otoczył legendą. Viggo Mortensen to tajna broń Hollywood
- 46 POLITYCZNA KARIERA PIĘKNEJ NATASZY
Jak pani Natasza Miczić przez przypadek prezydentem Serbii została
- 48 PODMIOT GOSPODARCZY – JASNOWIDZ
Jasnowidza z Człuchowa wielbią Japończycy, policjanci z wydziałów morderstw, mafiosi i zwykli ludzie
- 53 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

54 INSPEKTOR GADŻET

PATRZĄC I CZYTAJĄC

- 56 HAUTE COUTURE
Wielki szyk za wielkie pieniądze

64 LISTY

TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY

- 66 WYDARZENIE – Frodo Baggins powraca
- 68 FILM – „Moje wielkie greckie wesele”
- 70 MUZYKA – Podsumowania britpopowe
- 72 KSIĄŻKI – Nowa powieść Chwina
- 74 TEATR – Bardzo śmieszny spektakl
- 76 TELEWIZJA – najlepsze programy

ROZMAITOŚCI

- 78 DZIENNIKI OSOBISTE MASŁOWSKA i MENTZEL
- 80 WINNY BIEŃCZYK i KULINARNE PIÓRO POLSKI; jolka i krzyżówka
- 82 RACZEJ RACZKOWSKI

Aaaaby kupić Polsat...

Czy Agora kupi Polsat? Czy Zygmunt Solorz zapłaci łapówkę? Czy będzie się leczył z pracoholizmu? – na te pytania w rozmowie z Piotrem Najsztubem odpowiada właściciel Polsatu **ZYGMUNT SOLORZ**

Panie Prezesie, chciałbym kupić ten Pański Polsat. Ile on kosztuje?

– Nie wiem, trzeba zrobić wycenę.

Jeszcze jej nie ma? Zawiódł mnie Pan!

– Prawdziwa wartość ujawnia się wtedy, kiedy jest prawdziwy kupiec. Kiedy trzeba sprzedawać, to kupiec kupi taniej, a kiedy nie trzeba, ale można by, to w grę wchodzi większe pieniądze. Wszystko zależy od sytuacji.

A jaka jest sytuacja?

– Dzisiaj jest sytuacja taka: rozwijamy Polsat i czekamy na nowelizację ustawy o radiofonii i telewizji.

Ale co ona zmieni w sytuacji Polsatu?

– Niewiele zmieni, ale być może pozwoli w cywilizowany sposób przedłużyć koncesję. Ta wygasa w roku 2004.

Myśli Pan, że dostaniecie nową?

– Nie wyobrażam sobie tego inaczej, w końcu zostały tu zainwestowane duże pieniądze.

Czyli nie mamy po co rozmawiać o mojej ofercie, dopóki nie dostaniecie nowej koncesji?

– Po pierwsze, teraz z nikim nie rozmawiamy o sprzedaży, bo nie ma ani takiej potrzeby, ani przymusu. Po drugie, czekamy na przedłużenie koncesji. Później będziemy się zastanawiać nad sprzedażą. I na pewno nie całości, jeśli dotąd z kimś rozmawialiśmy, to mówiliśmy o współwłasności, układzie partnerskim.

A dlaczego nie sprzedać całości? Jeśli jest dobry kupiec?

– Dlatego że jeszcze mnie to cieszy i chcę coś jeszcze z tą telewizją robić.

A co cieszy „w robieniu telewizji”, w posiadaniu telewizji?

– Z mojego punktu widzenia to przede wszystkim wyzwanie gospodarcze.

Zabrzmiło nieprzekonująco. A sam program też Pana zajmuje?

– Program bacznie obserwuję i zawsze staram się patrzeć z dwóch stron – właściciela i widza.

Jest Pan znany z tego, że ma swoje kateryczne zdanie na temat konkretnych programów, że wydaje się Panu, że „wie”.

– Oczywiście. Jak do tej pory intuicja mnie nie zawiodła.

Kiedy na przykład?

– Nie chcę mówić o konkretnych programach, ja przede wszystkim akceptuję ramówkę.



Układam ją tak, żeby wyniki oglądalności były jak najwyższe.

Ale skąd Pan wie, jak ją ułożyć, skąd jest ta wiedza?

– Codziennie sprawdzam wyniki oglądalności, analizuję badania. Jak mi się coś nie podobą, to sprawdzam dane. Porównuję nas, oczywiście, z konkurencją.

Polsat jest znany ze stanowczości – kiedy programy nie osiągają zakładanej widowni, szybko je zdejmujecie, nie eksperymentujecie, nie czekacie. Może za szybko to robicie?

– Być może. Nie mówię, że wszystko, co robimy, jest perfekcyjne. Ale taką przyjęliśmy metodę i jej się trzymamy. Kończymy i próbujemy następne.

A łatwo Panu przychodzi komunikowanie komuś, że niestety...

– Akurat tym się bezpośrednio nie zajmuję. Ja tylko patrzę na wyniki oglądalności.

O której rano?

Nie ma sensu prowadzić działalności opartej na łapówkach, na przekupstwie, na zależności od polityków. Jeśli ktoś zaproponowałby mi przedłużenie koncesji na Polsat za łapówkę, zawiadomiłbym prokuraturę

– Co o której rano?

Patrzy Pan na wyniki.

– Zawsze o 9.15 dostaję na komórkę ogólne wyniki oglądalności i mniej więcej wiem, jaki był poprzedni dzień, a później w pracy dokładnie je sprawdzam w komputerze i porównuję, jakie audycje poszły w górę, a jakie w dół.

A czy myśli Pan, że – jeśli chodzi o kierowanie telewizją – gdzieś się kończą Pańskie kompetencje, że trzeba oddać to innym?

– To się dzieje, w tej chwili oddaliśmy zarządzanie w trochę młodsze ręce. Konkurencja jest coraz większa, więc trzeba coraz więcej wysiłku, coraz więcej wiedzy. Pozostawiłem sobie właściwie przede wszystkim wpływ na ramówkę, ja ją akceptuję. Już poza tym mało zarządzam.

Mało jest menedżerów, którzy potrafią sobie powiedzieć: „Stop, ja już się nie powinienem w to mieszać, to już są rzeczy, w których ani nie jestem wykształcony, ani nie mam doświadczenia, i muszę to oddać innym”. Czy Pana na to stać?

– Oczywiście, tak jest. Ja wiem, że już nie wystarczy wiedza jednej osoby, jej intuicja.

Nie odbiera Pan tego jako osobistej porażki?

– Wręcz przeciwnie. Jestem zadowolony, że mniej mogę się zajmować tymi sprawami. Fakt, że czasami, jak zobaczę na ekranie coś,

co jest źle zrobione – ja więcej widzę niż normalny telewidz – no, to oczywiście reaguję, żeby te błędy wyeliminować.

Gdyby ktoś mi powiedział trzy lata temu, że Polsat zorganizuje z „Gazetą Wyborczą” wspólną akcję przeciw łamaniu wolności słowa na Białorusi, to bym go wyśmiał. Teraz to robicie. Po co Wam to?

– Współpraca mediów jest potrzebna, to daje rezultaty. Musimy być bardziej aktywni.

Kiedyś tak nie było. Polsat omijał takie akcje, chcieliście być taką wyspą bezpiecznych tematów.

– Być może, ale nie można ciągle chować głowy w piasek, trzeba iść do przodu.

A Pana osobiście cieszy, że Polsat angażuje się w sprawy społecznie ważne?

– My zawsze chcieliśmy to robić, tylko potrzebne były do tego nie tylko pieniądze, lecz także zdolni dziennikarze i współpraca z innymi mediami. Ta współpraca okazała się ostatnio możliwa i dlatego to robimy.

Można by podejrzewać, że powinien Pan właściwie unikać takich drażliwych tematów, bo Pańskie interesy są rozległe, można komuś nadebrać na odcisk i zepsuć sobie wtedy jakieś przedsięwzięcie...

– Ja nie mam żadnych interesów, które byłyby od kogoś zależne. Nie mam się czego bać. Nie zapominam jednak, że są rzeczy, których nie powinno się pokazywać.

Na przykład?

– Na przykład z ostrożnością należy podchodzić do kontrowersyjnych informacji o prezydencie. Bo buzi się nie tylko autorytet osoby ważnej w kraju, lecz także wizerunek Polski w świecie.

A premier też podlega Pańskim zdaniem takiej ochronie?

– Czy premier podlega... No, reprezentuje w końcu ten kraj, ale rządząc, oczywiście nie uszczęśliwia się od pewnych błędów. Jeżeli są problemem, dyskwalifikują w ogóle jego osobę, to powinniśmy zareagować. Ale trzeba mieć naprawdę mocne argumenty. Kiedyś dziennikarze mieli do mnie pretensje, żeśmy natychmiast nie zareagowali, kiedy pojawiły się zdjęcia prezydenta z Charkowa. A ja mówiłem: „Spokojnie. Trzeba to przemyśleć, powoli, żeby pochopnie czegoś nie zrobić”. Z innej strony – w tę aferę pedofilską, nad którą pra-

cujemy z „Wprost”, były inne jeszcze osoby podobno zamieszane. Nie wiadomo było, co robić... Pokazać, nie pokazać. Postanowiliśmy, że dopóki nie sprawdzimy na sto procent, nie pokażemy. Zniszczylibyśmy ludzi, którzy są wielkimi autorytetami w tym kraju.

Czy nie lepiej robić czystą rozrywkę i mieć święty spokój?

– Wymagania widzów są w tej chwili dużo większe. To widać choćby po informacjach, gdzie też do tej pory nie chcieliśmy się angażować, a teraz wiemy, że jednak informacje są bardzo ważne, i dlatego podpisaliśmy umowę z CNN, dlatego zmieniliśmy scenografię studia, inwestujemy w newsy. Sama rozrywka już nie wystarczy.

A w Panu jest potrzeba wpływania na opinię publiczną? Czy jest jakaś misja Zygmunta Solorza?

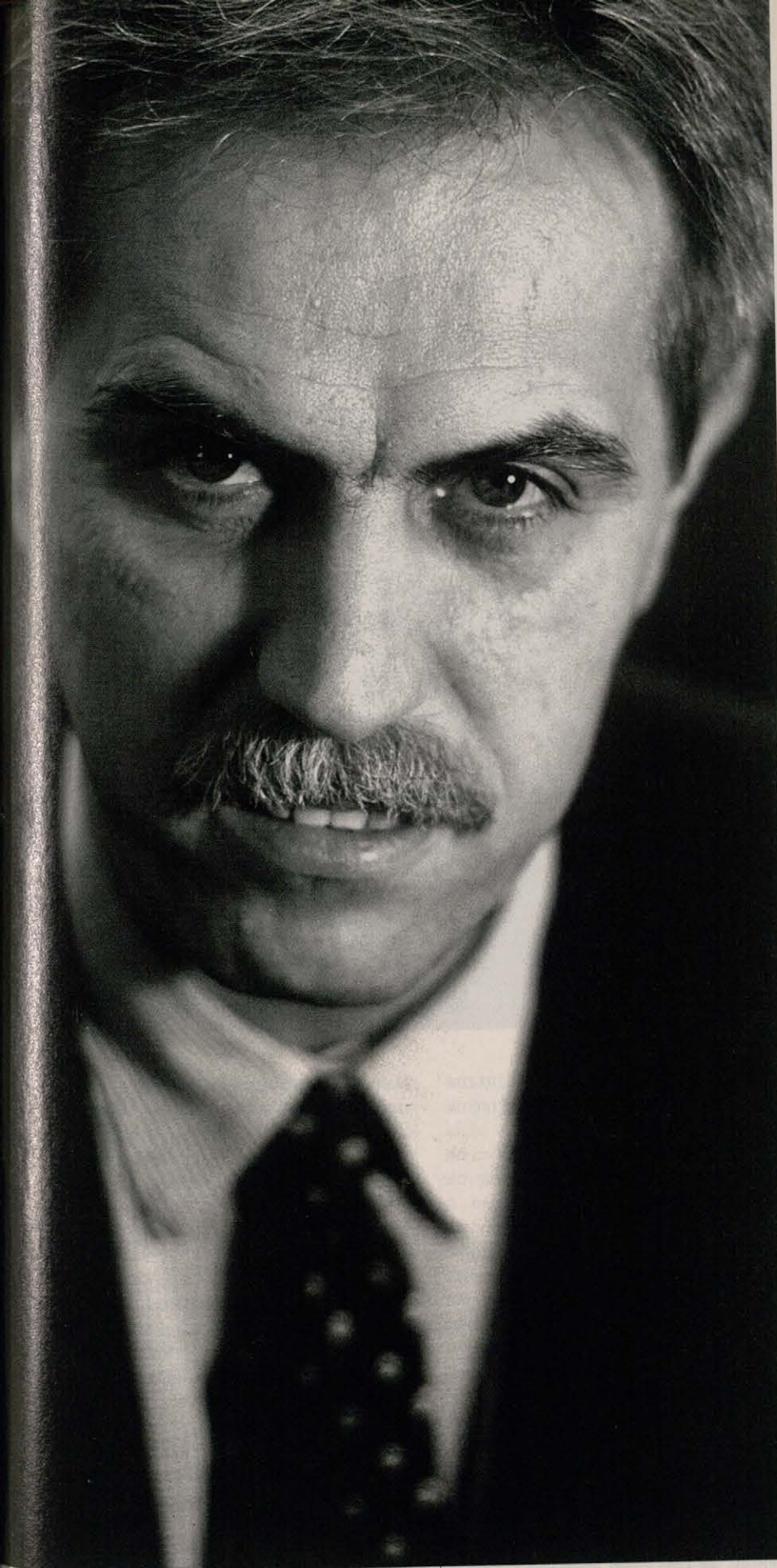
– Nie, ja tymi kategoriami nigdy nie myślałem i nie myślę. Ja tylko nie chciałbym niszczyć nieprzemyślane autorytetu państwa, autorytetów konkretnych ludzi. Może jest to też wynik tego, co sam przeszedłem z mediami, kiedy Polsat dostał koncesję.

U podłoża afery z Rywinem była sprawa sprzedaży Agorze, wydawcy „Gazety Wyborczej”, części udziałów w Polsacie. Jakie były losy tych negocjacji?

– Sprawa była bardzo prosta. Chcieliśmy wzmocnić finansowo Polsat, a więc najpierw próbowaliśmy pomysł z giełdą. Dwa lata temu przygotowaliśmy odpowiednie dokumenty, ale giełda wtedy zaczęła padać. Skoro nie giełda, to powiedzieliśmy sobie: To może znajdziemy jakiegoś inwestora, który pomógłby nam w rozwoju stacji, bo konkurencja jest coraz większa. Zaprośiliśmy do konkursu, zgłosiło się kilka firm, złożyły oferty. Rozmawialiśmy. Niestety, koncesja się już kończy i każdy z inwestorów mówi nam: „No, wszystko dobrze, ale – niech nawet będzie to jedna setna procenta – możecie nowej nie dostać, więc dziś ryzyko dla nas jest za duże, poczekajmy”. I czekamy.

Nie mając innego wyjścia, postanowiliśmy rozwijać Polsat, a nie koncentrować się na sprzedaży. Takie doświadczenia przecież już mam, chociażby z Invest-Banku, gdzie zamiast skoncentrować się na rozwoju banku, skoncentrowaliśmy się na sprzedaży i to powodowało straty. Dzisiaj rozwijamy bank i on przynosi zyski. Nie chcę tego błędu powtórzyć z Polsatem. Jest Pan w stanie wyobrazić sobie połączenie dwóch takich organizmów jak „Gazeta” i Polsat, wyrosłych z zupełnie innych filozofii działania?

– Widzę pewną trudność, ale te cele można wypośredkować. A my szukaliśmy partnera, który mógłby wnieść coś do Polsatu oprócz pieniędzy. Szczerze mówiąc, wierzymy, że połączenie takich mediów jak „Gazeta Wyborcza” i Polsat, czyli największa gazeta codzienna i telewizja ogólnopolska, daje jakąś nową jakość, chociażby przy takich wspólnych akcjach, jakie dziś już robimy. To funkcjonuje,



FOT. PIOTR MAŁECKI/FORUM

ma ręce i nogi. Po drugie, zmienił się troszeczkę rynek, reklamodawcy zaczęli wybierać bardzo wąskie grupy telewidzów – o wysokich dochodach, czyli mieszkających w dużych miastach. Dotąd byliśmy stacją skierowaną bardziej „do wszystkich”, więc wiedzieliśmy, że musimy zmieniać nasz wizerunek. „Gazeta” mogłaby nam w tym pomóc.

Krytycy tej fuzji „Gazety” i Polsatu mówią, że komercyjny sukces przy takim wspólnym zarządzaniu będzie trudny, bo przecież „Gazeta” będzie chciała uczynić program Polsatu ambitniejszym, a to może zmniejszyć widownię.

– Może chcieliby być ambitniejsi, ale wydaje mi się, że czas zweryfikowałby takie decyzje. My jesteśmy telewizją ogólnopolską, a gazety – jak wiadomo – sprzedają się przede wszystkim w dużych miastach. Nie można więc mechanicznie przenosić własnych, nawet dobrych, doświadczeń na inne medium. Program bardziej ambitny... No dobrze, zrzuciliby disko polo. My to już sami zrobiliśmy. I co dalej?

Może nie chcieliby firmować reality show.

– Nie chcieliby reality show? Ten format, widać to po TVN, jest oglądany przede wszystkim w dużych miastach i przez młodą widownię. Wydaje mi się, że młoda widownia interesuje „Gazetę”. Zresztą nie było między nami rozmów na temat przyszłości programu Polsatu.

W tej chwili trwają rozmowy z „Gazetą”?

– Nie.

Wróćcie do nich po odnowieniu koncesji?

– Być może.

Ma Pan w swoim gabinecie ukryte magnetofony?

– Nie. I w ogóle się tym problemem nie przejmuję. Gdybym miał się martwić, że wszędzie są mikrofony, tobym zwariował. Trzeba wychodzić z założenia, że wszystko i wszędzie jest na podsłuchu. I wtedy człowiek jest spokojny, zastanawia się, co mówi.

A Pan sam nagrywa ważne rozmowy?

– Nie.

Koncesje przydziela Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, urzędnicy delegowani tam przez partie polityczne. Żyjemy w Polsce, więc wiemy, że Polsat trochę jednak jest wystawiony na łaskę i niełaskę urzędników. Co będzie, jeżeli przyjdzie do Pana emisariusz – podobnie jak do Adama Michnika przyszedł emisariusz w innej sprawie – i powie: „Proszę Pana, wartość Polsatu z nową licencją wynosi 520 milionów dolarów, poprosimy pięć procent za odnowienie koncesji i roztajemy się w zgodzie na 10 lat”. Jak by Pan zareagował?

– Zawiadomię prokuraturę.

Zaraz, spokojnie! A może jednak warto byłoby się zastanowić, zapłacić te 26 milionów dolarów i zarobić przez 10 lat osiem razy tyle?

– To nie miało by sensu. Dlatego że nie ma sensu prowadzić działalności, która jest oparta na łapówkach, na jakimś przekupstwie, na zależności od polityków.

Jest Pan zależny raz na 10 lat, a potem ma spokój.

– To nie jest takie proste. Każdy ma jakieś tam swoje sumienie i zasady. Może nie bez kozery pan Rywin powiedział w słynnej rozmowie z Michnikiem, że do Solorza nie ma po co przychodzić, no bo w takich sprawach z Solorzem się nie można dogadać.

Powiedział jeszcze, że jest Pan „bandziorem”, który „zardzewiały nóż w plecy człowiekowi wbił”. Co Pan sobie myślał, kiedy czytał ten fragment rozmowy w „Gazecie Wyborczej”?

– Potraktowałem to jako przenośnię. Nie wierzę, żeby Rywin tak myślał naprawdę. Ja też w swoim gabinecie czasami rozmawiam, nie przebiegając w słowach, ale to nie znaczy, że ja tak dosłownie myślę. Polski język jest po prostu bardzo soczysty.

Widział się Pan z Rywinem po tej publikacji?

– Nie.

A jak się Pan z nim zobaczy, to co się wydarzy?

– Nic.

Nie przyłoży mu Pan za ten „nóż w plecach”?

– Nie. Istotne dla mnie są jego inne słowa, że powiedział, że na pewno nie jestem złodziejem. Z tego wszystkiego widać, że z jednej strony jestem facetem twardym w negocjacjach, że nie ma po co do mnie z takimi propozycjami podchodzić, a po drugie, że nikomu nie Solorz nie ukradł.

Powiedział Pan, że po propozycji łapówki zawiadomiłby Pan prokuraturę. Uważa Pan, że Adam Michnik popełnił błąd, czekając z tym pół roku?

– Ja bym to zrobił od razu, bo dziś już wiem, jaką taką zwłoka mogłaby wywołać aferę. Moim zdaniem Michnik słusznie zrobił, że nie poszedł od razu do prokuratury. Ja też chciałbym najpierw osobiście dojść prawdy: czy to jest blef, czy „on” naprawdę kogoś reprezentuje. Michnik nie miał obowiązku powiadamiania prokuratury. Moim zdaniem zachował się w porządku. Dlaczego? Dlatego że powiadomił dziennikarzy. Powiedział: „Panowie, sprawdźcie to”.

Działa prokuratura, zaczyna posiedzenia nadzwyczajna komisja sejmowa. Spodziewa się Pan, że dowiemy się jakichś rewelacji?

– Nie, niczego się nie dowiemy.

A jeśli Rywin powie, że nie był sam, że reprezentował konkretnych ludzi, wymieni ich nazwiska?

– Być może tak będzie, no i co z tego? Co powie, że...

Że przysłał mnie ten i ten.

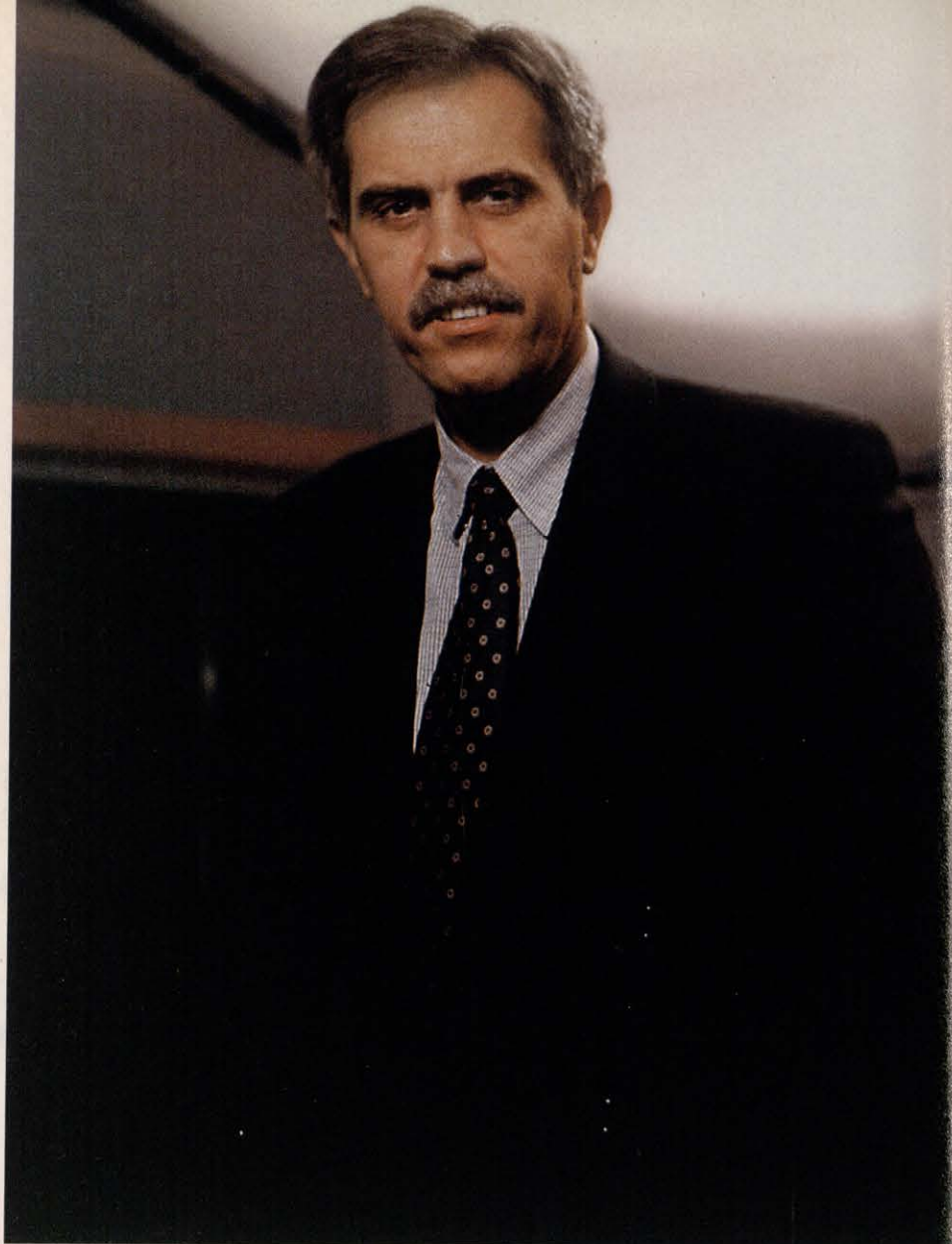
– Powie, no i co? I myśli pan, że wymieniony się przyzna, niech pan nie będzie dzieckiem! A i sam Rywin stał się już niewiarygodny, chociażby poprzez te dotychczasowe wypowiedzi.

Wróćmy do Pańskiej kończącej się koncesji. Wyobraźmy sobie sytuację, w której nie odnawiają Wam koncesji. Co zrobicie?

– Nie wiem.

Budynki stoją, studia telewizyjne stoją, a Wy nie macie koncesji. Nadajecie piracko?

– Nawet sobie tego nie próbowałem wyobrazić, tak jest to dla mnie nierealne. Nie



myślimy o tym, bo gdyby tak się stało, to znałoby, że w tym kraju już naprawdę nic nie można robić.

Wyemigrowałby Pan wtedy?

– Nie, walczyłbym z tym, ja bym się nie poddał.

Jak Solorz walczy?

– Pokazywałbym w telewizji prawdę. Zrobiłbym wszystko, żeby ta prawda o chorym państwie wyszła na jaw.

Ale nie miałby Pan już telewizji, bo nie miałby Pan koncesji!

– Jestem przyzwyczajony do warunków polowych, jak pan wie, zaczynaliśmy nadawać satelitarnie z Holandii i tego nawet dzisiaj urzędnicy ograniczyć mi nie mogą. Może miałbym wtedy najlepszą oglądalność?

Jest Polsat, jest Invest-Bank, słyhać o Pańskim wejściu w Erę GSM, są jeszcze różne inne interesy. Imperium Solorza się rozrasta. Może się okazać, że żeby takie imperium utrzymać w całości, trzeba być też politykiem. To zdaje się zrozumiał premier Włoch i wielki przedsię-

biorca Silvio Berlusconi. Czy może Pan powtórzyć jego drogę?

– Nie sądzę. Polityków są setki, tysiące – wspólnie tym „kręcą”. Ja nie chcę być jednym z setek, bo mnie to nie cieszy. Zawsze prowadziłem interesy sam i wolę zostać sam. Poza tym lubię sytuacje jasne i klarowne, a w polityce, niestety, nie wszystko jest klarowne.

Byłby Pan w stanie wyobrazić sobie Zygmunta Solorza, który rezygnuje z biznesu i żyje gdzieś na uboczu?

– Nie. Na pewno bym coś robił.

Musi Pan coś robić?

– Tak, nie wytrzymałbym nicnierobienia. Żona mówi, że jestem pracoholikiem.

Pan się z nią zgadza?

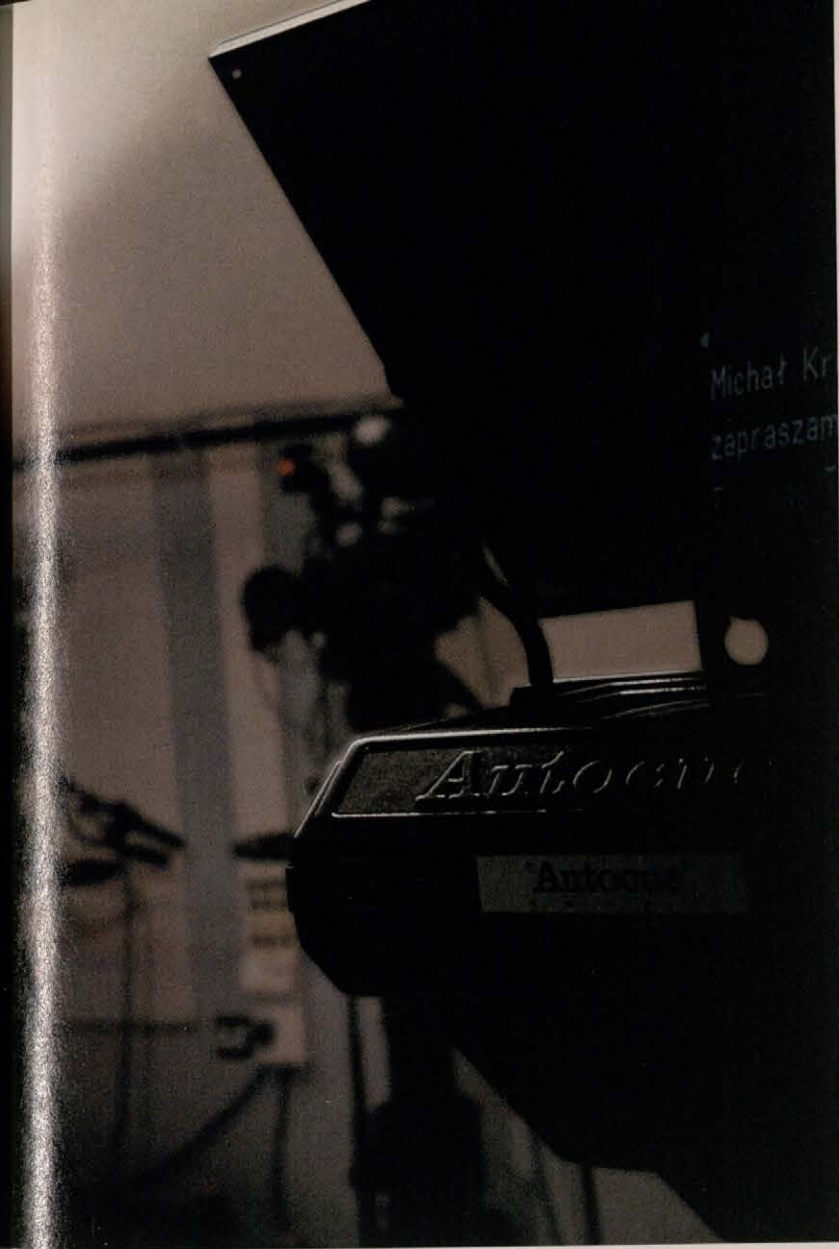
– Niestety, muszę się z nią zgodzić, ma rację.

Czemu się Pan nie leczy?

– A można to leczyć?

Oczywiście.

– Tak! Nie wiedziałem. Ale nie będę się leczył. Ja pracą żyję. Gdybym siedział w domu...



To byłby koniec wszystkiego. Człowiek musi coś robić. Nie mógłbym wytrzymać na dwu-trzymiesięcznych wczasach. Nie widzę tego, nie czuję.

O której Pan wstaje?

– O siódmej.

Szef takiego wielkiego imperium mógłby sobie pospać.

– Prawda? Ale człowiek musi się sprawdzać od rana.

Solorz chyba się już sprawdził? Może sobie powiedzieć: „Stop”.

– Nie da się tak.

Pan czasem myśli o swoich pieniądzach?

– Nie.

Dlaczego?

– Pieniądze są tylko elementem.

Ciekawe, że tak mówią tylko ci, którzy mają ich dużo.

– Być może dlatego tak mówię, bo nie mam potrzeby, żeby je liczyć. Nie trzymam ich na koncie, od czasu do czasu ciesząc się, że je mam. Te pieniądze są w interesie, mno-

żą się i w ten sposób je człowiek sprawdza. Mogą być instrumentem do tworzenia jakichś większych spraw.

Na co dzień jest Pan sknerą?

– Nie, raczej nie.

A największa, najdroższa ekstrawagancja, na jaką Pan sobie pozwolił?

– Traktuję wszystko jako rzecz potrzebną do pracy.

Słonia Pan sobie nie kupił.

– Ale troszkę na przekór żonie kupiłem ostatnio jakiś tam samochód.

Ile kosztował?

–

Czemu na przekór?

– Jak to w rodzinie, nie zawsze się zgadzamy. Są sprzeczki, ale co to byłoby za życie, gdyby się człowiek nie sprzeczał. Są ludzie spokojni, są ludzie energiczni, ja jestem wybuchowy.

I potem Pan żałuje, że wybuchnął?

– Nie, nie żałuję. Dlaczego mam żałować? Co ma wisieć, nie utonie.

Polityków są tysiące i wspólnie „kręcą”. Ja zawsze prowadziłem interesy sam i wolę zostać sam. Lubię sytuacje jasne i klarowne, a w polityce nie wszystko jest klarowne

A zdarza się Panu wybuchać, kiedy czyta Pan decyzję KRRiTV o karze finansowej nałożonej na Polsat za emisję filmu z tak zwanymi scenami? Jest Pan w jakiejś mierze jednak uzależniony od decyzji urzędników, a co za tym idzie – polityków.

– Bo przepisy, także jeśli chodzi o media, są niejasne. Krajowa Rada mówi: „Ukarzemy pana Solorza za to, że ten film nam się nie podoba...”.

No nie, nie za to, że „nam się nie podoba”, tylko za to, że był bardzo brutalny i zawierał sceny.

– Mam pytanie: brutalny – to znaczy co w nim było? Ścięcie jednej głowy czy dziesięciu – przepraszam, że taki skrajny przykład daję. Czy jak w filmie akcji ginie stu, to on jest brutalny, czy jak dwóch, to jest brutalny. Nie wiadomo. Nie ma żadnych kryteriów, dzięki którym można by precyzyjnie powiedzieć, że tego filmu nie można na pewno puścić. Przecież my filmy kupujemy w pakietach. Kupując, powinniśmy wiedzieć, ile z tych filmów będziemy mogli wyemitować. Czasem nie emitujemy i zaczyna się inny kołowrotek: przychodzi urząd skarbowy i pyta, dlaczego tego filmu nie wyemitowaliśmy. A zapłaciliśmy za niego. Jesteśmy znowu podejrzeni.

Może biznesmeni powinni się zbuntować przeciwko politykom? Jest możliwość takiej koalicji?

– W tej chwili wszystkie media walczą wspólnie z pomysłami polityków.

W trakcie tej walki z KRRiTV prezes Radia RMF zaproponował, żeby – w proteście – przez jakiś czas bojkotować polityków i politykę. Milczeć o tym w mediach.

– To był dobry pomysł. Czasami trzeba robić działania, które dadzą politykom trochę do myślenia. Bo jest tak, że oni bez nas by nie istnieli, nie funkcjonowali, społeczeństwo niewiele by o nich wiedziało. Gdyby wszystkie media podjęły decyzję o takim proteście wobec polityków, to my na pewno byśmy się do tego przyłączyli.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB

Pobudka o czwartej rano. Wyrwani ze snu mężczyźni chwytają ciężkie plecaki z ekwipunkiem. Ruszają w prawie 10-kilometrowy marszobieg. Tak amerykańska armia przygotowuje dziennikarzy do wojny.

– Niektórzy szybko zrozumieli, że to nie dla nich – wspomina korespondent BBC David Willis, który uczestniczył w obozie szkoleniowym dla żurnalistów w Fort Benning.

Słabeusze nie mają szans. Zbliżająca się wojna w Iraku będzie bowiem nie tylko starciem amerykańskiej armii z oddziałami Saddama Husajna, lecz także walką między największymi koncernami medialnymi o tytuł arcymistrza w dostarczaniu informacji. I o wielkie pieniądze.

Najbardziej widowiskowo zapowiada się batalia amerykańskich gigantów telewizji informacyjnej – CNN i Fox News. Obie stacje borykają się z problemami finansowymi, a ewentualna wojna, jeśli zostanie tylko w odpowiedni sposób opakowana, może pozwolić na odrobienie kilkumiliardowych strat spowodowanych recesją. Na trzeciego gracza wyrasta katarska stacja al Dżazira, która już teraz jest potentatem informacyjnym w świecie arabskim.

REPORTERZY W OKOPACH

Poprzednia wojna z Irakiem dała początek światowej potędze telewizji informacyjnej CNN. Miliony ludzi na całym świecie oglądały wtedy legendarnego już Petera Arnetta, który ze środka bombardowanego Bagdadu na żywo relacjonował przebieg wojny. Pojawiło się nawet pojęcie „syndromu CNN”, choroby objawiającej się ziewaniem i podkrążonymi oczami po całonocnym oglądaniu „Breaking News”.

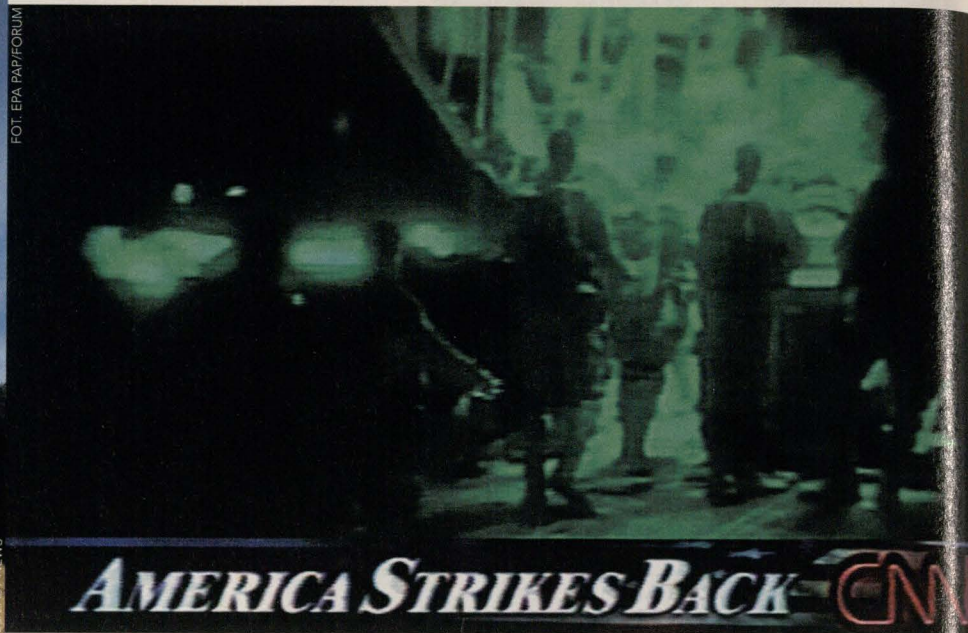
– Ta wojna będzie kamieniem milowym dziennikarstwa – mówi Richard Tait z niezależnej brytyjskiej telewizji ITN. Zdaniem specjalistów telewizja dysponuje dzisiaj znacznie większymi możliwościami niż podczas „Pustynnej Burzy” w roku 1991. Dzięki technice cyfrowej reporterzy telewizyjni będą mogli się uniezależnić od „poolów”, czyli grup dziennikarzy przebywających w rejonie walk za zgodą armii, oraz od kontrolowanych przez wojsko mocnych anten satelitarnych, przez które dotąd łączyli się z redakcjami.

Korespondenci telewizyjni coraz częściej narażają życie dla wiadomości. Na zdjęciu izraelski kamerzysta ucieka przed wybuchem granatu w Strefie Gazy

TELEWIZJA PRAGNIE WOJNY

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

Dla medialnych gigantów konflikt w Iraku będzie żyłą złota. Obłowi się ten, kto pokaże najwięcej i najszybciej. Do walki o widzów i zyski stają amerykańskie stacje CNN i Fox News oraz katarska al Dżazira



CNN jako pierwsza stacja poinformowała o rozpoczęciu amerykańskiej interwencji w Afganistanie. Nocne zdjęcia z przygotowań do pierwszego desantu udostępnił telewizji Pentagon. Po lewej: armia amerykańska uczy dziennikarzy, jak się maskować, opatrywać rany i okopywać się

Już w czasie walk w Afganistanie w użyciu były telefony satelitarne umożliwiające przesyłanie obrazu. Teraz zostały znacznie udoskonalone.

Mimo to sam Peter Arnett jest sceptyczny: – Bardzo wątpię, by dziennikarzom udało się znaleźć na samej linii walk – mówi. A wymęczony na obozie treningowym Willis pyta: – Wyobrażacie sobie ekipy telewizyjne wyskakujące z okopów?

PATRIOCI KONTRA ZAUSZNYCY WŁADZY

Jednak telewizyjni giganci – Fox News i CNN – mają już własne strategie wojenne. Fox, który reklamuje się jako stacja „równoważona i rzetelna”, atakuje patriotyzmem. Prezenterka Rita Crosby pojawia się na ekranie z miniaturową amerykańską flagą w klapie żakietu, a Geraldo Rivera podczas nadawania zdjęć z bombardowań Afganistanu krzychał w studiu: – No i jak się teraz czujesz, Osama?! Pamiętaj o 11 września!

– Zrobimy wszystko, co jest naszym patriotycznym obowiązkiem – oznajmia uroczystie właściciel Foksa Rupert Murdoch. Obserwatorzy w USA zauważają jednak, że Fox po prostu daje się nieść fali „obywatelskiego amoku” widzów. Organizacja Reporterzy bez Granic alarmuje, że wewnętrzna cenzura w redakcjach (nie tylko w Foksie) doprowadza do usuwania programów lub artykułów, które mogłyby się nie spodobać patriotycznym nastrojom odbiorcom.

Przytłoczona falą amerykańskiej miłości do ojczyzny CNN na razie stawia na swoje związki z establishmentem i łatwiejszy dostęp do kularowych informacji z Białego Domu. Kon-

kurencja mówi, że stacja CNN „zatonęła w oceanie rządowej propagandy”.

Jak jednak się zachować, gdy walczy i giną „nasi”? Taki dylemat mają też media w Europie. – Powinniśmy pisać „brytyjskie wojska” czy „nasze wojska”? – zastanawia się jeden z londyńskich dziennikarzy, armia Jej Królewskiej Mości wszak też jedzie na wojnę.

CZARNY KOŃ ARABSKIEJ KRWI

Do wojny o eter włączyła się również arabska al Dżazira. Katarska telewizja, czarny koń znad Zatoki Perskiej, kluje wszystkich w oczy informacjami wprost z Iraku i z samego serca al Kaidy. Władze USA jej nie ufają, a nawet oskarżają o sprzyjanie terrorystom (to al Dżazira publikowała jako pierwsza wszystkie taśmy z wystąpieniami Osamy ben Ladena). Dlatego tam, gdzie sięgają amerykańskie wpływy, stacja ma kłopoty: zamknięto jej biura w Jordani i Kuwejcie, a z Bahrajnu, gdzie jest amerykańska baza wojskowa, usunięto jej dziennikarzy.

Al Dżazira jednak już teraz odbiera zachodnim nadawcom arabskich widzów. Ma ich 35 milionów, a w samych Stanach Zjednoczonych – 150 tysięcy. 16 stycznia Katarczyści podpisali porozumienie z brytyjską BBC, wychodząc tym samym na ogólnosięciowy rynek telewizji satelitarnych. Jednocześnie Saddam Husajn obiecał podobno szefowi al Dżaziry Jasemowi al Alemu prawo transmisji wojny wprost z Iraku. W ten sposób al Dżazira zajęła tam już miejsce korespondentów CNN.

Narastająca wśród muzułmanów niechęć do Zachodu niesie al Dżazirę zupełnie tak samo, jak amerykański patriotyzm wspomaga Foksa

po drugiej stronie oceanu. Jeśli dojdzie do wojny z Irakiem, katarska telewizja stanie się prawdopodobnie trzecim globalnym graczem obok Foksa i CNN. – Spróbujemy być inni niż wszyscy – mówi szef katarskiej telewizji Jasem al Ali.

ARMIA PRZECIW WOLNOŚCI SŁOWA

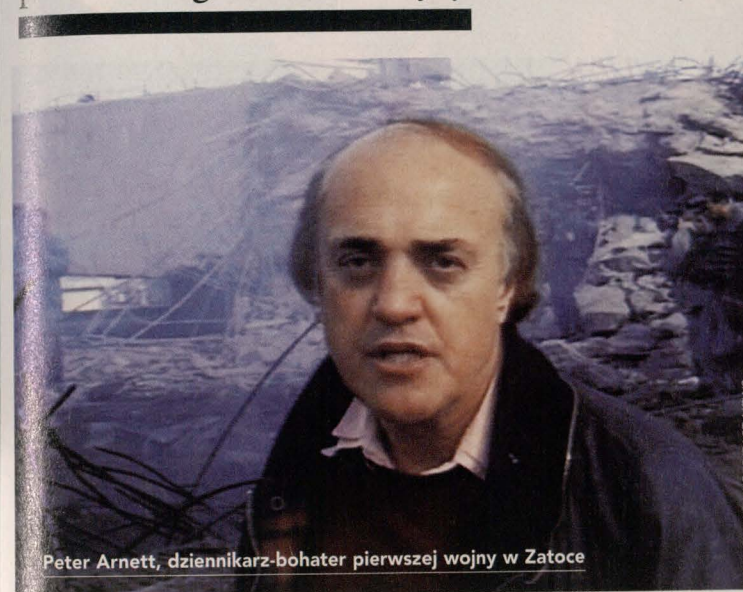
Przygotowania do wojny pochłaniają ogromne pieniądze. Minuta przekazu satelitarnego kosztuje kilka tysięcy dolarów, a stacje rezerwują takie transmisje blokami – po 12–24 godziny. Do tego dochodzą koszty nowoczesnego sprzętu technicznego i utrzymania już teraz „pod parą” kilkudziesięcioosobowych ekip w pobliżu Iraku.

Specjaliści zastanawiają się jednak, czy gra będzie warta świeczki. Prawdziwy przebieg pierwszej wojny w Zatoce i błędy popełnione wówczas przez wojskowych wyszły na jaw dopiero kilka lat po zakończeniu konfliktu. Jak blisko prawdy uda się obecnie dotrzeć dziennikarzom?

Mimo organizowania obozów treningowych dla dziennikarzy amerykańscy wojskowi nie ukrywają: – Wy macie robotę do zrobienia, ale to nie jest ta sama robota, jaką mamy my.

Pierwsze spory wybuchły, gdy wojsko nie zgodziło się na używanie przez dziennikarzy własnych środków łączności w pobliżu frontu. Wszystkie materiały mają być wysyłane z wojskowego sprzętu. Czy obecna technika pozwoli się przebić przez coraz sprawniejszą państwową maszynę ukrywania prawdy, powołującą się w dodatku na konieczność ochrony patriotycznych uczuć Amerykanów? W czasie operacji w Afganistanie Pentagonowi

Pentagon zrobi wszystko, by dziennikarze nie zobaczyli prawdziwego oblicza wojny



Peter Arnett, dziennikarz-bohater pierwszej wojny w Zatoce

udało się zniwelować techniczną przewagę telewizji – wykupił wszystkie zdjęcia satelitarne firmy Space Imaging pochodzące z najcięższego cywilnego satelity Ikonos. Wojskowym chodziło przede wszystkim o ukrycie skutków bombardowań, które świetnie było widać z kosmosu.

DOBRY, WALECZNY DZIENNIKARZ

W kwestii wojny z Irakiem Biały Dom prowadzi wobec mediów politykę podobną do tej z czasów operacji „Pustynna Burza”. 12 lat temu ceną, jaką zapłacili dziennikarze za tak troskliwą opiekę, było całkowite podporządkowanie się wojskowemu, pilnowanie szeregu. US Army nie chciała drugiego Wietnamu, gdzie reporterzy włóczyli się bez dozoru po frontach, wtykali nos w nieudane akcje, obnażali okrucieństwo armii.

Urzędnicy z Waszyngtonu stawiają dzisiaj za wzór zupełnie innego dziennikarza z Wietnamu – Josepha Gallowaya, autora książki „Byliśmy kiedyś żołnierzami i byliśmy młodzi”, na podstawie której nakręcono film z Melem Gibsonem w roli głównej. W czasie walk w dolinie la Drang w roku 1965, gdy Galloway znalazł się w otoczonej jednostce amerykańskiej, sam chwycił za karabin. A wzorem wojskowego współpracującego z mediami jest dla administracji żyjący do dziś dowódca z la Drang generał Hal Moore, który dał mu ten karabin.

Amerykańskiego sekretarza obrony Donalda Rumsfelda przylapano niedawno na próbie stworzenia specjalnej grupy, która zajmowałaby się dezinformowaniem mediów. Po skandalu w prasie Rumsfeld w listopadzie zdezwuował własny projekt. Ale już w styczniu

Pentagon zaczął naciskać sojuszników z NATO, by połączyli biura prasowe armii z komórką do spraw „wojny psychologicznej”, czyli dezinformacji wroga (a przy okazji mediów).

Reporterzy bez Granic przestrzegają, że jeśli dziennikarze zrezygnują z zasady bezstronnego opisu wydarzeń i opowiedzą się po jednej ze stron – choćby to był własny kraj – staną się dla drugiej strony „dopuszczalnym celem”.

KNEBEL AUTOCENZURY

Szefowie największych amerykańskich mediów nie mają jednak ochoty wojować z administracją. Podczas spotkania z sekretarzem stanu USA Condoleezą Rice dobrowolnie zgodzili się ograniczyć podawanie informacji dotyczących całej „wojny z terroryzmem”, a szczególnie ewentualnej wojny z Irakiem.

Zabawne skutki tej decyzji można było zobaczyć podczas dziennikarskiego seminarium jesienią w Lublanie. Obecnym zaproszonym elementem było podjęcie decyzji o opublikowaniu nagrań terrorystów grożących dokonaniem zamachu. Taśma mogła jednak zawierać zaszyfrowane informacje dla popleczników organizacji. Amerykańscy uczestnicy gry nie zdecydowali się na publikację taśmy, nawet gdy prowadzący seminarium poinformował, że zamach już został dokonany. Brytyjczy gracze grzecznie, acz stanowczo, wyrazili natychmiast zgodę na publikację taśm, tak jak wcześniej szefowie brytyjskich stacji grzecznie, acz stanowczo, odrzucili rządowe propozycje ograniczeń w podawaniu informacji o nadciągającej wojnie.



Geraldowi Riverze z Fox News udało się przedostać w góry Tora Bora, gdy amerykańscy komandosi szukali tam ben Ladena. Podczas nadawania transmisji został ostrzelany przez talibów (grudzień 2001)

BAGDAD – CZARNA DZIURA

Czy w obliczu rządowych nacisków i wojskowych ograniczeń telewizjom – choćby jednej – uda się powtórzyć sukces CNN sprzed dekady? Może się okazać, że te gigantyczne korporacje zatrudniające tysiące ludzi zdane są na odwagę i determinację pojedynczych współpracowników, którzy za pomocą najnowocześniejszego sprzętu, ryzykując życie i ukrywając się przed obiema stronami konfliktu, będą nadawali gdzieś z rejonu walk. Tytuł że takie informacje mogą się okazać bardzo niewygodne dla administracji, wojskowych i szefów zwaśnionych telewizji. Co wtedy?

– Musimy być pewni, że pozostajemy otwartym społeczeństwem, w którym respektowane są prawa jednostki, w tym wolność słowa – mówił Strobe Talbott, jeszcze niedawno zastępca amerykańskiego sekretarza stanu.

Amerykańscy dziennikarze mogą się jedynie pocieszać, że takich problemów nie mają zagraniczni korespondenci w Iraku. Z Bagdadu nie wydostaje się nic, co nie zostało zaakceptowane przez tamtejsze władze. Wszystkie biura prasowe znajdują się w budynku irackiego ministerstwa informacji. Po korytarzach snują się agenci wywiadu i kontrwywiadu. Podczas organizowanych przez władze demonstracji antyamerykańskich zachodnim korespondentom nie wolno nawet rozmawiać z demonstrantami. A co bardziej dociekliwych Bagdad pozbawia prawa wjazdu – jak wieloletnią korespondentkę ABC w Iraku Sheilę MacVicar.

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI



Za pomówienie prezydenta o kontakty z obcym wywiadem w Polsce wystarczyło przeprosić. Na zdjęciu były redaktor naczelny „Życia” Tomasz Wolek podczas procesu

Ile warta jest plotka
o nieistniejącej ciąży?
Ile kosztuje
pomówienie?
W Polsce niewiele.
Nasze sądy nie potrafią
przeliczać szkód
na pieniądze

Dwa tygodnie temu sąd w Los Angeles zasądził 10 milionów dolarów odszkodowania na rzecz aktora Toma Cruise'a. Pod koniec 2001 roku Chad Slater, niegdyś gwiazda wrestlingu, a obecnie aktor w gejowskich filmach pornograficznych, powiedział w wywiadzie, że Cruise był jego kochankiem. Aktor natychmiast pozwał go o zniesławienie.

W Polsce dobre imię jest o wiele tańsze. Aleksander Kwaśniewski, który w roku 1997 pozwał redakcję „Życia” za zawartą w artykule sugestię, jakoby kontaktował się z rezydentem rosyjskiego wywiadu, musiał zadowolić się przeprosinami w gazecie. Sąd oddalił żądanie, by winowajca wypłacił zadośćuczynienie w wysokości 2,5 miliona złotych, które Kwaśniewski chciał przeznaczyć na rzecz powodzian. Żądanie finansowego zadośćuczynienia za doznane krzywdy wciąż jest w Polsce czymś nietypowym.

NOGA – 150 TYSIĘCY ZŁOTYCH

– W Polsce długo pokutowała doktryna, wedle której w porządnym państwie komunistycznym nie można bogacić się na zdrowiu – mówi rzeszowski mecenas Artur Kosturek prowadzący kilka spraw dotyczących błędów lekarskich. – Należały się przeprosiny i symboliczna złotówka za doznane krzywdy. Dlatego wciąż trudno uzyskać rozsądne kwoty zadośćuczynienia. Niedawno w sądzie w Nowym Sączu żądałem 500 tysięcy złotych od ubezpieczonego w Wąrcie szpitala dla 18-letniego chłopaka, któremu wskutek błędu w leczeniu trzeba było amputować nogę. Sąd przyznał w końcu 150 tysięcy, ale najciekawsze jest to, co powiedział mi sędzia na początku procesu: „500 tysięcy? Pan nie wie, w jakim kraju żyje! W Krakowie ucięta ręka kosztuje 30 tysięcy”. No tak, a co dopiero w Nowym Sączu.

– Rozumiem, że służba zdrowia w Polsce jest biedna – przyznaje mecenas Kosturek. – Ale ja nie domagałem się pieniędzy od upadającego szpitala, tylko od giganta ubezpieczeniowego.

TRZEBA STRACIĆ, ŻEBY ZAROBIĆ

MAX SUSKI



wydanego w tym tygodniu przez Aleksandra Kwaśniewskiego. W USA za pomówienie Toma Cruise'a o homoseksualny romans trzeba już zapłacić 10 milionów dolarów

Na stronie internetowej jednej z amerykańskich kancelarii adwokackich wyspecjalizowanej w roszczeniach medycznych można znaleźć konkretne kwoty, jakie udało się jej uzyskać – ofiara niemal identycznego przypadku amputacji nogi spowodowanego błędem lekarzy otrzymała 1,6 miliona dolarów.

NIEISTNIEJĄCA CIĄŻA – 300 TYSIĘCY ZŁOTYCH

Na początku ubiegłego roku w Polsce było głośno o sprawie rzekomej ciąży narzeczonej żeglarza Mateusza Kusznierewicza. Para dowiedziała się o własnym dziecku z... telewizji. Kolorowy tygodnik nie dość, że wymyślił całą historię, to wykorzystał ją jeszcze w reklamie numeru.

– Złożyłem w imieniu klientów pozew o zasądzenie 300 tysięcy złotych – informuje prowadzący sprawę mecenas Maciej Ślusarek. Mogłoby się wydawać, że chodzi o niesmaczny żart i nie ma o co kruszyć kopii. Ale reklamę telewizyjną obejrzały miliony ludzi. Po kilku miesiącach widzą, że narzeczona naszego

najlepszego żeglarza nie jest w ciąży ani nie ma dziecka. Dochodzi do masy niezręcznych i przykrych sytuacji towarzyskich. Jak to policzyc? Jakiej sumy żądać za komentarze i dziwne spojrzenia do końca życia?

– Jeszcze do niedawna podstawową drogą dochodzenia roszczeń w zakresie naruszenia dobrego imienia był proces karny – tłumaczy doktor prawa Maria Łoszevska, specjalista w sprawach naruszenia dóbr osobistych. – Kiedyś można było domagać się tylko zadośćuczynienia na cel społeczny. Od 1996 roku, znowelizowano kodeks cywilny, dopuszczając wypłatę zadośćuczynienia także do kieszonki poszkodowanego, liczba spraw cywilnych wzrosła. Ta forma dochodzenia praw staje się powoli dominująca.

PAPIEROSY – PIĘĆ TYSIĘCY ZŁOTYCH

Rekordowo wysokie kwoty przyznawane z tytułu zadośćuczynienia to specjalność sądownictwa amerykańskiego. Wystarczy przypomnieć niedawne procesy o wielomiliardowe kwoty dla nałogowych palaczy, których

nie uprzedzono o zgubnych skutkach palenia. Wiele z tych procesów jest ciągle w sądach, ale są już pierwsze ostateczne wyroki. Mężczyzna, któremu sąd pierwszej instancji przyznał trzy miliardy dolarów, zmarł przed końcem procesu i nie doczekał wypłaty stu milionów dolarów – do takiej kwoty sąd apelacyjny zredukował bowiem poprzedni wyrok.

W Polsce podobne kwoty są niewyobrażalne. O tym, jak trudno wygrać sprawę o zadośćuczynienie, przekonał się w lipcu 2000 roku katowiczanie Sławomir Lubicz-Sienicki. Zgodnie z amerykańską praktyką pozwał dwa koncerny tytoniowe, domagając się 10 milionów dolarów rekompensaty za cierpienia związane ze śmiercią matki, która była nałogową palaczką. Próbował dowiedzieć, że doznał trwałego urazu, patrząc przez wiele miesięcy na jej agonię. Przegrał, bo sąd uznał, że Lubicz nie wykazał, iż śmierć matki pogorszyła warunki jego życia.

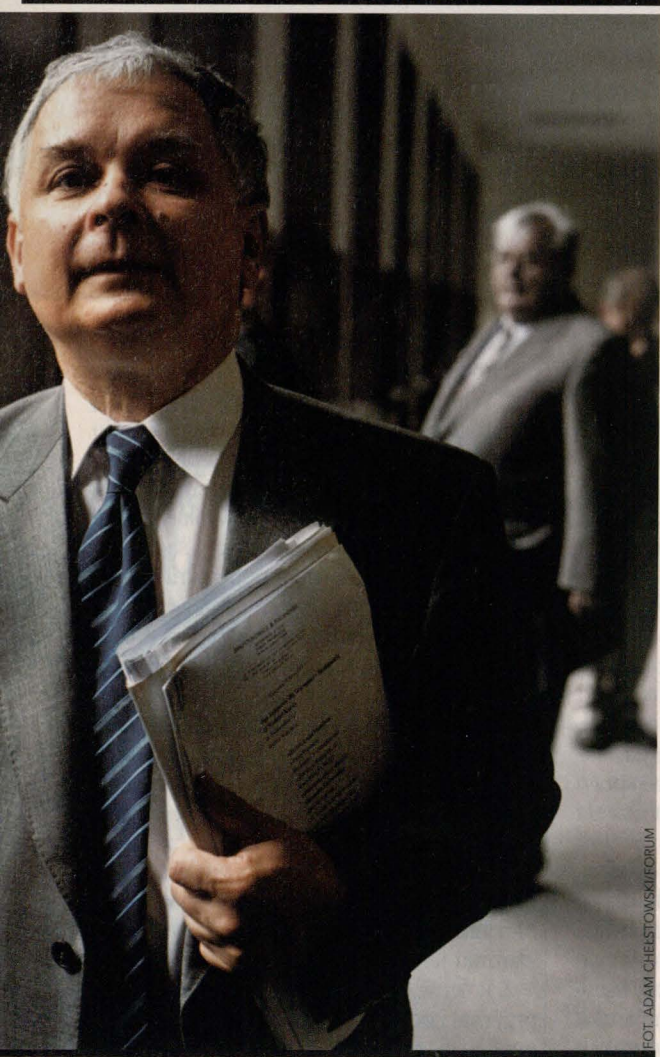
Z kolei w lipcu 2001 roku sąd w Rybniku przyznał odszkodowanie górnikowi, który musiał w pracy przebywać wśród palących



FOT. MIKHAIL METZEL/AP



FOT. MICHAEL METZEL/AP



FOT. ADAM CHESTOWSKI/FOTIM

Zdrowie jest u nas kilkanaście razy tańsze niż na Zachodzie. Tak wynika z wysokości zasądzanych w Polsce zadośćuczynień

ODSZKODOWANIA I ZADOŚĆUCZYNIENIA
Rekompensat
za poniesione straty można dochodzić na dwa sposoby jednocześnie
– z tytułu odszkodowania i zadośćuczynienia.
– Różnica polega na tym, że odszkodowanie dotyczy konkretnych, mierzalnych szkód – tłumaczy warszawski mecenas **MACIEJ ŚLUSAREK**. – Jeżeli na przykład plotki na temat czyjegoś homoseksualizmu spowodują, że ta osoba nie dostanie pracy, to na podstawie informacji o spodziewanych zarobkach może ona łatwo takie odszkodowanie wyliczyć. To samo dotyczy zwrotu kosztów leczenia czy rehabilitacji, wystarczy udokumentować wydatki. O wiele bardziej skomplikowana jest kwestia zadośćuczynienia krzywdy, na którą nie ma żadnych rachunków: przekreślenie życiowych szans, bojkot towarzyski, uraz psychiczny

Kilka dni temu moskiewski sąd oddalił pozew rodzin trzech zakładników, którzy zginęli w teatrze na Dubrowce. Adwokat Igor Trunow (na górze) żądał czterech milionów dolarów zadośćuczynienia.
Adwokat Michael Piuze (w środku) wygrał dla nałogowego palacza sto milionów dolarów.
Za pomówienie Aleksandra Gudzowatego Lech Kaczyński zapłacił na razie trzy tysiące złotych grzywny. Proces o zadośćuczynienie jest w toku

kolegów. Nie dostał odszkodowania za utracę zdrowie, ale za naruszenie dóbr osobistych. Otrzymał... pięć tysięcy złotych.

BIUST – 150 TYSIĘCY ZŁOTYCH

Różnice w wycenie ludzkiego zdrowia w różnych krajach najlepiej widać na przykładach spraw wynikających z błędów lekarskich. 63-letnia pacjentka jednego z londyńskich szpitali, której na skutek błędnej diagnozy niepotrzebnie usunięto obie piersi, wygrała w sądzie zadośćuczynienie w wysokości 345 tysięcy funtów (około dwóch milionów złotych). Identyczny wypadek w Polsce przyniósł zasądzenie kwoty 150 tysięcy złotych, czyli około 15-krotnie niższej. Prowadzący sprawę adwokat uważa jednak, że wyrok był sukcesem.

GRUŻLICA – 10 TYSIĘCY ZŁOTYCH

20-letni Paweł M. z Wrocławia o mało nie umarł w wojsku. Kłopoty ze zdrowiem zaczęły się w styczniu roku 2000. Mimo coraz gorszej kondycji i zwolnień lekarskich dowódca wysyłał go na poligon, bo podejrzewali, że symuluje. W książeczce zdrowia wpisywano mu „zdrowy”. W końcu Paweł M. trafił do cywilnego szpitala, gdzie stwierdzono gruźlicę. Przeleżał w łóżku trzy miesiące. Dziś lekarze przyznają, że choroba uczyniła go inwalidą. Dwa lata temu pozwał sztab wojskowy do sądu. Paweł M. domaga się 10 tysięcy złotych odszkodowania.

Pani Dorota Dymek pracowała w gdańskim hipermarkecie Auchan. Pięć lat temu w magazynie spadły na nią dwie 50-kilogramowe skrzynie. Doznała urazu kręgosłupa, po którym przez rok chodziła w kołnierzu usztywniającym. Chciała wrócić do pracy, ale zwolniono ją bez wypowiedzenia. Problemy ze zdrowiem nasilały się – pani Dorota przeszła kilka operacji, ma uszkodzony układ nerwowy rąk, dziś jest na rencie. Pozwała byłego pracodawcę do sądu. Domaga się 20 tysięcy złotych odszkodowania za utratę zdrowia.

W obu przypadkach widać, jak nisko wycenia się w Polsce zdrowie.

– Sąd, wydając wyrok, chcąc czy nie, odnosi się do kwot zasądzonych w podobnych sprawach wcześniej – wyjaśnia Maciej Ślusarek. – Jeżeli z grubsza wiadomo, jakich kwot można się spodziewać, po prostu nie ma sensu domagać się więcej. Poza tym w przypadku roszczeń majątkowych istnieje poważna przeszkoda proceduralna w postaci wpisu sądowego, który w Polsce wynosi aż

osiem procent żądanej sumy. Wielu ludzi na to po prostu nie stać. A ponieważ procesy w Polsce potwornie się ślimaczą, to łatwo zrozumieć, dlaczego wiele osób rezygnuje z dochodzenia swoich praw. Dla porównania – średnia stawka wpisu sądowego w krajach Unii Europejskiej nie przekracza czterech–pięciu procent, a procesy trwają kilkakrotnie krócej.

NOŻYCKI W BRZUCHU – 100 TYSIĘCY ZŁOTYCH

W sprawach przeciwko służbie zdrowia dochodzi jeszcze jedna przeszkoda – solidarność zawodowa.

– W Zakopanem toczy się beznadziejny proces – opowiada mecenas Ślusarek. – Do orzeczenia winy potrzebna jest opinia biegłego. Tymczasem lekarze, powołując się na przykład na znajomość z pozwanym, wciąż odmawiają wydania opinii. Niby wszystko jest, jak należy – wpis zapłacony, sprawa jest, a sąd nie może nic zrobić.

Pół biedy, jeśli вина lekarza jest ewidentna. Nożyczki zaszyte w brzuchu podczas operacji to oczywisty błąd w sztuce. Pacjentka z Wąbrzycha, która przez cztery lata nosiła narzędzie w jamie brzusznej, otrzymała pod koniec roku 1999 sto tysięcy złotych. W toczącym się prawie równocześnie procesie w Lublinie sąd przyznał 40 tysięcy złotych pacjentce, która dwa lata dłużej nosiła w brzuchu szczypcę chirurgiczną.

ŚPIĄCZKA – 204 TYSIĄCE ZŁOTYCH

Zdaniem adwokatów sytuacja w Polsce powoli się normalizuje, a kwoty z tytułu zadośćuczynienia rosną. Wymieniają konkretne przypadki: 204 tysiące dla pacjenta, który po operacji migdałków zapadł na cztery lata w śpiączkę; sto tysięcy dla rodziców pięcioletniego chłopca, który zmarł podczas operacji na skutek błędu anestezjologa. Wciąż jednak są to kwoty znacznie niższe od zasądzanych w krajach rozwiniętych. Seamus Kinsella, 37-letni mieszkaniec Coventry, otrzymał 112 tysięcy funtów (około 670 tysięcy złotych) za to, że lekarze, podejrzewając raka, niepotrzebnie usunęli mu trzy czwarte żołądka. 65 tysięcy funtów (około 390 tysięcy złotych) zapłacono rodzicom 12-letniego chłopca, który zmarł w szpitalu po tym, jak wstrzyknięto mu leki przeciwnowotworowe do kręgosłupa zamiast do żyły.

RADOŚĆ ŻYCIA – 200 TYSIĘCY ZŁOTYCH

Artur Kosturek był pełnomocnikiem rodziny W. z Rzeszowa w głośnej sprawie przeciwko polskiemu dystrybutorowi Forda. W grudniu 1998 roku w stojącym na parkingu mondeo wybuchła bez przyczyny poduszka powietrzna, powodując poważne obrażenia sześciolletniej Moniki. Dziewczynka nigdy już nie będzie

w pełni sprawna, więc mecenas Kosturek domagał się pół miliona złotych zadośćuczynienia dla dziecka za utratę radości życia.

W kwietniu 2001 roku sąd nakazał importerowi Forda i dealerowi, który sprzedawał feralny samochód, zapłacić 200 tysięcy złotych zadośćuczynienia, 32,5 tysiąca odszkodowania za poniesione wydatki na leczenie oraz wypłacać dziewczynce dożywotnią rentę w wysokości 1500 złotych.

– To spore pieniądze – przyznaje mecenas. – Chociaż na Zachodzie suma byłaby podobna, tyle że wyrażona w euro. Zresztą tam Ford nigdy nie pozwoliłby sobie na taki proces. Dążyłby do ugody, żeby nie ucierpiał wizerunek firmy.

POPARZENIE – 4,9 MILIARDA DOLARÓW

W USA koncerny samochodowe są dyżurnymi bohaterami pozwów odszkodowawczych. Dość przypomnieć niedawną aferę z oponami Firestone montowanymi w fordach explorerach. Na skutek wady – do dziś nie wiadomo, czy opon, czy samochodów – powodującej wypadki podczas jazdy zginęło ponad sto osób. Akcja wymiany wszystkich podejrzanych opon pochłonęła 500 milionów dolarów. Pechowcem jest nie tylko Ford. Ponad trzy lata temu sąd w Los Angeles nakazał General Motors zapłacenie 4,9 miliarda dolarów Patricii Anderson, której dzieci doznały w wypadku poważnych oparzeń. Prowadzony przez panią Anderson chevrolet

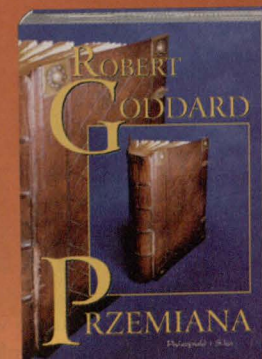
malibu należał do pechowej serii, w której niewłaściwie zamontowano zbiornik paliwa. Zasądzoną sumę zmniejszono do 1,09 miliarda dolarów, ale koncern i tak złożył apelację.

ZDJĘCIE NA OKŁADCE – 2,5 TYSIĄCA ZŁOTYCH

W tej chwili najszybciej rosną zadośćuczynienia za naruszenie dóbr osobistych. Sześć lat temu jedno z wydawnictw wykorzystало na okładce zdjęcie pewnej modelki, nie pytając jej o zgodę. Poszkodowana otrzymała rekompensatę w wysokości 2,5 tysiąca złotych.

– Dziś nikt nie zasądziłby tak śmiesznej kwoty – mówi adwokat Mateusza Kusznierewicza. – Gdy tygodnik „Nie” wydrukował zdjęcie nagiego prezesa PAP z jagnięciem, musiał zapłacić 50 tysięcy złotych. A prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, który procesuje się z „Super Expressem” za oskarżenie o molestowanie upośledzonych chłopców, domaga się już dwóch milionów. Nie oceniam szans wygrania tego procesu, ale sam fakt, że kwoty są coraz wyższe, pokazuje pewną społeczną tendencję traktowania takich spraw. Proszę się nie obrazić, ale kiedy dziennikarze będą wiedzieć, że grozi im szybki proces, a gazeta będzie musiała zapłacić duże odszkodowania, zastanowią się pięć razy, zanim napiszą nieprawdę.

MAX SUSKI



Prószyński i S-ka

ROBERT GODDARD
PRZEMIANA

Najnowsza powieść mistrza suspensu, Roberta Goddarda, przenosi czytelnika do wzburzonego giełdowym krachem Londynu. Jest rok 1721, a miasto trzęsie się z gniewu i od plotek na temat wielkiego bankructwa Kompanii Mórz Południowych.

Pachnie korupcją, skandalem politycznym i groźbą zamieszek. Tymczasem William Spandrel, skazany za długi zmarłego ojca, przyjmuje nieoczekiwaną propozycję dyrektora Kompanii, i w zamian za anulowanie wierzytelności godzi się przewieźć do Amsterdamu tajemniczą przesyłkę. Nie podejrzewa, że rozpoczyna podróż, z której nieprędko powróci, i że przewozi przedmiot, posiadający moc obalania królów – tak jak nie podejrzewa, że na jego oczach dzieje się Historia. Goddard, wędrując z bohaterami po barwnej, osiemnastowiecznej Europie, odśladania mechanizmy władzy i paradoksy dziejowe, które czytelnikowi, zapewne szczególnie polskiemu, wydadzą się dziwnie znajome.

Patronaty: **PRZEKRÓJ** **MERLIN.PL** **Kulisy** **wypal**



Ściany zmieniające kolor
w zależności od naszego nastroju.
Gazety, które ożywają w rękach.
Nic trudnego.
Wystarczy trochę plastiku, baterie
i elektroniczny atrament

PAPIER NA PRĄD

Dla pracowników laboratorium amerykańskiej firmy E Ink czasy drewnianych czcionek Jana Gutenberga odległe są o całe lata świetlne. Gazety pachnące farbą drukarską też raczej przechodzą do lamusa. W tym świecie króluje elektroniczny papier pokryty elektronicznym atramentem. Dzięki niemu nie trzeba będzie kupować nowych gazet – te, które mamy, zaktualizują się na naszych oczach. Statyczne zdjęcia ożyją, zmieniając się w krótkie filmy wideo.

Po co jednak komuś nowy rodzaj papieru, skoro są pecety, palmtopy, notebooki? Nawet najwięksi fani komputerów i Internetu muszą przyznać, że czytanie z ekranu bywa niewygodne. Współczesne monitory, nawet te naj-

lepsze, oferują o wiele gorszą jakość liter niż wydruk ze średniej jakości drukarki. A poza tym – spróbujcie wziąć laptopa do wanny albo leżeć z nim w łóżku.

Tymczasem gazetę czy książkę możemy czytać wszędzie: w pociągu, w kąpielni, w parku. No i poza wszystkim – lubimy papier. Jego fakturę, zapach, szelest. Jest z nami w końcu już ponad dwa tysiące lat, a tak dawno wyrobione nawyki trudno zmienić z dnia na dzień. Dlatego wciąż jeszcze „papierowe” gazety nie obawiają się konkurencji ze strony Internetu.

– Na świecie w roku 2010 zostanie zużyte osiem bilionów papierowych stron (w roku 2000 na przykład zadrukowano ich blisko trzy miliardy!) – zapowiada Paul Curlander, szef firmy Lexmark produkującej drukarki kompu-

terowe. Paradoksalnie zużycie papieru wzrosło po upowszechnieniu Internetu – wolimy drukować sobie strony, niż czytać je online. Kłopot w tym, że drzew raczej nie przybywa. Przynajmniej nie w tym tempie, w jakim my przerabiamy je na gazety i książki. – Trzeba by wymyślić inny, jednak równie praktyczny i tani nośnik informacji. Najlepiej papier wielokrotnego użytku – pomyśleli uczeni. Badania ruszyły niezależnie w różnych naukowych instytucjach.

W roku 1997 powstała firma E Ink. Utworzyło ją kilku naukowców z Media Lab słynnego MIT (Massachusetts Institute of Technology). Jej jedynym produktem jest „elektroniczny atrament” (*electronic ink*, czyli w skrócie *e-ink*), który – jak zapewniają wynalazcy – niebawem zmieni nasze życie.

ODWRÓĆ KARTKĘ PRĄDEM

E-ink jest czymś w rodzaju folii, którą można pokrywać dowolną powierzchnię – papier, tkaninę lub drewno. Zawiera mikroskopijne kapsułki, które z jednej strony są białe, a z drugiej czarne. Za pomocą słabych impulsów elektrycznych można je obracać raz na czarną, a raz na białą stronę. Jeśli odpowiednią liczbę kapsulek odwróci się czarnym na zewnątrz – utworzą literę. Tak można wyświetlić cały tekst czy obrazek.

E-ink to prawdziwy atrament sympatyczny – wystarczy impuls elektryczny, by z powrotem odwrócić kapsułkę na białą stronę, otrzymując czystą kartkę! Można ją potem ponownie „zadrukować” nowym tekstem.

Ale skąd wziąć prąd, który stymuluje „magiczną kartkę”? Czy trzeba kabla i gniazodka? Rozwiązaniem tego problemu zajęli się naukowcy z Bell Labs. Opracowali metodę produkcji tak zwanych plastycznych tranzystorów. Przypominają one folię do przezroczy, a metoda ich produkcji jest bardzo podobna do sitodruku wykorzystywanego na przykład do robienia nadruków na podkoszulkach. Taki tranzystor nadrukowany na „papier” z elektronicznym atramentem może służyć do odwracania kapsulek.

Jak zapewniają wynalazcy, plastyczne tranzystory są dość proste w produkcji i pobierają stosunkowo mało energii.

Być może już niedługo powstaną procesory składające się właśnie z nich. Bell Labs i E Ink połączyły siły. Podobne prace prowadzą także naukowcy z Gyricon Media w Dolinie Krzemowej.

PAPIER Z PAPIERU

Jak zatem wygląda papier XXI wieku? Jak... płachta folii. Bibliofili nie będą zachwyceni. No bo co to za papier?! Zimne to i śliskie. Nazywa zdecydowanie na wyrost. Jednak uczeni mają już dla nich dobrą wiadomość. Korzystając z podobnych metod jak zastosowane przy *e-ink*, Magnus Berggeren z Uniwersytetu Linköping w Szwecji stworzył papier elektroniczny z papieru.

Rolę elektronicznego atramentu pełni tu specjalny rodzaj polimeru nadrukowanego na prawdziwą kartkę. Zrobione z niego punkty – także pod wpływem słabego prądu – zmieniają kolor: raz mogą być białe, raz niebieskie. Prąd potrzebny jest jedynie do zmiany „stanu” tekstu lub obrazka wydrukowanego polimerową farbą. Taki papier jest więc niezwykle energooszczędny. Korzysta także z technologii plastycznych tranzystorów.

Elektroniczna kartka ma grubość kredowego papieru. Zachowuje także jego jakość. Problem w tym, że jak na razie Berggeren stworzył obrazek złożony z zaledwie 40 punktów (każdy z nich był niebagatelnym rozmiarów znaczka pocztowego). Mało to wyrafinowane



Papier przyszłości to w istocie różnego rodzaju wyświetlacze – cienkie i elastyczne, różniące się od tradycyjnych monitorów jakością prezentowania tekstu. Naukowcy zapowiadają, że niektóre będą nawet cięte z rolek jak prawdziwy papier i będzie je można składać jak kartkę. By zaktualizować wyświetlane na nich informacje, wystarczy niewielki odbiornik – na przykład telefon komórkowy

Elektroniczny atrament to tak naprawdę biało-czarne, wrzliwe na prąd mikrokapsułki (ilustracja na stronie obok). Jedna litera tekstu zawiera ich setki

i z pewnością nie da się tą techniką tworzyć reprodukcji malarstwa.

Jednak uczonej ma wielkie plany. Chce ulepszyć swój wynalazek – ma zamiar użyć między innymi nowoczesnych baterii drukowanych na papierze. Stworzyła je firma Power Paper z Izraela. Składają się one z substancji podobnych do farb, ale posiadających ładunek elektryczny. Wytwarzają prąd o natężeniu 1,5 wolta. To wystarczy, by „uruchomić” elektroniczny papier.

Jak na razie jednak jest on dość... leniwy. Każdy polimerowy punkt potrzebuje aż sekundy, by zmienić się z niebieskiego na biały. To oznacza, że plakat wyprodukowany tą metodą „przekształcałby” obraz od kilku minut do godziny, w zależności od jego stopnia złożoności. – To nie powinno być problemem dla billboardów – wynalazca jest jednak dobrej myśli. – Mogłyby się zmieniać w nocy.

Choć tą technologią interesują się firmy takie jak JCDcaux, do której należy 600 tysięcy billboardów w 40 krajach, zwróci się ona raczej ku bardziej zaawansowanym rozwiązaniom. Zwłaszcza że giganci – tacy jak HP, 3M, Xerox, Philips czy IBM – we współpracy z firmami takimi jak E Ink, Emagine i Universal Display wciąż toczą wyścig o to, komu uda się wcześniej wprowadzić nową technologię wyświetlaczy.

Na razie musimy zapomnieć o szeleście papieru. W grę oprócz specjalnej folii wchodzi szkło, tafle materiału ciekłokrystalicznego. Inna technologia – organiczne diody elektroluminescencyjne (OLED) – jest dostępna już teraz i w ciągu najbliższych kilku lat analitycy wróżą jej ogromny sukces. Na przezroczyste wyświetlacze naklejane na szybach kabin samolotów i na hełmach pilotów już ostrzy sobie zęby amerykańska armia.

DROŻSZE NAD DRZEWA

Elektroniczny papier tworzy zupełnie nowe możliwości. Cieszą się z nich ekolodzy, martwią się nimi drukarze. Dzięki tej technice wielostronicowa gazeta będzie się mogła składać z jednej kartki, na której na nasze żądanie będzie się pojawiać zawartość poszczególnych artykułów. Wystarczy mikroskopijny bezprzewodowy odbiornik lub zwykły telefon komórkowy z dostępem do Internetu, by móc aktualizować taką gazetę.

Zmienia się jednak nie tylko media, lecz także reklama. *Billboardy* będą wielkimi, na bieżąco aktualizowanymi ekranami, zaś w ulotkach firmy umieszczać będą jednorazowe telefony komórkowe, radioodbiorniki czy ekrany wyświetlające krótkie filmy. Aby jednak ta technologia stała się powszechna, muszą spaść koszty produkcji. Jak na razie bowiem o wiele przewyższają cenę papieru.

OLGA WOŹNIAK

NA PODSTAWIE ARTYKUŁU „ELECTRIC PAPER” Z „NEW SCIENTIST” Z 18 STYCZNIA 2003 ROKU

LEKI NA MIARĘ

OLGA WOŹNIAK

Koniec z eksperymentami! Dość łykania na ślepo coraz to nowych tabletek. Każdy dostanie lek dostosowany wyłącznie do siebie. Działający szybko, skutecznie, bez efektów ubocznych

Lekarstwo na trądzik może wpędzić w depresję. „Prozac może potęgować skłonności samobójcze”. „Niektóre leki przeciwpsychotyczne mogą wywoływać cukrzycę”. „Pigułki najnowszej generacji mogą sprzyjać udarowi mózgu”. To doniesienia z pism medycznych z ostatnich trzech miesięcy. O tym, że leki potrafią być groźne, mogliśmy się przekonać już nieraz. Niedawno zabójcza w szczególnych sytuacjach okazała się viagra, po zażyciu której w Stanach Zjednoczonych zmarło blisko 150 osób. Wcześniej przez media przetoczyła się burza związana z lekiem o nazwie isolipan.

Z powodu toksycznego działania leków w samym tylko roku 1994 zmarło w Stanach Zjednoczonych ponad sto tysięcy osób – głosi raport Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego. Dlatego do każdego leku, nawet witaminy C, firmy farmaceutyczne dołączają długą listę zarówno działań terapeutycznych, jak i niepożądanych. To, co jednym pomaga, innym może szkodzić. – Większość leków jest skuteczna tylko u 30–40 procent populacji – mówi Daniel Cohen, genetyk z paryskiej firmy biotechnologicznej Genset. – Tylko aspiryna działa prawie u wszystkich.

– Czas z tym skończyć – zapowiadają firmy farmaceutyczne. – Będziemy robić lekarstwa dopasowane do konkretnego człowieka jak garnitur szyty na zamówienie – obiecują. W tym wypadku jednak krawców zastąpią genetycy. To oni będą zdecydować z nas miarę.

KORZYŚĆ DLA KAŻDEGO

Wiadomo już, że nawet drobne zmiany w DNA bywają przyczyną licznych schorzeń. Uczeni odkryli geny sprzyjające po-

wstaniu choroby reumatoidalnej, astmy, autyzmu, schizofrenii, cukrzycy... Ba, znamy nawet gen odpowiedzialny za powstawanie wosku w uszach! Dziś staje się także oczywiste, że różnice genetyczne wpływają na sposób przyswajania, przetwarzania i reagowania na rozmaite lekarstwa.

Cierpisz na depresję? Nie skutkują żadne leki? Może twoje geny powodują, że przetwarzasz je tak szybko, iż wydalasz je z krwiobiegu, zanim zdążą zadziałać. Inna mutacja w twoich genach mogłaby doprowadzać do tak wolnego przyswajania leków, że normalne dawki wywoływałyby nadpobudliwość. Jak to sprawdzić?

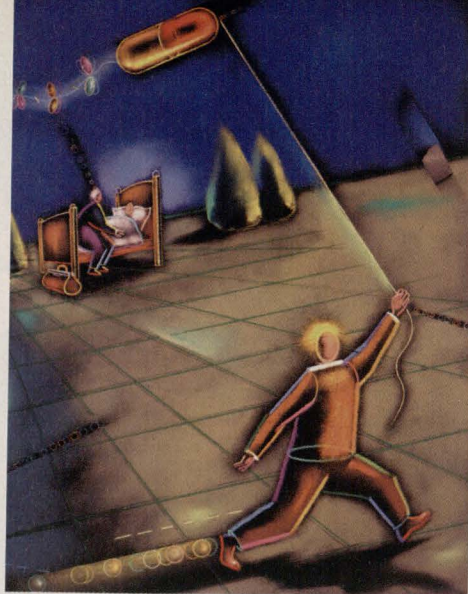
LEPIEJ BADAĆ GENY

Tej wiedzy dostarcza nam farmakogenomika – gałąź nauki, dzięki której za kilka lat dokona się rewolucja w medycynie. Pozwoli nam ona ustalać, dlaczego w jakimś przypadku skuteczny na ogół specyfik nie przynosi spodziewanej poprawy i jaki lek nadaje się najlepiej dla konkretnej osoby.

W niedalekiej przyszłości pacjentowi będą zapisywane leki pasujące do jego profilu genetycznego. Korzyści z tego odniosą wszyscy: pacjenci – bo dzięki skuteczniejszemu lekom szybciej powrócą do zdrowia i nie będą niepotrzebnie narażeni na przykre działania uboczne, lekarze – bo zmaleje niebezpieczeństwo błędnej diagnozy, i wreszcie firmy farmaceutyczne – jako że łatwiej im będzie zarejestrować lek dedykowany określonej grupie chorych, nawet wtedy gdy u innych pacjentów mógłby on dawać niepożądane efekty.

Takie badania są już prowadzone. Niedawno odkryto, że prowastatyna – lek obniżający poziom cholesterolu – nie działa u osób obdarzonych często spotykaną odmianą genu CETP.





Jeden z takich testów opracowano w amerykańskiej Mayo Medical School. Służy on do badania tolerancji na lek stosowany często w chemioterapii dzieci chorych na białaczkę. Okazało się bowiem, że przeciętnie u jednego na 300 pacjentów rasy białej może on wywołać wstrząs lub nawet śmierć. Dziś onkolodzy z całego świata przesyłają do Mayo próbki krwi swych podopiecznych z prośbą o określenie wrażliwości na ten lek.

– Na podstawie testów fenotypowych łatwiej ustalić, dlaczego dany lek szkodzi, niż odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie daje spodziewanej poprawy – uważa jednak Allen Roses, genetyk pracujący dla koncernu farmaceutycznego Glaxo Wellcome.

W tym pierwszym przypadku przyczyna tkwi najczęściej w jednym tylko genie, w drugim zaś może obejmować ich wiele. A im więcej genów jest zaangażowanych w obróbkę danego leku, tym trudniej przewidzieć jego działanie i tym bardziej zawodne okazują się testy fenotypowe. W takich sytuacjach nieporównanie lepsze efekty daje badanie samych genów niż ich białkowych produktów.

Jednak wdrożenie i upowszechnienie testów genetycznych mających stanowić podstawę farmakogenomiki wymaga czasu. – Ale nie więcej niż kilku lat – pocieszają genetycy.

DNA NA CHIPIE

Ich optymizm wynika z opracowania szybkiej metody analizowania ludzkiego DNA. Na razie obejmuje ona tylko wybrane jego fragmenty – „gorące punkty”, które mają kardynalne znaczenie w reakcji organizmu na leki. Takich punktów jest od 50 do 100 tysięcy i stanowią one 0,03 procent całej informacji genetycznej (zapisanej – przypomnijmy – przez trzy miliardy zasad, czyli cegiełek budujących DNA). Samą zaś metodę określa się z angielska skrótem SNP (single nucleotide polymorphisms, czyli polimorfizm pojedynczego nukleotydu). Wykorzystuje się w niej specjalne płytki zwane chipami SNP. Na płytkach tych naniesione są wybrane sekwencje zasad ludzkiego DNA.

Jak się z takich płytek korzysta? Technik przygotowuje roztwór z DNA badanej osoby i zanurza w nim chip SNP. Fragmenty DNA pacjenta odnajdują odpowiadające im sekwencje zasad na płytce i przyczepiają się do nich. Miejsca przyczepu są widoczne w postaci fluoryzujących plamek. Komputer bada ich rozkład i porównuje z wzorami płytek przechowywanymi w swojej pamięci. Na tej podstawie ustala, które z alleli (odmian danego genu) biorących udział w reakcji organizmu na dany lek ma badany pacjent. Na podstawie kombinacji owych alleli potrafi przewidzieć, jaka będzie to reakcja – pozytywna czy negatywna.

TRUCIZNA DLA WYBRANYCH

W miarę doskonalenia metody komputer będzie mógł udzielać bardziej szczegółowych wskazówek, a nawet podpowiadać, który z dostępnych na rynku specyfików byłby najodpowiedniejszy dla konkretnej osoby.

Ale farmakogenomika to medal o dwóch stronach. Ta druga, ciemniejsza, oznacza poważne zagrożenia. Wiąza się one z manipulacją naszymi danymi. I to nie tymi, o których prywatność walczymy obecnie, jak adres, numer konta w banku czy wysokość zarobków. Chodzi o informacje znacznie intymniejsze. Dotyczące naszej skłonności do nałogów czy najróżniejszych chorób, począwszy od depresji, poprzez schizofrenię, cukrzycę, alzheimera, a skończywszy na nowotworach. To wszystko bowiem zapisane jest w genach.

Skutki „upublicznienia” prywatnych informacji genetycznych mogą być katastrofalne. Dla wielu osób oznaczałoby to przekreślenie szansy na zatrudnienie czy awans. Dostęp do takich danych powinny mieć tylko nieliczne osoby po opracowaniu szczególnych procedur. Bez odpowiednich zabezpieczeń bowiem instytucje oferujące ubezpieczenia zdrowotne mogłyby odmawiać świadczenia usług „wadliwym” osobom – na przykład takim, które można wyleczyć tylko bardzo kosztownym lekiem.

– Nigdy nie uda się wykluczyć ryzyka niewłaściwego wykorzystania informacji genetycznych – uważa Daniel Cohen z Gensei. – Ale czy to znaczy, że należy zakazać naukowcom zdobywania takich informacji? Nie. Należy po prostu robić wszystko, by takie informacje nie mogły być nadużywane – twierdzi. Dlatego sposób korzystania z danych o zmienności genetycznej pacjentów będzie w ciągu kilku najbliższych lat priorytetem zarówno dla genetyków, jak i parlamentarzystów wielu państw.

Jest jednak jeszcze jeden kłopot. Otóż farmakogenomika może być także ziszczeniem marzeń terrorystów. Skoro potrafimy do konkretnej osoby dopasować lek, będziemy umieli także skonstruować „indywidualną” i bardzo skuteczną truciznę. Substancję, która będzie wybiórczo i trwale osłepiała, paraliżowała, sterylizowała czy wręcz zabijała. Czy to nie marzenie wszystkich, którzy w pocie czoła pracują nad stworzeniem idealnej broni biologicznej? Dopasowanej do profilu genetycznego danej osoby, rodziny, nacji czy – o ile zajdzie taka potrzeba – narodu...

Skonstruowanie wirusa atakującego tylko Arabów? Wyprodukowanie „inteligentnej” toksyny dziesiątkującej wyłącznie Żydów lub Czechów? – Dziś wydaje się to mrzonką, jutro może być bolesną rzeczywistością – ostrzega doktor Vivienne Nathanson, szefowa Komisji Nadzoru Badań Naukowych przy londyńskiej British Medical Association (BMA).

PRZYSTAWKA ZAMIAST DOKTORA

Być może za kilkanaście lat dzieci przy urodzeniu będą automatycznie poddawane testom podatności na cukrzycę, chorobę Alzheimera, raka i setki innych. Będzie to badanie równie rutynowe jak ważenie i mierzenie. Mając taką wiedzę, mielibyśmy szansę od wczesnych lat tak zaplanować swój styl życia czy odżywiania, by zmniejszyć prawdopodobieństwo wielu chorób.

Czy zatem w przyszłości wizyty u lekarza zastąpi przystawka do komputera? Niektórzy wątpią. – Geny są wprawdzie bardzo ważne, ale istotne znaczenie ma również nasz wiek, płeć i ogólny stan zdrowia – uspokaja William A. Haseltine z Human Genome Sciences, twierdząc, że kontakt ze specjalistą zawsze będzie konieczny.

Czy jednak i takich danych nie można wprowadzić do pamięci komputera? Co wtedy poczną z czasem ci, którzy z takim upodobaniem spędzają go na ploteczkach w poczekalniach rejonowych przychodni? Może zaczną się uczyć genetyki.

OLGA WOŹNIAK

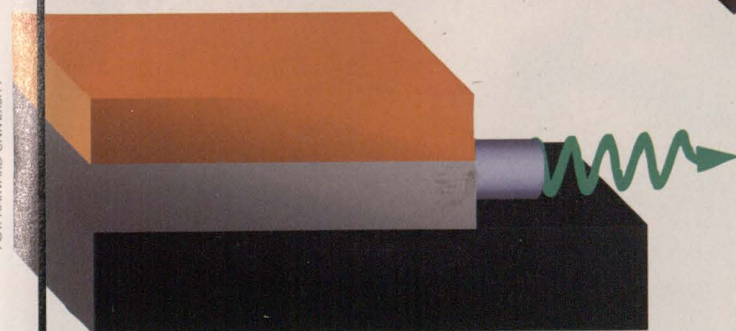
Żebyś wiedział



Staw pełen lekarstw

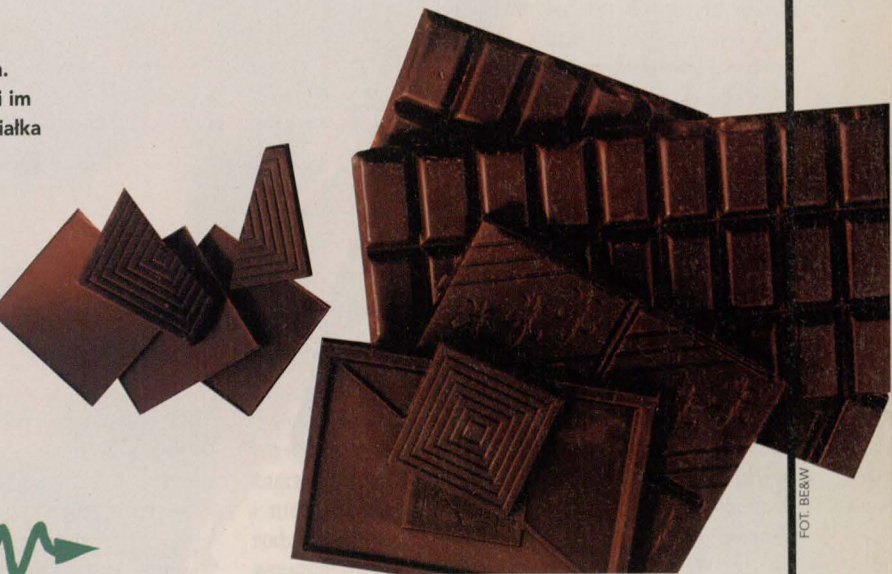
Mikroskopijne, jednokomórkowe glony zostały zmuszone do pracy w przemyśle farmaceutycznym. Naukowcy ze Scripps Research Institute wszczepili im geny odpowiedzialne za produkcję konkretnego białka – na początek przeciwciała zwalczającego wirusy opryszczki. Glony spisały się znakomicie. Najważniejsze jest to, że do szczęścia wystarczy im światło słoneczne, dwutlenek węgla i woda w stawie. Dzięki temu produkcja dowolnych białek może być masowa i tania – przekonują uczeni.

FOT. HARVARD UNIVERSITY



Tysiąc laserów na włosie

Amerykańscy fizycy skonstruowali laser tak cienki, że zasługuje na miano nanolasera. Jest tysiąc razy cieńszy od ludzkiego włosa, a emitowane przez niego światło może mieć dowolny kolor. Uczeni zapowiadają, że nanolasery znajdą zastosowanie między innymi w medycynie – pozwolą na wykonywanie bardzo precyzyjnych zabiegów chirurgicznych.



Słodko dla serca

Czekolada służy nie tylko naszemu podniebieniu, lecz także i zdrowiu – twierdzą chemicy. Zasadniczo im więcej w niej masy kakaowej (a więc im ciemniejsza czekolada), tym lepiej działa na nasz organizm. Okazało się bowiem, że kakao jest bardzo bogatym źródłem przeciwutleniaczy – związków chemicznych, które chronią komórki przed starzeniem się i śmiercią. Dietetycy przypominają jednak, że mimo tych zalet czekoladą nadal należy się raczyć z umiarem.

FOT. MARIUSZ SZACHO/FORUM

FOT. BEAW

Lekceważymy szkody
Poczynione niebu
Gdy zezuwaliśmy słowom
Wymykać się w chmury

VIGGO MORTENSEN



AMANT WOJOWNIK I POETA

ANDRZEJ KOŁODYŃSKI

Jest sekretną bronią
Hollywood. Kocha konie
i miecze. Ma hipnotyzujące
spojrzenie. Prawdziwy
Aragorn. Viggo Mortensen

Ldaje się, że jego szczęśliwą liczbą jest piątka. Opublikował pięć tomików z poezjami, fotografiami i rysunkami, miał pięć wystaw obrazów w Los Angeles i w Nowym Jorku. A w 45. roku życia będzie miał wreszcie film z solową rolą. Na ekranach latem, a więc w najlepszym w Stanach sezonie kinowym. Nosi tytuł „Hidalgo”.

To produkcja Disneyowska o dużym budżecie, trochę western, trochę egzotyczny romans, w którym ważna rola należy do córki szejka granej przez nieznana jeszcze u nas Zuleikhę Robinson. Ale ważniejszy jest koń, tytułowy Hidalgo. Podobno Mortensen chciał, żeby w czołówce imię konia jako najważniejszego wykonawcy pojawiło się pierwsze, ale ludzie z Disneya z oburzeniem odrzucili pomysł. W filmie Mortensen gra półkrwi Indianina, w dodatku w typie Don Kichota, i ściga się z Arabami ze stajni szejka. Wszystko to dzieje się w roku 1890.

Viggo Mortensen nie ma w sobie nic z Indianina, za to jest półkrwi Duńczykiem, po ojcu. Stąd imię, które brzmi jak ze skandynawskiej sagi, stąd i nazwisko.

Od 11. roku życia wychowywała go (i jego dwóch młodszych braci) jak najbardziej amerykańska matka, rozwiedziona z ojcem Vigga. Ojciec nigdzie nie potrafił zagrać miejsca. Zajmował się na przemian rolnictwem i nieokreślonymi drobnymi interesami oraz przenosił rodzinę ze Stanów do Argentyny, potem do Wenezueli, wreszcie do Danii.

Pewnie dlatego Viggo mówi płynnie po hiszpańsku i duńsku, bardzo lubi też włóczyć się z miejsca na miejsce. Dodać do tego należy, że kocha konie i świetnie trzyma się w siodle, co tłumaczy wybór filmu, który może zadecydować o jego pozycji w Hollywood.

OBIEŻYŚWIAT PRZED ARAGORNEM

Sukces we „Władcy Pierścieni” trzeba bowiem traktować jako zapowiedź. W tej wielowątkowej trylogii filmowej jest tylko jednym z wielu wykonawców. Najważniejsza dla granej przez niego postaci Aragorna ma być część trzecia „Powrót króla”.

No cóż, „Władca Pierścieni” jest pierwszym w historii kina filmem obliczonym na trzy lata. W każde Boże Narodzenie, poczynając od roku 2001, kolejna premiera. Jak dotąd ta strategia sprawdza się komercyjnie, trochę gorzej w opiniach krytyków, którzy zaczynają kręcić nosami. Ale aktor taki jak Viggo Mortensen

z pewnością staje się bardziej widoczny. Nagle wszyscy zaczęli się nim interesować. Do tychczas pozostawał w cieniu. Aktorstwo dosłownie przydarzyło mu się, kiedy na początku lat 80. przyjechał śladem swojej dziewczyny do Nowego Jorku i wszedł w środowisko młodych ludzi kręcących się wokół teatru, reklamy i telewizji.

Trafił z miejsca do teatru, szczęśliwie do teatru z renomą prowadzonego przez Warrena Robertsona. Zgłosił się na przesłuchanie z nadzieją na rolę, ale Robertson przyjął go na kurs aktorski. Ciąg dalszy nie wykracza poza dobrze znany schemat: nauka, nocami praca w charakterze kelnera, a w wolnych chwilach wystawianie w kolejkach do aktorskich przesłuchań.

De Niro też tak zaczynał, jak i wiele innych aktorskich sław. Tyle że Mortensenowi początkowo szło fatalnie. Prawie już dostał rolę Tarzana w filmie „Greystoke: legenda Tarzana, władcy małp”, ale ostatecznie wylądował we włochatym małpim kombinezonie, z małpią maską na twarzy. Potem były niewielkie role grane z zapalem i ostatecznie wycinane w montażu. Dlatego nie zadebiutował u Woody’ego Allena w „Purpurowej róży z Kairu”, pokazywał tylko znajomym w kinie, w którym miejscu miał się pojawić na ekranie.

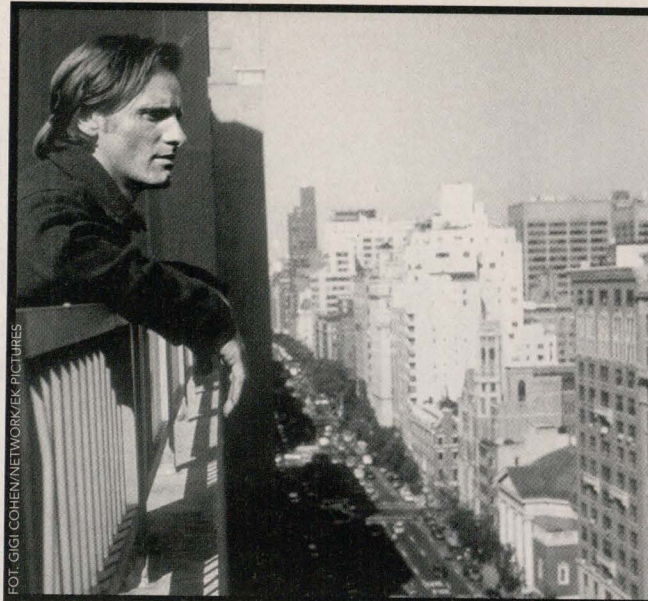
Wreszcie doczekał się roli amisza, farmera w czarnym kapeluszu, członka osobliwej sekty religijnej, w filmie „Świadek”. Zwrócił na siebie uwagę. Także filmową urodą.

Viggo Mortensen nie jest specjalnie wysoki, za to muskularny i gibki, ma przystojną twarz o wystających kościach policzkowych i jarzące się szarzielone oczy. To ważne. Przecież już w epoce kina niemego mówiono, że prawdziwy amant musi mieć tak ustawione kości policzkowe, żeby światło mogło modelować twarz, no i musi mieć powłóczyście spojrzenie. Spojrzenie Viggo Mortensena potrafi podobno hipnotyzować.

Hipnotyzował na scenie w sztuce „Bent” wystawionej w Los Angeles w roku 1987, za co dostał nagrodę krytyków teatralnych z Los Angeles. Niedawno, w roku 2002, magazyn „People” zaliczył go do najpiękniejszych mężczyzn świata, ale aktor przyjął ten tytuł bez specjalnego entuzjazmu. Tak naprawdę w filmie ciągle pozostaje na drugim planie. Czy to w „Indiańskim biegaczu”, opowieści o weteranach wojny wietnamskiej, czy w kostiumowym „Portrecie damy”, czy w sensacyjnym „Morderstwie doskonałym”.

ARMIA FANEK

Dlaczego nie robił dotychczas kariery? Nie chciał, nie miał szczęścia, nie nadszedł jego czas? Sam Mortensen tłumaczy to filozoficznie i niezbyt jasno, o co trudno mieć do niego pretensje: – Wszystko sprowadza się do tego, że wnoszę określoną barwę, którą mam w sobie, ale realizatorzy filmu starają się o in-



ne barwy, które czasami dobrze się łączą z moją, a czasami nie. Cóż można na to poradzić? Trzeba robić swoje i iść dalej.

Obserwatorzy mniej skłonni do metaforycznych rozważań twierdzą, że za bardzo wybiera. W dodatku odrzucił parę znaczących ról, które mogłyby wiele zmienić w jego sytuacji. Jest uparty. I słynie z dyscypliny. Pięć godzin snu, dieta i nieustanne zajęcia. Kiedy nie gra, chwytą za aparat fotograficzny marki Hasselblad, który ma od 20 lat, i robi zdjęcia. Albo maluje. Albo gra na perkusji. Wydał już trzy płyty CD z muzyką jazzową. Lubi też czytać publicznie swoje poezje. Warunek: nie powinna to być duża publiczność.

Wydało się, że rolę Aragorna we „Władcy Pierścieni” według słynnego cyklu powieści J.R.R. Tolkiena też ma zamiar odrzucić. A propozycja udziału w olbrzymiej, chyba najkosztowniejszej produkcji ostatnich lat, w trzech wielkich filmach realizowanych jednocześnie, nie zdarza się co dzień. W dużej mierze była wynikiem splotu okoliczności.

Już po zakończeniu długich przygotowań, po skompletowaniu obsady, nowozelandzki reżyser Peter Jackson doszedł do wniosku, że chce kogoś innego do roli milczącego i tajemniczego Aragorna znanego jako Obieżyświat, dziedzica korony Isildura. – Musi być starszy! – powtarzał. Rola dostał pierwotnie 26-letni Irlandczyk Stuart Townsend. Na próżno charakteryzował Jose Perez wpłatał w jego brodę siwe włosy. Trzeciego dnia po rozpoczęciu zdjęć Townsend został zwolniony.

Było to latem 1999. Mortensen powrócił właśnie do Los Angeles z długiej wędrówki samochodowej z 11-letnim wówczas synem Henrym i zajął się malowaniem, gdy nagle telefon od agenta powiadomił go, że natychmiast, już na drugi dzień, ma lecieć do Nowej Zelandii. Nigdy nie czytał Tolkiena, zwrócił się więc do syna. – Obieżyświat?! – wykrzyknął Henry. – Wspaniale! On jest cool!

Dla Aragorna Arwena (Liv Tyler) gotowa była zrezygnować z nieśmiertelności

Mortensen nie zamyka się w świecie filmu: pisze wiersze, gra na perkusji, robi zdjęcia

FOT. GIGI COHEN/NETWORK PICTURES

FOT. WARNER BROS.

Jednak zgoda ojca nie była taka natychmiastowa, Mortensen dręczył jeszcze Jacksona telefonami z mnóstwem szczegółowych pytań. Ale znalazł się o czasie w samolocie z trzema opasłymi tomami powieści Tolkiena na kolanach. Czytał je jednym tchem. Twierdzi, że odnalazł siebie w postaci Aragorna – szlachetnego rycerza, nieustraszonego i gotowego do poświęceń, a jednocześnie pełnego wątpliwości co do tego, jak widzą go inni.

Zdaje się jednak, że równie fascynujący wydał mu się pomysł realizacji trzech filmów jednocześnie. To była zapowiedź przygody.

15 miesięcy z dala od domu, 15 miesięcy pracy nad jedną rolą. W jakimś sensie była to ryzykowna przerwa w karierze, z drugiej jednak strony – nareszcie ważna rola i udział w wydarzeniu na niespotykaną skalę. Mortensen nie miał też specjalnych zobowiązań rodzinnych. Synem mogła zająć się matka.

Jest nią Exene Cervenka, piosenkarka punkowego zespołu X. Poznali się na planie satyrycznej komedii „Ocalenie!” w roku 1987 i wkrótce wzięli ślub. Małżeństwo przetrwało prawie 10 lat. W 1997 rozwiedli się, ale rozstanie odbyło się w zgodzie. Pozostają w dobrych kontaktach, łączy ich miłość do syna.

Czy Viggo ma jakąś nową sympatię? Z całą pewnością ma armię wiernych fanek. Ale

Trochę nieobliczalny Viggo nie jest typowym gwiazdorem. Hollywood nie bardzo wie, co z nim począć



pytania dziennikarzy o jakieś konkretne nazwisko zbywa opryskliwie: – To nie jest istotne!

Wszyscy są zdania, że co jak co, ale to akurat jest istotne, muszą się jednak zadowolić tym, co na ekranie. A na ekranie łączy go gorąca miłość z księżniczką elfów Arweną zwaną dla swej piękności Gwiazdą Wieczorną. Gra ją rzeczywiście piękna Liv Tyler.

Po obejrzeniu „Dwóch wiez” wielbicielki Mortensena doskonale rozumieją, dlaczego Arwena chciała zrezygnować z nieśmiertelności, aby znaleźć się w ramionach Aragorna. Dlaczego córka króla Rohanu (grana przez Mirandę Otto) pokochała go do szaleństwa od pierwszego wejrzenia.

WODZU, PROWADZ!

Krążą legendy o tym, jak pracował nad rolą. W tekście powieści Tolkiena niewiele jest opisów postaci, zastępują je rozrzucone oszczędnie przymiotniki: „mroczny”, „milczący”, „pośepny”; pojawiają się także enigmatyczne tropy: „bez tronu król odzyska tron”. Wiadomo, że Aragorn świetnie włada mieczem i że jest wiecznym wędrowcem, bo w mitycznym świecie Śródziemia z Tolkienowskiej sagi pełni rolę Strażnika. Strażnik chroni świat przez złem zagrażającym Wieczną Ciemnością. Źródłem tego zła jest magiczny Pierścień, który należy zniszczyć, wrzuca-

jąc w ogień Mordoru. Zadania podejmuje się Frodo z rasy niziołków, jak ich ładnie nazwała z powodu niskiego wzrostu polska tłumaczka książki Maria Skibniewska. Aragorn dołącza do Drużyny Pierścienia złożonej z przedstawicieli różnych baśniowych ras, i wszystko to dzieje się w pierwszym filmie trylogii. W drugim Aragorn przemienia się w wodza w krwawych bojach toczonych na pustkowiu między wieżą Orthank – warownią złego czarodzieja Sarumana – i fortecą Minas Morgul strzegącą wejścia do Mordoru. W trzecim nastąpi zwycięski Powrót Króla, a królem tym będzie właśnie Aragorn.

Mortensen uwielbia mity, zakochał się więc w książce napisanej przez Tolkiena, oksfordzkiego profesora mediewistyki. Ale jako aktor słynny z dążenia do całkowitej identyfikacji z rolą zaczął natychmiast szukać odpowiednich sposobów, by stać się Obieżyświatem.

W ekipie szeptało, że kiedy przed parą laty grał niemową w filmie „Namiętności Mrocznego Południa”, przez cały okres zdjęć nie odezwał się słowem. Porozumiewał się z innymi gestami i chrząknięciami. Przemówił ostatniego dnia: – Dziękuję wszystkim i do zobaczenia! – po czym zniknął.

Nikogo więc nie zdziwiło, że w trakcie realizacji sekwencji plenerowych zaczął sypiać w kostiumie Aragorna w szałasie nad wodą. Po

prostu charakteryzator miał rano więcej pracy. Trochę bardziej kłopotliwy dla otoczenia był miecz. Intensywny trening z mieczem trwał tylko cztery dni, ale Mortensen nie chciał się rozstawać ze swoim ciężkim orężem. Odtąd miał go ze sobą wszędzie – nawet w samochodzie czy w restauracji. Jego partnerka, śliczna Miranda Otto (we „Władcy Pierścieni” wszystkie kobiety przykuwają wzrok!), była pod wrażeniem: – Jaki męski charakter! Od razu wiedziałam, że nie będę musiała udawać miłości!

No i był jeszcze koń. Mortensen wymusił dla siebie częstsze galopady, niż to przewidywał scenariusz, trzymał przez cały okres zdjęć tego samego konia i w przerwach odbywał długie, samotne przejażdżki. – W ten sposób lepiej się rozumiemy – wyjaśniał.

SEKRETNA BROŃ HOLLYWOOD

Aktor z obsesją? – Tak, do pewnego stopnia – mówi Elijah Wood grający w trylogii główną rolę hobbita Froda.

Nie wie jednak, jak potraktować historię o złamanym zębie. W scenie którejś z licznych bitew w „Dwóch wieżach” Mortensen otrzymał cios ręką miecza w usta. Gwiazdor powinien zrobić piekło, ale Mortensen nie chciał przerywać zdjęć i zażądał przyklejenia ułamanego zęba. Czymkolwiek. Został jednak na siłę, w zbroi, odprowadzony do dentysty. Elijah Wood nie komentuje, tylko stwierdza: – Był dla nas źródłem inspiracji. Trudno odmówić Mortenseniowi jak najpoważniejszego stosunku do pracy, choć można reagować uśmiechem na dziwactwa. Z tym zresztą też trzeba ostrożnie, bo ma ostre, choć skrywane poczucie humoru. Jedno jest pewne, że z tym wszystkim nie pasuje do stereotypu gwiazdora i trudno oprzeć się wrażeniu, iż robi wiele, aby ten rozdział utrzymać. „Gwiazdor” to bombastyczny termin, ale takim językiem kino posługuje się, odkąd tylko zaistniało Hollywood. Czy nastał czas na zmianę?

Mimo swoich 45 lat Mortensen zachowuje się jak młody buntownik. Oczywiście, nie należy przesadzać. „Sekretna broń Hollywood” prezentuje po prostu trochę inny niż tradycyjnie przyjęty stosunek do gwiazdorstwa. Swobodniejszy. Bardziej zabawowy, lecz także poważniejszy. Trzeba tylko dostrzec delikatną równowagę.

Kłopot w tym, że w branży filmowej ciągle wyrocznią są spragnieni sensacji dziennikarze. A ci nie bardzo wiedzą, co z kimś takim jak Mortensen począć. Kiedy rozeszło się, że nie tylko kurzy papierosy (słabe, marki American Spirit), lecz także chodzi po filmowym planie boso, pewna hollywoodzka korespondentka napisała ironicznie: „Czy dla bosonogiego znajdzie się miejsce na szczycie?”.

To dobre pytanie.

ANDRZEJ KOŁODYŃSKI

RECENZJA Z DRUGIEJ CZĘŚCI „WŁADCY PIERŚCIENI” – S. 66.

Natasza Miczić od kilku tygodni pełni obowiązki prezydenta Serbii. Chciałaby rządzić jak Margaret Thatcher, ale jej nogi wzbudzają więcej emocji niż jej polityczne decyzje



Nazywają ją bałkańską Nicole Kidman. Ale to nie z powodu urody została następczynią Miloszevicia. Teraz, gdy jej poprzednicy stoją przed Trybunałem w Hadze, będzie musiała pokierować Serbią – przynajmniej do kolejnych wyborów

POLITYCZNA KARIERA PIĘKNEJ NATASZY

Jeszcze dwa lata temu nikt o niej nie słyszał. Dziś pełni dwie najważniejsze funkcje w kraju. Jest prezydentem i przewodniczącą parlamentu Serbii.

Po Josipie Brozie-Tito i Slobodanie Miloszevicu, którzy rządili twardą ręką, zabrakło w Serbii charyzmatycznych polityków. A silny przywódca-ojciec wpisany jest w historię tego narodu.

– Za cara Duszana to były czasy – wzdychają Serbowie, chociaż od tamtej pory minęło siedem wieków.

A dziś? Jeden był prezydent Miloszević sądzony przed Trybunałem w Hadze; drugiego, Milana Milutinovicia, za chwilę tam dowiozą. Nie podwyższa to morale narodu, który po wojnie czuje się pariasem Europy. W trzech turach wyborów nie zdołano wyło-

nić nowego przywódcy. Ani niezależny ekonomista Miroljub Labus, ani skrajny nacjonalista Vojislav Šešelj, ani urzędujący prezydent Jugosławii Vojislav Kostunica – żaden z kandydatów nie okazał się wystarczająco dobry, by przyciągnąć do urn wymagane ustawowo 50 procent obywateli. Głosowanie było więc nieważne i nie wiadomo, kto ma rządzić krajem.

Przeciętny Serb mówi: „Dosta!”. Dostyc ma już polityki, nie chce głosować, bo to niczego nie zmienia, chce pracy i spokoju. Ale ani jednego, ani drugiego w tym kraju nie uświadczysz. A tu na dodatek dają mu w prezencie Nataszę.

NIE JESTEM MARIONETKA

Milan Milutinović zakończył kadencję 30 grudnia 2002 r., a jego następcy nie udało się wybrać. Dlatego tymczasowym prezydentem Serbii została mianowana przewodnicząca parlamentu Natasza Miczić.

Vojislav Kostunica protestował przeciw takiej interpretacji konstytucji. Ale wszyscy wiedzieli, że rozgrywka nie dotyczy Nataszy. Walka między Kostunicą a premierem Serbii Zoranem Djindžiciem toczy się od kilku lat. Miczić, sojuszniczka Djindžicia, wpadła w nią przez przypadek. Przewodniczącą parlamentu została ponad rok temu, gdy do rezygnacji z tego stanowiska zmuszono Dragana Marszicanina – oczywiście sojusznika Kostunicy.

Natasza nie zgadza się, że jest tylko marionetką. Na poprzednim stanowisku musiała sobie radzić w wielu nieprzyjemnych sytuacjach, bo posłów często ponosiły emocje. Ale nawet gdy wzywała strażników, by uspokoił rozochoczonych lub wręcz agresywnych mężczyzn, nie traciła kontroli. Ani nad sobą, ani nad nimi.

– Myśleli, że nie jestem wystarczająco silna, by im się przeciwstawić, bo jestem kobietą. Mylili się – mówiła w jednym z wywiadów. Dodała, że kłóci się nawet z Djindžiciem. Najważniejsze jest dla niej prawo.

– Ona nic nie robi – mówi dyplomata z Belgradu. – Nie ma żadnej władzy, to fikcja. Ale jest piękną kobietą.

Więcej Serbów zna piłkarza Jeremicia niż Miczić. Nie będzie jej łatwo przekonać rodaków, że kobieta też może. Ale determinację ma.

MA SŁABOŚĆ DO IMPREZ

Urodziła się 11 listopada 1965 r. w Užicach, niedaleko granicy z Bośnią. 60-tysięczne miasteczko nad rzeką Djetinja u podnóża góry Zlatibor znane jest jako centrum opozycji. Tutaj komuniści zawsze przegrywali. Kiedyś był to ważny ośrodek handlowy. Biegnie tędy autostrada do Czarnogóry i linia kolejowa Belgrad – Bar. Dziś Užice słyną z dobrego sera, kajmaku, suszonej szynki prsut i ładnych dziewczyn. Ogólnie trochę nudno.

Mówią, że urodę Miczić odziedziczyła po matce. Rude włosy i zielone oczy, dzięki którym zyskała przydomek Nicole Kidman. Studia prawnicze ukończyła w Belgradzie, ale za mąż wyszła w rodzinnych Užicach za młodego inżyniera Miodraga, dziś właściciela firmy Multisoft. Do czasu zamążpójścia mieszkała z rodzicami i siostrą. Tradycyjnie z domu rodzicielskiego przeszła do domu męża.

Ale tutaj jej tradycyjna rola się kończy. Natasza Miczić ma fantazję, której mogą jej pozazdrościć Amerykanki, a nie tylko Serbki.

Od roku 1998 była sekretarzem w grupie Otpor przeciwstawiającej się reżimowi Miloszevicia. Nietrudno wyobrazić sobie Nataszę z zaciśniętą pięścią – znakiem Otporu.

Po studiach przez sześć lat walczyła o prawa człowieka. Była skuteczna, opanowana i zawsze pewna siebie. Należała do niewielkiej Demokratycznej Partii Serbii (DSS) wchodzącej w skład opozycyjnej koalicji, dzięki której obalono Miloszevicia. Podczas demonstracji przeciw niemu w Belgradzie w październiku 2002 roku drwiła z policji, jeżdżąc z koleżanką w samochodzie z napisem „Thelma i Louise”. Bohaterki tego amerykańskiego filmu to kobiety wyzwolone. Ich szaleńcza podróż, manifest wolności, skończyła się dla obu tragicznie. Wjechały w przepaść.

Ale Natasza pnie się w górę. Niektórzy mówią, że za szybko. Na pytanie, czy taka zawrotna kariera jej nie przeraża, odpowiedziała:

– Nowa praca to zawsze stres, a to jest praca na samym szczycie. Ale jestem na to przygotowana.

Nigdy oficjalnie nie przeniosła się do stolicy, nawet gdy została przewodniczącą parlamentu. Mieszka z mężem i 14-letnią córką

Na temat prezydent Miczić krąży w Serbii wiele plotek – o jej pijaństwie, rozwiązłości i domniemanej ciąży. Nikt nie wierzy, że rzeczywiście będzie rządzić

w Užicach. Praca w Belgradzie sprawia, że nie spędza z nimi dużo czasu, co wywołało mnóstwo plotek na temat jej niemoralnego prowadzenia się.

– Jak ja wypijam dwie puszkę Heinekena, to Natasza 20 – powiedział w telewizyjnym wywiadzie przywódca skrajnych nacjonalistów Vojislav Šešelj. Krewni Miczić chcieli wytoczyć mu sprawę o obrazę, ale zrezygnowali, gdy Šešelj zapewnił, że sprawi mu to wielką przyjemność, wręcz „nie może się doczekać, bo wreszcie powie o niej wszystko”. Na razie nic więcej nie powiedział, więc nie wiadomo, co się kryje za jego słowami. Wieść gminna niesie, że Miczić ma „słabość do imprez”.

Choć teraz chyba już nie. Podobno jest w stanie błogosławionym. Pewności nie ma, gdyż pani prezydent nie udziela odpowiedzi na pytania w tej sprawie. Nie wiadomo, jak interpretować jej milczenie.

Serbowie to jedna z najstarszych nacji Europy nie tylko historycznie, lecz także wiekowo. Przyrost naturalny w Serbii jest bardzo mały, około 1,1 dziecka na rodzinę. Pani prezydent mogłaby dać narodowi przykład. Ale Natasza milczy.

– Jak nogi ładne, to czapki z głów – skomentował zdjęcia Miczić w prasie socjolog kultury Ratko Bozović. Fotografie opubliko-

wano zaraz po ogłoszeniu decyzji, że Natasza będzie prezydentem. Głowa państwa wysiada z samochodu. Spódnicę ma przed kolana.

Więcej uwagi poświęcono jej nogom niż głowie, to pewne. Nielatwo być kobietą politykiem na Bałkanach.

MIĘDZY SILNYMI MĘŻCZYZNAM

Typowa Serbka ceni wartości tradycyjne, czyli rodzinę i dom. – Kobieta nie powinna zajmować się polityką. To nie jest jej miejsce – powiedział mi 22-letni Ivan, student historii, przedstawiciel młodego, wykształconego pokolenia. O silnych kobietach w Serbii mówi się zazwyczaj źle. Jeszcze w latach prosperity reżimu Miloszević tracił popularność przez swoją żonę Mirę Marković, jugosłowiańską Lady Makbet. Mówiono, że jest zbyt wpływowa i że jest szyją prezydenta. Kręci mężem, jak chce.

A teraz kobieta została nie tylko szyją, lecz także głową państwa. I to oficjalnie.

W orędziu do narodu Miczić powiedziała: – Uczynię wszystko, by serbski parlament był demokratyczną instytucją, a nie zwierciadłem tego, co dzieje się w Serbii.

Vojislav Kostunica skomentował jej nominację jako „żart”.

– Nie jest to politycznie poprawny komentarz – skrytykowała. – Ale nie jestem mściwa.

Mianowanie tymczasowej pani prezydent zdaje się jedynie elementem rozgrywki między dwoma silnymi mężczyznami. Powstająca właśnie konstytucja federacji Serbii i Czarnogóry będzie zawierała nowy regulamin wyboru prezydenta Serbii i prawdopodobnie wzmocni jego władzę. Już teraz to stanowisko ma – nieformalnie – dużo większe znaczenie niż niemal wyłącznie reprezentacyjna funkcja prezydenta federacji, którą sprawuje – z wyboru – Kostunica. Nie wiadomo, do czego doprowadzą tarcia między nim a Djindžiciem, ale jedno jest pewne – spokojnie nie będzie.

Jak długo Miczić wytrwa na stanowisku? Ludzie, których pytam o datę następnych wyborów, wzruszają tylko ramionami. Czasem się śmieją. Nieco ponad dwa lata temu tłumy wyszły na ulice Belgradu, by obalić reżim. Między tamtymi nastrojami a dzisiejszą obojętnością jest wielki dysonans. Teraz nie ma z kim walczyć ani kogo wybierać.

Ale w Nataszę nie wierzy nikt.

ANNA WAŚNIEWSKA



TEL 03-5683-5100

紀子さんはどこに...?

三重美人記者失踪ミ
驚異透視と相次ぐ

Podczas dwutygodniowego pobytu w Japonii Krzysztof Jackowski miał rozwikłać tajemnicę śmierci 24-letniej Noriki i czteroosobowej rodziny z Osaki. Pierwsza wizja morderstwa pojawiła się zaraz, gdy Jackowski przyłożył do czoła ubranie dziewczyny. Najbardziej zdumieni byli policjanci

Jasnowidz z Człuchowa postanowił wyjechać do Japonii. Tam jednego dnia w jego paranormalne zdolności uwierzyło 50 milionów osób. U nas słyszy tylko, że jest hochsztaplerem

PODMIOT GOSPODARCZY — JASNOWIDZ

ZDJĘCIA ROBERT KRZANOWSKI



MICHAŁ WÓJCİK

Na stole łąduje czerwone pudełko numer jeden. Krzysztof Jackowski, gdy je otwiera, prawie klęka, aby nic nie wypadło ze środka. Po chwili trzyma już jakieś zdjęcie. Jego twarz rozjaśnia serdeczny uśmiech. – To był gość! – mówi. Na zdjęciu widać obciętą głowę z wyraźnymi śladami nadpsucia. W oczach pełno much, ale nie ma czasu na dokładne oględziny. Pojawiają się kolejne fotki. Na jednej z nich Jackowski z Gołotą („Doradzałem mu przed każdą walką”), na innej Jackowski z Andrzejem Kulikowskim, lepiej znanym jako „Pershing”, bossem pruszkowskiej mafii.

– Nadal utrzymujemy kontakty – przekonuje, choć „Pershing” nie żyje od kilku lat. Kolejne dokumenty układają się w mały stos. Kartka z podziękowaniami od Czesława z Berkeley. Jackowski mruży oko. – To od Miłosa i jego brata, szukałem im skradzionych obrazów.

Notatka ze spotkania z reżyserem Jerzym Hoffmanem. Ta sprawa również dotyczy skradzionych przedmiotów. Czy zakończyła się pozytywnie? Na odpowiedź nie ma czasu. Słuchać harmider i na korytarz pakuje się tęga kobieta. Widać, że jechała z daleka. Bez zbędnych ceregieli przechodzi do rzeczy, grzebiąc jednoznacznie w torebce. Po chwili słychać stanowczy ton gospodarza i kobieta cofa się, zalewając domowników potokiem słów. Prosi o jakąś wróżbę, bo córka... Trzask drzwi. Jackowski już jest w pokoju. Manipuluje przy pilocie i zaraz szeroki ekran nowoczesnego telewizora wypełnia jego wielka twarz. To kadr z jakiegoś filmu.

– Każdy emanuje swoją energią, martwi również. Odnajduję ich nawet szybciej niż żywych. Ich energia jest spokojna, a poza tym

Mózg ludzki działa jak telefon: odbiera sygnał z powietrza. Każdy z nas posiada energię, która istnieje nawet po śmierci. Ja tę energię odbieram, nic więcej – twierdzi Krzysztof Jackowski



nieboszczyk zawsze sam pomaga się odnaleźć – tłumaczy z ekranu. Zdanie urywa się w połowie. Jackowski nagle czuje, że konieczne musimy znaleźć się za drzwiami. Wychodzimy. Na ulicy mijamy jego syna. Jak wzorowy ojciec dostrzega nie tę, co trzeba, bluzę pod jego kurtką.

– Przecież ona była mokra – dobroduszenie sztorcuje małego Adriana. Chłopiec jeszcze dwa lata temu, zanim ojciec zakazał mu tak mówić, na pytanie: „Kim jest twój tatuś?” z pełnym przekonaniem odpowiadał:

– No, jak to kim? Bogiem!

WEJŚCIE SZOGUNA

Program emitowany 28 grudnia 2002 r. w japońskiej telewizji publicznej Asahi trwał ponad dwie godziny. 50 milionów Japończyków w porze największej oglądalności nie mogło oderwać wzroku od telewizorów. To miał być wielki show – pojedynek gigantów. Dwóch największych jasnowidzów wszech czasów. Z jednej strony Amerykanin John Monti, z drugiej – onieśmielony Krzysztof Jackowski. Prowadzący, wskazując na Jackowskiego, chrapliwie sapie: – Jasnowidz numer jeden w Europie.

Zaczyna się program nakręcony podczas dwutygodniowego pobytu Polaka na wy-

spach. Gość dostał dwie zagadki: miał znaleźć miejsce śmierci 24-letniej Noriki i wyjaśnić okoliczności brutalnego morderstwa czteroosobowej rodziny z Osaki. Ekipa telewizyjna towarzyszyła mu noc w noc.

Pierwsza wizja pojawiła się o trzeciej nad ranem. Jackowskiemu „mignęła” przed oczami jakaś droga, potem rozjazd i charakterystyczny dom z filarami. To wszystko zostaje narysowane na kartce, którą ktoś oddaje policjantowi. Ten znikną z ekranu. Błyskawicznie rusza akcja poszukiwawcza. Rozpoznanie terenu zajmuje służbom kilka godzin. Nad ranem ekipa pletwonurków wyławia but denatki z rzeki, dokładnie w miejscu wskazanym przez Polaka.

To, co opowiadał o drugiej tragedii, mrozi krew w żyłach. Jackowski z dokładnością zrekonstruował przebieg morderstwa znanego prokuratorowi jedynie z wizji lokalnej. Tłumaczony symultanicznie opowiada oniemiałej publice, jakby czytał sprawozdanie z kroniki kryminalnej: – Zabójca dusi chłopca... potem skrada się po stopniach, napotyka mężczyznę, zabija go... zrzuca ze schodów. Idzie do pokoju, gdzie stoi przerażona gospodyni, która usłyszała odgłosy szamotaniny. Kobieta próbuje osłonić córkę. Dżgana nożem czołga się, chowając dziewczynkę pod siebie...



Jackowski opowiada dalej. Publiczność w studiu przypomina magazyn manekinów z tozdziawionymi ustami. – Napastnik zabija matkę, potem córkę – kontynuuje Polak. Policjanci tylko kiwają głowami. Szok jest totalny. Następnego dnia po programie, gdziekolwiek pojawił się polski jasnowidz, ludzie się zatrzymywali i pokazywali go palcami. Kilka dni po powrocie do Polski Jackowski dostał propozycję pracy dla Asahi. Na wyspy wraca za dwa tygodnie.

MROWIENIE NA CZOLE

Przyszły jasnowidz urodził się w rodzinie zbieracza gazet i książek. Ojciec również obcował z nieboszczykami – ubierał ich do trumny. O zjawiskach paranormalnych mały Krzyś przeczytał w oddawanych do skupu książkach. Pierwszą wizję miał dopiero 13 lat temu. Trochę się jej wstydzi. Wyglądała na niedorzeczną.

– Drzemałem w fotelu przed telewizorem – wspomina po długiej namowie. – Nagle spikerka dziennika telewizyjnego przerwała podawanie wiadomości i poradziła, abym zrobił zapas wody, bo następnego dnia nie będzie jej w całym Czluchowie. Oczywiście nie zrobiłem tego. Nazajutrz zobaczyłem wielki żółty buldożer, który rozorywał asfalt na głównej ulicy. Pękła rura. Wody nie było cały dzień.

Później wizje nawiedzały go w najmniej odpowiednich momentach. Składały się z mało na pozór logicznych „stop-klatek jakby znanego, ale zapomnianego filmu”. Objawy nadchodzenia wizji – jak mówi – też są dziwne: – To jest takie mrowienie na czole.

Teraz proces ten może kontrolować, może go również prowokować po kilku minutach skupienia.

Z czerwonego pudełka numer dwa wyszarpuje faksy od policji. „Wyrażam gorące podziękowanie za udzielenie pomocy w sprawie dotyczącej zabójstwa czteroosobowej rodziny, jakie miało miejsce w styczniu 1996 roku”. „Chcę panu serdecznie podziękować za dokładne wskazanie miejsca ukrywania się poszukiwanego listem gończym groźnego przestępcy” – to list z Komendy Wojewódzkiej w Radomiu. Podobne przyszły z komisariatu w Karlinie i z Komendy Powiatowej w Kętrzynie.

Jackowski od lat pomaga zdesperowanym rodzinom. Wskazuje, gdzie leżą zwłoki zamordowanych, podpowiada, gdzie ukrywają się poszukiwani. W sumie 600 spraw. Co druga zakończona pozytywnie. Po Polsce krążą opowieści o jego sukcesach, a także niezliczone anegdoty. O tym, jak to wsiadał na prom „Inowrocław”, aby udać się na wakacje do Szwecji. Ponieważ nie lubi podróżować, w ostatnim momencie wyszedł po trapię na brzeg. Mokry ze strachu kapitan wysłał majtkę, aby ten

przekonał cudotwórcę do powrotu na pokład. Na trapię już formowała się kolejka chętnych do wyjścia. Jasnowidz wrócił, statek dopłynął. Albo inna opowieść, którą koło trzepaka na podwórku opowiada przyjaciel Jackowskiego: – Idziemy sobie z Krzychem, a on staje nagle i mówi, żebyśmy szybko stąd poszli, bo zaraz będzie wypadek. I rzeczywiście, nie minęło kilka minut, jak traktor wjechał w „malucha”.

TAJEMNICA LEPPERA

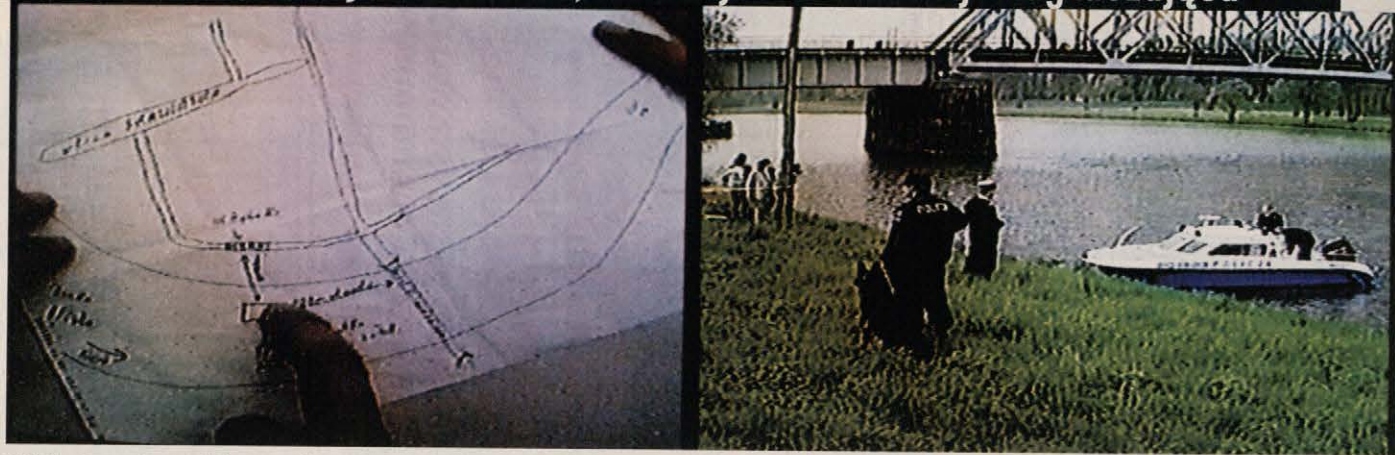
Jackowski twierdzi, że ma niezbite dowody na prawdziwość swoich wizji. Podsuwa kolejny faks. Tym razem młodszy inspektor Ryszard Włoka dziękuje mu w imieniu komendy policji w Zabrze za wskazanie miejsca utonięcia dwóch chłopców z Biskupic. List pochodzi z lipca zeszłego roku. Dziś inspektor Włoka jest już mniej wylewny.

– Nie wierzę w te cudeńka – mówi, ale przyznaje, że za trzecim razem mapka sporządzona przez jasnowidza z dokładnym umiejscowieniem zwłok okazała się prawdziwa.

Pan Krzysztof tłumaczy, na czym polega fenomen: to tak jak z telefonem, są fale w powietrzu, a aparat to takie cudeńko, które te fale po prostu odbiera.

– Tak samo jest ze mną – prawie krzyczy. – Mam w głowie taki detektor energii. A energia żywych i martwych wypełnia powietrze wokół nas jak tlen. Trzeba ją tylko wychwycić. Nic więcej. Żadnych cudów.

Człowiek, który nienawidzi, działa jak radiostacja zagłuszająca



Cały kraj emocjonował się poszukiwaniami trzyletniej Magdy. Jackowski pierwszy powiedział, że dziewczynka utonęła, i narysował dokładną mapę z zaznaczonym miejscem, gdzie leży ciało. Nurkowie odnaleźli dziewczynkę dokładnie we wskazanym miejscu

Dwa lata temu Maria Zmarz-Koczanowicz kręciła o nim film „Jasnowidz”. Jeden z reżyserkich pomysłów polegał na konfrontacji Jackowskiego z Andrzejem Lepperem i posłem AWS-u Piotrem Żakiem. W pewnym momencie Lepper wyjął zza pazuchy kilka zdjęć i wręczył je jasnowidzowi w taki sposób, aby operator kamery nie mógł dostrzec, kto jest na fotografii. Szeptem wyłowionym przez czuły mikrofon zapytał: „Ta kobieta?”. Tej sceny w filmie nie ma. Tymczasem Jackowski rzucił okiem na zdjęcie i siłą powstrzymał wybuch śmiechu. Potem opowiadał, że nie mógł się otwarcie przyznać Lepperowi, co tak naprawdę zobaczył. Szepnął tylko: „Bardzo pozytywnie”. Tymczasem chodziło o pewną posłankę, która ukazała się jasnowidzowi jako osoba... bardzo bliska sercu wodza Samoobrony.

Piotr Żak z kolei po chwili rozmowy nie był w stanie wybąkać ani jednego spójnego zdania. Jackowski przepowiedział mu, że AWS się rozleci. Poseł już słyszał o zakulisowych pracach nad stworzeniem Platformy Obywatelskiej i tylko łapał się za głowę, że są w tej sprawie przeciwi.

Maria Zmarz-Koczanowicz przyznaje, że Jackowski przepowiadał również przyszłość ekipie filmowej.

– Ja już od dawna nie powinnam żyć. Miałam nie jechać do Anglii, bo tam umrę. Jakoś się tym nie przejmuję, bo kolejny jasnowidz, z którym rozmawiałam, uspokoił mnie, że umrę nie w Anglii, ale we Francji.

POMOC, KTÓREJ NIE MA

Dwa lata temu Komenda Główna Policji opracowała raport o wykorzystywaniu pomocy jasnowidzów w poszukiwaniach osób zaginionych. Autorka zestawienia Agata Tarczyńska przeanalizowała 440 zaginięć w latach 1994–1999. Wyniki były druzgoczące. W 432 przypadkach informacje od jasnowidza nie przyczyniły się do odnalezienia zaginionego.

– Część z nich jest niezrównoważona, część to zwykli oszuści, którzy wyludzą pieniądze od biednych ludzi – mówiła po opublikowaniu raportu Anna Jurkiewicz z redakcji programu „Ktośkolwiek widział, ktośkolwiek wie”. Ówczesny rzecznik prasowy policji Paweł Biedziak dodawał, że rzeczywiście policja zgłasza się do jasnowidzów, ale robi to pod naciskiem desperowanej rodziny. Tymczasem jeden dzień poszukiwań zaginionego we wskazanym terenie z użyciem kompanii policjantów kosztuje około czterech tysięcy złotych. Tylko jeden procent tych poszukiwań dał jakikolwiek rezultat. A to się mieści w granicach błędu statystycznego.

Po opublikowaniu raportu jasnowidz był w szoku. Popadł w depresję, przez jakiś czas nie wpuszczał do domu natrętów.

Teraz odrywa się od krzesła i leci po pudło numer trzy. Nie jestem jasnowidzem, ale wiem, co tam będzie. Sprawa domniemanego dezertera Pawła K., którego odnalazł, mimo że dochodzenie policji ustaliło, że pijany chłopak ześlizgnął się z brzozy i utonął. Tymczasem okazało się – jak w wizji Jackowskiego – że został pobity przez kolegę, który potem symulował „pomrocność jasną”. Co jeszcze? Zapewne sprawa morderstwa urzędnika skarbowego z Zambrowa zadżganego nożem przed własnym garażem. Odkąd Jackowski opisał morderców i wszystko okazało się prawdą, tamtejsi policjanci zwracają się do niego per „Mistrzu”. Niektórzy zaniechali tytułowania go w ten sposób, gdy poradził jednemu z nich, aby przestał jeździć samochodem, bo będzie miał wypadek. Zaczęli się go bać. Dwa lata później wdowa po funkcjonariuszu opisała mu dokładnie, jak zginął jej mąż.

PIKUŚ TEŻ JEDZIE

Gdy dzwoni telefon, Jackowski bez zbędnych ceregieli twardym głosem domaga się przysłania jakiegoś przedmiotu ofiary i zdjęcia. Nic więcej. Żadnego pocieszenia, obietnic, podtrzymywania nadziei. – Im mniej wiem o zdarzeniu i człowieku, tym lepiej – dodaje.

Ostatnio szczęście jakby go omija. Burmistrz Człuchowa powiedział o nim, że jest dziwny, ale zabrzmiało to jak „dziwak i odszczepieniec”. Na ulice wychodzi tylko wieczorami.

– Boi się – tłumaczy mi tajemnicze zachowanie Jackowskiego policjant proszący o anonimowość. – On się obraca w dziwnym towarzystwie, wszyscy wiedzą, że był przyjacielem „Pershinga”, a jednocześnie współpracuje blisko z policją. Schizofreniczne jest również to, że przełożeni tych policjantów oficjalnie nic nie wiedzą o tym, że im pomaga. A tymczasem on jest prawie na etacie w wielu wydziałach dochodzeniowych.

Gdy pytam Jackowskiego, kim właściwie jest, ze śmiechem odpowiada: – Zarejestrowany podmiot gospodarczy: jasnowidz. O współpracy z policją nie chce wiele mówić. Przecież jej nie ma – tak brzmi oficjalne stanowisko Komendy Głównej.

Wyjazd do Japonii jest mu bardzo na rękę. Do tej pory nienawidził latania i podróżyowania. Teraz mówi, że przeczuwa odmianę swojego losu. Japońska telewizja już zakontraktowała kilka występów i wizyt w studiu. W podróż zabierze dzieci, a może i psa Pikusia. – Niewykluczone, że zostaniemy – mówi. Gdy pytam, co z dokumentacją, na której mu tak zależy, odpowiada, że zabierze ją ze sobą. – Te wszystkie papiery, dowody, zdjęcia oddam kiedyś córce – mówi. – Niech wie, że ojciec nie kłamł.

Rozlega się walenie do drzwi. Kolejna grupa smutnych panów. Ewidentnie funkcjonariusze udający złołą rodzinę. W rękach mapa. Z boku kurtek, na wysokości pasa, charakterystyczne wybrzuszenie. Nie patrzą nikomu w oczy. Muszą zabrać Jackowskiego do jakiegoś spalonego hangaru. Nie interesuje ich, że już wieczór. Byle szybko, byle zaraz, głośno gadają o trupach. Szukuje się kolejna sprawa do pudełka numer cztery.

MICHAŁ WÓJCİK

świecą lub spadają

ŚWIECI

ŚWIECI

ŚWIECI



Piotr Świerczewski NASI W ANGLII

Nareszcie Jerzy Dudek będzie mógł porozmawiać z kimś po polsku! Kolejny Polak został zawodnikiem angielskiej Premier League. 31-letni pomocnik Piotr Świerczewski został wypożyczony z Olympique Marsylia do Birmingham. Choć angielski klub nie radzi sobie w tym sezonie najlepiej i walczy o utrzymanie w lidze, piłkarz jest zadowolony z przeprowadzki. Występował w Olympique od roku 2001, jednak ostatnio częściej grał ławkę rezerwowych, niż wybiegał na boisko. Z Francuzami pożegnał się w pięknym stylu – w swoim ostatnim występie w barwach Olympique grał zaledwie pięć minut, strzelił jedną z bramek w wygranym 2:0 meczu pucharowym z Créteil.

W Polsce Świerczewski był zawodnikiem GKS Katowice. W reprezentacji rozegrał 68 meczów i choć ma na koncie tylko jedną strzeloną bramkę, to jest uważany za jednego z najbardziej doświadczonych polskich zawodników. Jeśli sprawdzi się na angielskich stadionach, Birmingham w maju sfinalizuje jego definitywny transfer.



Staś Drzewiecki WYSOKIE PROGI ZDOBYTE

Carnegie Hall, jedna z najbardziej prestiżowych sal koncertowych, gościła w niedzielę najbardziej obiecującego polskiego pianistę Stasia Drzewieckiego. Niespełna 16-letni artysta zagrał przed trzytysięczną publicznością utwory Paganiniego, Chopina i Schuberta.

– Już 200 lat temu kompozytorzy wiedzieli, jak sprawić ludziom przyjemność – mówi Staś. Urodzony 15 lipca 1987 r. w Moskwie Drzewiecki zaczął naukę gry na fortepianie w wieku czterech lat. Rok później wystąpił z pierwszym programem solowym, a jako sześciolatek odbył tournée po Japonii. Pierwszą płytę wydał, gdy miał 11 lat, i od razu otrzymał za nią nominację do Fryderyków. Trzy lata temu wygrał Konkurs Eurowizji dla Młodych Muzyków w Norwegii.

Na co dzień jest uczniem klasy fortepianu profesor Tatiany Szebanowej w warszawskim Zespole Szkół Muzycznych im. Szymanowskiego. Choć częściej nosi frak niż dzinsy, to w Internecie można natknąć się na listy od przyjaciół, których zostawił w kraju: „Stachu! Kiedy zrobim fajną imprezę i się wyluzujemy?”.



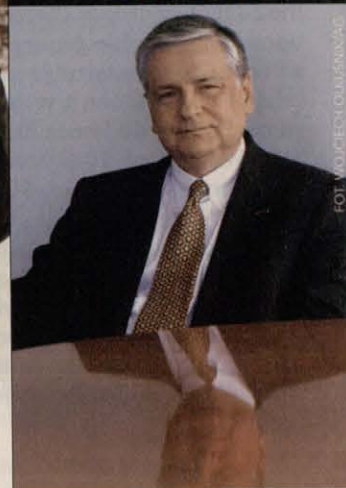
Roman Kluska UMORZONY

Prokuratura umorzyła śledztwo przeciw założycielowi firmy komputerowej Optimus w sprawie domniemanego oszustwa podatkowego. W lipcu 2001 roku policja zatrzymała Romana Kluskę i w kajdankach przewiozła go do aresztu. Znany biznesmen został zwolniony dopiero po złożeniu astronomicznego poręczenia majątkowego w wysokości ośmiu milionów złotych.

Prokurator zarzucał Klusce obejście prawa przy sprzedaży polskimi szkołom komputerów za formalnym pośrednictwem należącej do Optimusa firmy słowackiej. Kluska zaoszczędził w ten sposób na podatkach, ale nigdy nie ukrywał tego procederu wymuszonego przez przepisy faworyzujące zagranicznych dostawców sprzętu. Teraz nowosądecki urząd skarbowy umorzył Optimusowi zaległe podatki, które z odsetkami wynosiłyby dziś 35 milionów złotych.

Roman Kluska założył Optimusa w roku 1988. Zaczynał od składania komputerów na strychu rodzinnego domu. Dwa lata później zarobił pierwszy milion dolarów. Dziś do Optimusa należy też jeden z najpopularniejszych portali internetowych Onet.pl.

SPADA



Aleksander Lesz STRACIŁ SOFTBANK

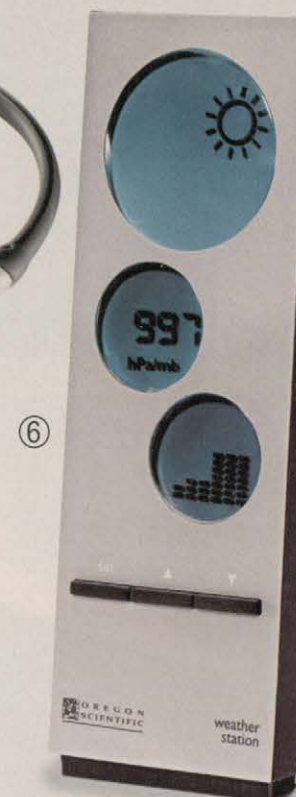
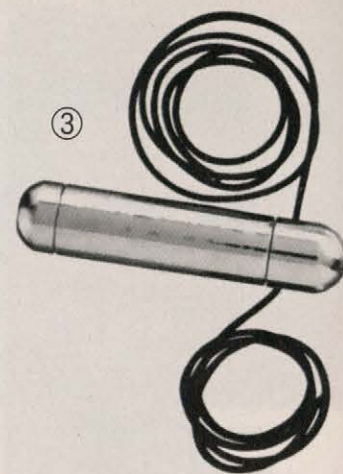
Założyciel i szef Softbanku ustąpił z funkcji prezesa swojej firmy. W październiku ubiegłego roku sprzedał swoje imperium Prokomowi Ryszarda Krauzego, który postanowił pożegnać się z dawnym właścicielem.

Lesz wystartował w branży komputerowej jeszcze w latach 70., mając zaledwie 18 lat. W roku 1989 założył Softbank i uczynił go największym polskim dostawcą oprogramowania dla banków.

Dwa lata temu na jednym z bankietów prezes Lesz, wówczas u szczytu kariery, opowiedział podobno Krauzemu taki oto dowcip: „Przychodzi szczer do chomika i mówi: – Ja mam śliczne futerko i ty masz śliczne futerko, tylko dlaczego ciebie ludzie przytulają i karmią, a mnie trują i przepędzają? Na to chomik: – Stary, po prostu masz zły PR”.

Nowym prezesem Softbanku zostanie Mirosław Szturmowicz z Prokomu.

Wielka, pojemna karoseria, potężne zderzaki, olbrzymie koła, a w środku komfortowe fotele, klimatyzacja i świetny sprzęt grający – tak wygląda nowoczesny samochód terenowy, czyli *sport utility vehicle*, w skrócie SUV. Moda na luksusowe „terenowce” trwa już od dobrych kilku lat. Szczególnie upodobali je sobie Amerykanie i głównie z myślą o tamtejszym rynku producenci samochodów konstruują coraz to nowe modele. Teraz SUV-y zaczęły podbijać także Polskę. Mimo trwającego od trzech lat spadku ogólnej sprzedaży samochodów do końca listopada na polskie drogi wyjechało prawie 4,5 tysiąca SUV-ów, czyli aż 30 procent więcej niż przed rokiem. W Ameryce 90 procent SUV-ów nigdy nie zjeżdża z asfaltowych dróg. Większość zresztą niezbyt się do tego nadaje. W Polsce samochód terenowy jest dużo bardziej przydatny – na dziury w jezdniach i połamane krawężniki jak znalazł. W styczniu zmierzyły się z naszymi wybojami pierwsze egzemplarze nowego terenowca Volvo – na razie trzymają się mocno. Podstawowa wersja Volvo XC90 kosztuje 221,4 tysiąca złotych.



7



1 Disco w szklarni
Jesteś spragniony mocy, a pod ręką masz tylko walkmana? Soundbug zamieni nawet najmniejszy magnetofon w bumboksa. Niewielkie urządzenie przyklejone do twardej powierzchni zamienia ją w rezonujący głośnik, wielokrotnie wzmacniając siłę dźwięku. Trzeba tylko znaleźć jakieś lustro, szybę albo gładki stolik.

Okolo 220 złotych
www.gadgetshop.com

2 A jednak stoi
Nie, to nie złudzenie! Ta szybka z wetkniętą butelką naprawdę nie jest niczym podparta. Wszystko odbywa się zgodnie z prawami fizyki, ale działa tylko wtedy, gdy butelka jest pełna. Świetny gadżet na imprezę, ale trzeba się powstrzymać od otwarcia tej jednej butelki, bo inaczej efektowny trik się nie uda.

Okolo 20 złotych
www.gadgetshop.com

3 Popalaj
Od lat piszemy, że fajka mniej szkodzi. Zwłaszcza taka jak Agent Blue. Choć ma tylko osiem centymetrów, kanał w środku ma ich aż 28. Specjalny system chłodzenia dostarcza krtani dym o idealnej temperaturze. W komplecie ze sznurkiem na szyję.

90 złotych
www.gadgetshop.com

4 Obok wazonika
Kto powiedział, że domowe odtwarzacze DVD muszą być płaskie i kanciaste? Sony DVP-PQ1 z pewnością znajdzie swoje miejsce między pamiątką z Wyspy Wielkanocnej a niklowaną popielnicą od Alessio.

999 złotych

5 Jak okulary
Klasyczne słuchawki z pałąkiem mają wiele wad – wplątują się we włosy, a zdjęte z głowy łatwo uszkodzić. Pałąk słuchawek Philips HS910 opiera się nie na głowie, lecz na karku melomana, a dzięki zmysłnej konstrukcji całość można złożyć jak okulary.

99 złotych

6 Na pogodę
Jeżeli od zmian ciśnienia nie łamie cię jeszcze w krzyżu, korzonki może wyręczyć domowa stacja meteo BHB613. Bezboleśnie wskaże każdą pogodę i niepogodę.

Okolo 400 złotych
www.oregonscientific.com

7 Chlast!
Jak błyskawicznie się pozbyć kompromitujących dokumentów? Spalić? Pożar może wymknąć się spod kontroli. Połknąć? Nie wszystkim smakuje farba drukarska. Najlepiej pociąć w podręcznej niszczarce Mini Shredder Blue. Ma tylko 15 centymetrów szerokości, więc zmieści się na każdym biurku. Uwaga: niszczona kartka może być szeroka najwyżej na 12 centymetrów.

Okolo 50 złotych
www.shopv.co.uk

8 Wpół do komina
Abażur się przekrzywił – można by zawołać, widząc po raz pierwszy zegar Tuno z Ikea. Dzieciom skojarzy się raczej z Czerwonym Kapturkiem. Tak czy siak – rozwesela.

Okolo 160 złotych
www.ikea.com





...zdołał na chwilę rozproszyć nastrój świata niszczącego piękem przed wojną - „VOGUE”

KRZYK MODY

Galliano chce, żebyś tak wyglądała.
Boisz się? *Haute couture* jest
dla odważnych. I majątnych

MARIA ŚWIETLIK





Rozbłysły chińskie lampiony. Wojownicy-akrobaci tanecznym krokiem przemknęli przez polakierowany na czerwono wybieg. Ale to tylko świta dworska. Na scenę wkraczają księżniczki. Spowite taką ilością materii, że wyglądają jak rozkwitające kwiaty. Z gęszczy tkanin wyłaniają się pomalowane na białło twarze. Trochę gejsze, trochę arlekiny z komedii dell'arte. Unoszą się nad sceną na koturnach. Niektóre niosą nad głowami chińskie parasolki. Inne – okazałe kapelusze obszyte piórami. Każda kreacja odurza feerią barw od pastelów po intensywne odcienie pomarańczowego, czerwieni, turkusów.



Można także uznać takie popisywanie się haute couture za niesmaczne w czasach, kiedy nerwy całego świata napięte są jak postronki

– SUZY MENKES, „INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE”

Nigdy przed Gallianem haute couture nie była tak bulwersująca. Nic nadającego się do noszenia nie znalazło się na tym pokazie. Tylko ciąg rzeźb z materiału, jedne bardziej psychodeliczne niż drugie – LAURENT ROJOT, „ELLE”



Około tysiąca dziennikarzy z całego świata zjechało się do Paryża, by jak co roku w styczniu podziwiać sztukę krawiecką. Tym razem najbardziej zachwycił ich pokaz przygotowany przez głównego kreatora firmy Dior Johna Galliana. To pierwszy brytyjski projektant, który stanął na czele francuskiego domu mody.

Spektakl rozpoczął się z dwugodzinnym opóźnieniem, ale był „najbardziej wstrząsającym przykładem samouwielbienia i luksusu od czasów Ludwika XIV” – napisała wyrocznia w sprawach mody Suzy Menkes z „International Herald Tribune”.

Wyobraźnia Galliana przekracza granice kultur i czasów. Azjatyckie inspiracje połączył z teatralnością i przepychem XVII-wiecznej Francji oraz z całkiem współczesnym londyńskim punkiem.

Domy mody haute couture coraz chętniej powierzają najwyższe stanowiska młodym, bardziej medialnym projektantom. Właściciel Diora wymienił uważanego niegdyś za objawienie introwertyka Gianfranco Ferrero (rocznik 1945) na Johna Galliana (1960), który lepiej się nadaje na bohatera prasy kobiecej.

Niegdyś na paryskie pokazy czekano z zapartym tchem. Przewożone pod ochroną kreacje były najpilniej strzeżoną tajemnicą projektantów. Dziś te emocje mamy za sobą: na miesiąc przed rewią *haute couture* odbywają się pokazy *prêt-à-porter*. Setki projektantów w Londynie, Nowym Jorku i innych stolicach pokazują to, co tysiące innych pilnie kopiuje, by w końcu w uproszczonej wersji założyć i nasze domy towarowe. Paryż już dawno stracił monopol. Ale magia *haute couture* wciąż działa. Jest to ważna gałąź francuskiej gospodarki – ponad miliard euro przychodu rocznie.

PIERWSZY DYKTATOR

Francuzi nie lubią przypominać, że ojcem chrzestnym *haute couture* jest Anglik. Charles Frederic Worth przybył do Paryża jako 20-latek. Większość czasu spędzał w Luwrze, gdzie z zapartym tchem i szkicownikiem w dłoni studiował obrazy mistrzów historycyzmu. Drobiazgowo kopiował detale z malowanych kostiumów, hafty i wzory. Na ich podstawie tworzył projekty tkanin i ubrań, ale potrafił też zaproponować zupełnie nowe rozwiązania.

Na światowej wystawie w roku 1855 otrzymał medal za tren – wszywany w ramionach, a nie jak dotąd w talii. Stworzył nową kobiecą sylwetkę. Wkrótce ubierał już prawie wszystkie rodziny królewskie i damy z wyższych sfer. Realizował rocznie pięć tysięcy zleceń. Był ulubieńcem cesarzowej Eugonii. Żona cara Aleksandra III zamawiała u niego suknie przez 30 lat. Darzyła go takim zaufaniem, że zlecenia wysyłała telegraficznie.

Worth wprowadził zwyczaj, które dziś wydają się nam wieczne: prezentował swoje kreacje na modelkach, a na ubraniach umieszczał metki ze swoim nazwiskiem. Pierwszy zaproponował klientom własne, nieuzgadniane z nimi uprzednio kolekcje. Od czasów Wortha to projektanci dyktują nam, co jest modne.

W roku 1868 założył stowarzyszenie domów *haute couture*, którego celem była ochrona praw autorskich projektów wielkich krawców. Organizacja zajęła się także promowaniem francuskiej mody na świecie.

RĘCZNA ROBOTA

Tymczasem nadchodził przełom. W USA Isaac M. Singer opatentował maszynę do szycia, która błyskawicznie zrewolucjonizowała przemysł odzieżowy i zunifikowała stroje. Przed *haute couture* stanęło nowe zadanie – ocalić resztki artyzmu w krawiectwie, uchronić je przed masówką.

Dzięki temu zasady tworzenia kreacji *haute couture* nie zmieniły się do dzisiaj. Są jedyną racją bytu podparyskich manufaktur, które zatrudniają 4,5 tysiąca osób. Rzemieślnicy nie czym za Ludwika XIV pieczołowicie obszywa-

ją guziki, fastrygują, pikuja, wykańczają, przyprasowują każdy centymetr stroju. Wszystko ręcznie. Koronczarki pracują nawet nad niewidocznymi fragmentami bielizny. Strój musi elegancko prezentować się zarówno z zewnątrz, jak i „od podszewki”. Jedna suknia pochłania setki, a nawet tysiące godzin pracy. Najwyższej jakości tkaniny często są przygotowywane na zlecenie domu mody. Każda suknia powstaje na modelce, która będzie ją prezentować na pokazie.

Pierwsze pokazy z modelkami, metki z nazwiskiem projektanta – to wkład Wortha w historię mody

Ojcem *haute couture* jest Anglik Charles Frederic Worth. Założona przez niego w roku 1857 firma niespodziewanie wróciła w tym roku na wybiegi *haute couture*, prezentując kolekcję luksusowej bielizny



magania te są traktowane bardzo serio. Gdy dom mody André Courreges'a z powodu kłopotów finansowych nie mógł przedstawić dwóch kolekcji w roku, został usunięty z listy stowarzyszenia. I nie pomogły mu nawet dawne zasługi – wypromowanie krótkiej spódnicy czy damskich spodni.

APASZKA DLA SNOBA

Warto ubiegać się o prawo do nazwy *haute couture*, chociaż na pierwszy rzut oka wydaje

się to zupełnie nieopłacalne. Policzmy: koszt jednego pokazu to około miliona dolarów. Do tego dochodzi utrzymanie pracowników o wysokich kwalifikacjach. Kreacje (około 50 na każdym pokazie) kosztują kilkadziesiąt tysięcy dolarów (20 tysięcy za stroje codzienne, 60 tysięcy za wieczorowego Diora). Ale domy mody sprzedają tylko niewielką część uszytych ubrań.

Na kupienie takiego stroju mogą sobie pozwolić zaledwie trzy tysiące kobiet na świecie, a mniej niż tysiąc robi to regularnie. Chanel ma 150 stałych klientów. Dior szyje



John Galliano to pierwszy Anglik, który stanął na czele francuskiego domu mody. Dzięki niemu firma Christiana Diora nawet w czasach recesji przynosi gigantyczne zyski

Na kreacje *haute couture* stać tylko trzy tysiące kobiet na całym świecie. I tylko tysiąc kupuje je regularnie

– kolekcje gotowe do ubrania, szyte w wielkich seriach według znormalizowanych miar, a przede wszystkim sprzedaż akcesoriów. Kogo nie stać na ubranie, może zaoszczędzić na pasek, apaszkę czy okulary. Ich ceny zaczynają się od kilkudziesięciu euro.

A prawdziwą kopalnią złota dla firm krawieckich są... kosmetyki. Tylko jedna marka perfum Diora – J'Adore – przynosi rocznie 140 milionów euro, czyli równowartość połowy zysków z odzieży. Spektakle *haute couture* służą do promocji marki, do wyrabiania snobizmu. Nie ma lepszej reklamy dla domu

mody niż gwiazda ubrana w jego kreację lub przynajmniej sfotografowana na pokazie mody.

Poważnym źródłem dochodów jest także sprzedaż prawa do używania nazwy i logo firmy producentom niezwiązanym z modą czy wyrobami luksusowymi. Nie należy jednak zbyt lekkomyślnie szafować marką. Jedna z wielkich firm, która udzielała licencji na prawo i lewo, musiała latami odbudowywać swoją pozycję na rynku dóbr luksusowych.

kobiecie kształty – wąską talię, okrągłe biodra, biusty. Wnosiły radość życia, lekkość i elegancję na ulice całego świata.

W połowie lat 60. kolejny rewolucjonista André Courreges skrócił spódnice, odsłaniając kolana. Wdzięczne kostiumiki Coco Chanel weszły do historii. (Dosłownie. Za oceanem rozpropagowała je Jacqueline Kennedy. Jeden z nich, granatowo-różowy, miała na sobie w dniu zamachu na jej męża, prezydenta Johna F. Kennedy'ego. Kostium znajduje się obecnie w waszyngtońskim muzeum. Do dziś zobaczyć można na nim plamę krwi). W londyńskim butik Mary Quant pojawiła się minispódniczka. W Paryżu wylansował ją Pierre Cardin.

Parę lat później ku zaskoczeniu mam dumnie prezentujących swoje nogi w miniówkach ich córki wdziewiają długie, pstrokate spódnice hippy. Kolejne przełomy w modzie rozpoczynają się już poza sceną *haute couture*.

MANEKINY ZAMIAST MODELEK

Młodsze pokolenie projektantów często skupia uwagę raczej na tym, jak pokazywać, zamiast na tym, co pokazywać.

Równie ważne jak sama kolekcja stają się szokujące gadżety, skandale wokół pokazów i doskonale opłacane popularne modelki.

W sensacyjnych aranżacjach celuje niezwykle utalentowany Alexander McQueen. Na jednym z jego pokazów w średniowiecznych wnętrzach pojawiło się stado wilków, a podczas rewii „Gwałt w górach” po wybiegu defilowały zakrwawione topmodelki.

Nie wszystkim kreatorom mody to się podoba. Wielki Yves Saint Laurent, który mówił o sobie, że jest artystą pragnącym zbliżyć się do absolutu, w zeszłym roku zakończył ku zaskoczeniu wszystkich karierę. Nie mógł się pogodzić z wulgarną promocją, z brakiem harmonii i wdzięku w modzie.

Niektórzy wieszczą bliski koniec *haute couture*. W dodatku tej dziedziny też nie ominął światowy kryzys gospodarczy. Wiele najlepszych domów mody zmienia właścicieli. Francuzi sprzedają je Japończykom, a nawet Rosjanom. Z pokazów, do których przyzwyczail nas Alexander McQueen, zrezygnowano z powodów finansowych. On sam także – przynajmniej na razie – zniknął z grona *haute couture*. Firma Versace w tym roku pokazała swoją kolekcję na szklanych manekinach. Zaoszczędziła w ten sposób 250 tysięcy funtów na honorariach dla modelek.

Może jednak nie wszystko stracone. Futurologi prorokują, że w XXI wieku ludziom znudzi się masowa produkcja. Będą chcieli kupować towary – w tym z pewnością ubrania – dopasowane do indywidualnych gustów, potrzeb i wymagań.

MARIA ŚWIETLIK



Kochany mój „Przekroju”!

1. Dobiła mnie pani Jakubowska w wywiadzie („P” 3/3004), mówiąc: „Nie jestem feministką, ale irytują mnie odmienne kryteria wobec kobiet i mężczyzn”. Kuriozum!!! Chyba tylko w naszym kraju można bez wstydu publicznie wygłosić taką opinię. Wydawałoby się, że w XXI wieku osoba wykształcona i choć trochę obyta we współczesnym świecie powinna wiedzieć, że feministka to nie potwór z owłosionymi nogami, z siekierą rzucający się na każdego napotkanego mężczyznę, tylko właśnie kobieta postulująca takie same kryteria wobec obu płci (minimalna definicja feminizmu). Uważam, że takie opinie wygłaszane przez osoby publiczne – tym bardziej kobiety! – są mylące i szkodliwe.

2. Uwielbiam nowy „P” jeszcze bardziej – o wiele bardziej niż stary – ale nie podoba mi się

noworoczna innowacja krzyżówki – uważam, że jest mała i nieprzejrzysta, proszę zwrócić uwagę na ten głos wiecej czytelnicki. Poza tym krzyżówka w ostatnim numerze była nieprzyjemnie prosta; mam nadzieję, że to wyjątek i następna jak zwykle powali mnie na kolana.

3. Chciałabym też bardzo serdecznie pozdrowić pana Pióro, którego felietony bardzo mi się podobają; są tak ciekawe i barwnie napisane, że często nawet zaczynam od nich lekturę „P”. Jest to tym bardziej komplement, że praktycznie w ogóle nie zajmuję się gotowaniem, ale jeśli kiedyś zacznę, to na pewno od któregoś z jego pięknych przepisów.

4. Myślę, że „P”, odkąd zdradził mój Kraków i przeniósł się do Warszawy, jest najlepszą gazetą na polskim rynku – z charakterem, zabawną i mądrą; nigdzie nie można przeczytać tylu ciekawych artykułów. Ja czytam „P” od deski do deski i jestem zachwycona poziomem Waszego tygodnika. Pozdrawiam bardzo serdecznie całą Redakcję

EWA ŁUKAWSKA

Szanowna Redakcjo!

W 85-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości przygotowujemy opracowanie pod tytułem „Upamiętnione miejsca działalności i pobytu gen. Józefa

Hallera – w kraju i za granicą”. W związku z tym zwracamy się z apelem do Czytelników, którzy mają materiały lub ilustracje związane z tym tematem, a szczególnie te dotyczące pobytów Błękitnego Generała poza granicami kraju (Austria, Ukraina, Rosja, Francja, Włochy, USA), o nadsyłanie ich na adres: Stowarzyszenie Miłośników Tradycji Mazurka Dąbrowskiego, ul. Pilotów 3, 80-460 Gdańsk.

PRZEWODNICZĄCY ZARZĄDU
ODDZIAŁU WOJEWÓDZKIEGO SM
MGR CZESŁAW SKONKA

Szanowny Panie Redaktorze,

W odpowiedzi na pogląd wyrażony przez adwokata Krzysztofa Felucha, specjalistę z zakresu prawa procesowego z kancelarii Kunachowicz, Ślusarek i Wspólnicy, wyrażony w wywiadzie opublikowanym w numerze 02/3003 z dnia 12 stycznia 2003 r., zgodnie z którym możliwe jest przesłuchanie mnie przez prokuratora w charakterze oskarżonego, pragnę stwierdzić jako laik, iż jest to niezgodne z procedurą karną i taki tryb nie istnieje. W celu uzyskania statusu oskarżonego niezbędne jest sporządzenie aktu oskarżenia. Natomiast po sporządzeniu aktu oskarżenia sprawę rozpoznaje sąd, a nie prokurator.

LEW RYWIN

Przepraszamy Lwa Rywina, że pozwoliliśmy mecenasowi Feluchowi uczynić go oskarżonym, chociaż jest tylko podejrzanym.

Redakcja

Lew, Lwu, Lwowi

Szanowny „Przekroju”, do którego wracam po blisko 20 latach!!! I mimo że taki szacowny, też robisz błędy pospolite. A mianowicie napisałeś: „Przyznał Lwu Rywinowi tytuł Gentlemana Roku 2001”. Mogłoby być: „Lwu salonowemu Rywinowi” (Lwu przez małe „l”). A przez duże „L” wyłącznie: Lwowi Rywinowi!!! Przez analogię: „dać żarcie kotu”, „dać kolację panu Kotowi”. Tak samo jak Piotrowi, Janowi, Michałowi, Józefowi etc. Także: Lwowi Tolstojowi. Pozdrawiam

JAN MATEUSZ GRZYCKA

Szanowny Panie, Niektóre słowniki rzeczywiście uznają formę „Lwowi” za jedynie poprawną. Ale „Słownik wyrazów kłopotliwych” już od kilku lat zaleca stosowanie w celowniku formy zgodnej z powszechnie panującym zwyczajem, czyli w tym wypadku „Lwu”.

Dziękuję za wnikliwą lekturę „P”.
Lucyna Dyczkowska,
szef działu korekty

„Przekrój”
wydaje polecenia
kulturalne

BRAZYLIJSKI METAL W WARSZAWIE

S pecjalnie dla nich ukuty został termin „world metal”. Grupa Soulfly wyróżnia się silnym eksponowaniem elementów plemiennego południowoamerykańskiego folkloru, no i swoim charyzmatycznym liderem **Maksem Cavalerą**. Cavalerę zyskał sławę, stojąc na czele metalowego kwartetu **Sepultura**, który przez całe niemal lata 90. pozostawał najsłynniejszym muzycznym towarem eksportowym Brazylii. Pod koniec roku 1996 w wyniku kłótni z kolegami z zespołu Cavalerę postanowił opuścić grupę. I to akurat w momencie gdy po wydaniu przełomowego albumu „Roots” Sepultura sprawowała prymat w świecie ciężkiego grania. Odważne posunięcie się opłaciło – powołana do życia przez brazylijskiego muzyka nowa formacja Soulfly natychmiast zajęła miejsce Sepultury, która z nowym wokalistą Derrickiem Greenem już nigdy nie odzyskała dawnej sławy. Kierowany przez Cavalerę Soulfly ma dziś na koncie trzy albumy (ostatni „3” wydany latem ubiegłego roku) i opinię jednej z najciekawszych grup nowometalowej sceny.

(BW)

KONCERT SOULFLY
ODBEDZIE SIĘ W WARSZAWSKIEJ
STODOLE 3 LUTEGO



Soulfly

PISZCIE DO NAS – listy, kartki, e-maile. Oto nasz adres: ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa;
e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl



UTKANE
Z MITÓW
„DWIE WIEŻE”
TO BRAWUROWA
OPOWIEŚĆ
O PRAGNIENIACH
I LĘKACH
DZISIEJSZEGO
ŚWIATA

MISTERIUM TOLKIENA

Co za kontrast! Obejrzałem „Dzień świra”, bo wszyscy mówili: „Idź, zobacz”. I nawet się z myślami na dobre nie pozbierawszy, trafiłem na nocny pokaz „Dwu wież” – drugiej części „Władcy Pierścieni”. Czy mam jeszcze powiedzieć wprost, że lepiej nie mogłem trafić? Wszystkie psychiczne zadry, moralne guzy i siniaki po filmie Koterskiego znikły, jakby spoczęła na nich przeświecająca wewnętrznym blaskiem mocy dłoń Arweny, księżniczki elfów.

W polskim współczesnym filmie zobaczyłem marny koniec egoistycznej egzystencji, życie, które zamienia się we własny ściek. A następnego dnia tę sytuację pokazano mi w zwięzłej metaforze – martwe, nieruchome twarze pokonanych tkwiące pod powierzchnią bagiennych rozlewisk u wrót Mordoru, twierdzy zła. Tyle że w filmie Petera Jacksona ponad błotnistymi grobowcami szli ku swojemu celowi nieustraszeni hobbici związani węzłem przyjaźni i lojalności, gotowi do ofiar w imię dobra.

Elementarz Europejczyka

Czy zresztą „Dwie wieże” są filmem Petera Jacksona? Szczęśliwie nie. Reżyser uznał – i to czuło się już w pierwszej części, w „Drużynie Pierścienia” – że jeśli jest coś w tym maratonie filmowym do wygrania, to stawką jest wierność literackiemu pierwowzorowi. Dzieło Tolkiena to więcej niż klasika, to nawet coś więcej niż współczesny mit. Tolkien to Homer współczesności, a to oznacza dwie zasadnicze sprawy – twórca ten oddaje czytelnikowi współczesność poszerzoną o bajeczne zakorzenienie, oddaje też współczesność uporządkowaną moralnie i skomentowaną przez przedziwną mieszaninę mądrości, życzliwości i ironii.

Tolkien opowiada na nowo prawie cały europejski skarb – jest w historii o pierścieniach władających Śródziemiem i „Iliada”, i Ewangelia, i „Pieśń o Rolandzie”, jest mit Tezeusza i nordyckie mity o kowalu bogów Welandzie. Wielka opowieść skierowana jest jednak do współczesnego człowieka. Może najbardziej – do współczesnego Europejczyka. Wierność i różnorodność plemion walczących

o ocalenie ludzkości to wprowadzenie do myślenia o naszych dzisiejszych sprawach, o nakazie integracji, a także o równie ważnym nakazie zachowania tożsamości. Gdy podczas oblężenia górskiej warowni Rohanu członkowie Drużyny Pierścienia zaczynają rozmawiać w języku elfów, czujemy, że to bywali w świecie, znający języki Europejczycy.

Tak, mimo bajecznego kostiumu nawiązującego do rozmaitych epok i cywilizacji mamy tu do czynienia z filmem współczesnym. Współczesne pragnienie wspólnoty, współczesny lęk przed obcym, lęk przed wojną, lęk przed władzą nadużywającą swojej potęgi – to wszystko jest tutaj. A także odwieczna – we współczesności często zatopiona w egoizmie – potrzeba przyjaźni i miłości.

Baśń monumentalna

Jackson wiedział, że jeśli te mądrości pogubi, nie będzie mu przebaczone. Pojął, że jego rolą jest uruchomienie wiedzy technologicznej, rozpędzenie wizualnej wyobraźni, zebranie ekipy i zaufanie narracyjnemu geniuszowi

Tolkiena. W tej sytuacji filmowa adaptacja stała się właściwie wirtualną okładką do książki. Oglądając film, poznajemy treść mitu, ale przecież nie poznajemy jej do końca. Kto książkę czytał, odnajduje w ekranowych wizjach wzruszenia i myśli z lektury, kto jeszcze nie czytał, wychodzi z seansu z przeświadczeniem, że wzywa go przyjazny świat zawarty w wieloksięgu J.R.R. Tolkiena.

Charakterystyczne, że druga część filmowej opowieści różni się od pierwszej konstrukcją. Zmniejszono ciągłość i spójność narracji, za to maksymalny nacisk położono na doskonałość realizacyjną poszczególnych epizodów. Tak jakby Jackson czuł, że widzów ma już po swojej stronie, że sami złożą sobie porządek narracji, bo już pokochali hobbitów, krasnoluda Gimliego, elfa łucznika Legolasa, już są w mocy czarodzieja Gandalfa.

Zostajemy obdarowani prawdziwą ucztą wizualną – to znakomicie fotografowane nowozelandzkie krajobrazy, uroda i kunszt aktorów, a przede wszystkim wirtuozeria w użyciu efektów specjalnych i animacji komputerowej. Świat upiórów, zjaw, ohydnych wojowników zła i ich piekielnych wierzchowców, eksplodująca batalistyka i magia ogromnych przestrzeni – wszystko wali się na widza z taką hojnością, że czeka się na sceny kameralne, momenty, kiedy ak-

torzy mają szansę odpocząć od miecza, flirtować, spierać się, dzielić mądrościami.

Smak prawdziwej przygody

Składając film z wyrazistych epizodów, Jackson sprawia, że widz ma poczucie bycia w innym świecie – osobnym, suwerennym, mieniącym się różnością krajobrazów i plemion. Zarazem misja hobbita Froda, który ma zniszczyć Pierścień – źródło znieprawiającej władzy – obrasta dygresjami, poszerza nasze myślenie. Widz zostaje obdarowany poczuciem sensu przygody. To słówko z literatury młodzieżowej minionych epok dziś traci pozytywny sens. Robiłem kiedyś próbę dyskusyjno-literacką z grupką bardzo dobrze wychowanej młodzieży licealnej – dla tych biedaków słowo „przygoda” stało się synonimem przedmażeńskie doświadczenia erotycznego.

A przecież wiedzieć należy – tego uczy Tolkien – że przygoda to sytuacja próby dla człowieka, hobbita, elfa, czarodzieja, dla jego odporności emocjonalnej i siły etycznej. Przygoda to sytuacja, gdy świat staje się nowy, a ta nowość zadaje pytanie o dzielność. W tym pojęciu łączy się aktywność z roztropnością, odporność z godnością. Przygoda bywa zła, bywa przegrana – ale nawet taka staje się dobrym wspomnieniem, bo do-

brze wspomina się samego siebie dzielnie stawiającego czoło przeciwnościom.

Wspaniała jest w „Dwu wieżach” scena, w której idący przez las Frodo rozmawia z przyjacielem o tym, że kiedyś pieśni będą sławić dzieje dzielnych hobbitów z Drużyny Pierścienia. Przyjaciele są przejęci, ale zbyt skromni, aby swoją przyszłą sławę traktować bez ironii. Wiedzą – pieśń ich pochwali. Nie ma w nich jednak pychy, raczej wdzięczność dla losu.

Przed Frodem i Samem pomyka leśnymi wertepami swoisty „zwierzoczekoupiór”, ich przewodnik Gollum-Smeagol. Ta postać dyktująca nienawiścią „świra” jest zjawiskiem wartym osobnej recenzji. W poprzedniej części stwór ledwie mignął, tu stał się kimś o pogłębionej, pokrętej psychologii – metaforą zła i nieszczęścia, dna demoralizacji i błysków wierności. Realizacyjnie to olśniewający majstersztyk – sklejenie animacji i aktorstwa, pełen humoru pomysł plastyczny zamieniony w kogoś czy coś tak przeraźliwie nieludzkiego, człekokształtnego i ruchliwego. Jak oni to zrobili?

PIOTR WOJCIECHOWSKI

„WŁADCA PIERŚCIENI”, CZ. II „DWIE WIEŻE”,
REŻ. PETER JACKSON,
USA 2002, Warner

W drugiej części Tolkienowskiej sagi sceny bitew są przerażająco prawdziwe

Moje wielkie greckie wesele



Już jej niosą suknię z welonem – John Corbett i Nia Vardalos

McILUZZA DLA BRZYDSZYCH PAŃ

ISĆ DO KINA NA GŁOŚNY PRZEBÓJ „MOJE WIELKIE GRECKIE WESELE” TO TAK, JAKBY NA GRECKĄ SAŁATKĘ LUB SOUVLAKI WYBRAĆ SIĘ DO McDONALDA. MOŻNA SIĘ NAJEŚĆ, ALE „UCZTA” PLATONA TO NIE JEST

McDonald's nie został zresztą przywołany przypadkiem. Choć większość populacji nie uważa jego oferty kulinarnej za rozkosz dla podniebienia, zawsze jest tam tłoczno, co daje sieci gigantyczne zyski. „Moje wielkie greckie wesele” również przyniosło producentom krocie – kosztując pięć milionów dolarów, zarobiło już blisko 250 milionów. Warto więc, jak sądzę, zanalizować charakter tego zjawiska.

Producent musi najpierw projekt odpowiednio stargetować, czyli określić grupę docelową, która zechce film obejrzeć. W przypadku „Mwggw” (tytuł filmu w skrócie) są to nieatrakcyjne, samotne kobiety koło trzydziestki, którym nie udaje się życie osobiste. Kapitalizm – z jego feminizmem i emancypacją z jednej, a panseksualizmem i dyktatem młodości i urody z drugiej strony – produkuje coraz więcej takich odbiorczyń. W Stanach musi być ich mnóstwo, o czym właśnie dobitnie

świadczy wynik finansowy filmu, na który by przecież koźmi nie zaciągnął fanów gangsta rapu, mięśniactwa tudzież Tolkienowskich niziołków.

Skoro już wiemy, że istnieje ogromna rzesza ludzka, która chętnie wysupła nieco grosza na półtorej godziny iluzji, trzeba tę iluzję określić i stworzyć. W tym wypadku sprawa jest prosta – powinien się pojawić książę z bajki.

W książce „Przetrwaj najpiękniejsi” analizującej relacje damsko-męskie opisany jest mechanizm wyborów, których dokonujemy i któremu sami podlegamy. Ma podłoże estetyczne. Stojąc w kolejce do szczęścia, wszyscy szukamy piękna, ale – natura lubi być okrutna! – im kto brzydszy, tym ma dalsze miejsce w ogonku. A zatem, kiedy przychodzi czas na jego wybór, co lepszy asortyment bywa przetrzebiony i trzeba zadowalać się czymś z własnej półki.

Brzydki mężczyźni mają jeszcze szansę przesunąć się w kolejce dzięki

innym cechom, które kobiety uznają za atrakcyjne: władzy, sukcesowi, pieniądzu. Brzydkie kobiety są w gorszej sytuacji – jeśli facetów pociąga pozycja kobiety, to z pewnością nie społeczna. Więc co zrobić, by rozkochać w sobie mężczyznę atrakcyjniejszego od siebie? I tu z pomocą przychodzi Hollywood z jego iluzją za kilka dolarów.

Bohaterka filmu Toula (Nia Vardalos) to właśnie kobieta, która stoi na końcu kolejki bez szans na promocję. Z trzydziestką na karku, okularami, przetłuszczonymi włosami i sylwetką, której próżno szukać w rzeźbach Fidiasza, pracuje w restauracji u własnego ojca. Ów jegomość, przy którym nawet Forrest Gump mógłby uchodzić za intelektualistę, uważa, że wszystko, co najlepsze, świat zawdzięcza Grekom. W ogóle cała rodzina Touli jest dość straszna – wszyscy żyją na kupie, wiedząc o sobie wszystko i wtrącając się w życie innych. I w życie naszej bohaterki, która

– co należy podkreślić – mimo niedoskonałości fizycznej powłoki ma spory wdzięk i inteligencję. Wszyscy zatem się trapią, jak wydać Toule za męża.

Tymczasem w restauracji pojawia się mężczyzna piękny, wrażliwy, inteligentny i o dobrym sercu – Ian (John Corbett). Toula wstrząsa jak pałacami kreteńskimi w roku 1700 p.n.e., lecz w przeciwieństwie do nich ona nie rozpada się w gruzy, tylko zbiera w sobie. I choć Ian znika, Toula czuje, że czas poczwarki się skończył – trzeba się szykować do motylego lotu. Zapisuje się więc na kursy edukacyjne, zmienia okulary na szkła kontaktowe, a barchanowe gacie na bieliznę o głębszych wcięciach i podejmuje pracę, która daje jej większą satysfakcję niż podawanie tzatzików.

Jak w starym kawale o Żydzie – który błagał Boga, by pozwolił mu wygrać na loterii, aż wreszcie Bóg zagrzmiął zniecierpliwiony: „Ale daj mi szansę! Kup los!” – tak i w „Mwggw” pojawia się psychologiczny dogmat powtarzany do znudzenia przez Santorskich wszystkich krajów: „Tylko sam możesz odmienić swoje życie!”. Toula tak robi i zostaje nagrodzona, choć ma ciągle tę samą nadwagę i wielki nochal, tylko mocniej przypudrowany. Za tę właśnie iluzję film zgarnął już ćwierć miliarda zielonych, a to najwyraźniej jeszcze nie koniec.

Jest jeszcze coś, co – jak sądzę – czyni „Mwggw” atrakcyjnym dla opisanego przeze mnie powyżej targetu. Owe kobiety są samotne nie tylko w sferze związków z mężczyznami. Bywają samotne w ogóle. Tradycyjny model rodziny zniknął bezpowrotnie. Owszem, wyzwoliliśmy się z trudnych do zniesienia ograniczeń, jakie narzucały relacje rodzinne, ale straciłyśmy tym samym silne oparcie, jakie daje wspólnota krwi w konfrontacji ze światem. „Mwggw” pokazuje, że rodzina postrzegana wcześniej jako balast w gruncie rzeczy jest dla bohaterki niezmiernie ważna. Ze jej hałaśliwość to tak po prawdzie spontaniczność, wtrącanie się – to miłość, a zakazy – to przejaw troski. I że w gruncie rzeczy najfajniejsze, co daje rodzina, to bycie w kupie.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

Reż. JOEL ZWICK
USA 2002, Monolith Films



Lauren (Shannyn Sossamon) jest piękna i smutna

ŻYĆ SZYBKO, UMIERAĆ MŁODO

SMUTNY OBRAZ AMERYKI, PRZEWROTNY PORTRET MŁODOŚCI

Warto sprawdzić, co ma do powiedzenia druga połowa tandemu, który wstrząsnął światowym kinem. Avari, współautor wielkich sukcesów Quentina Tarantino, stawia niewesołą diagnozę współczesnej młodej Ameryce. Życie studentów prestiżowej prywatnej uczelni – młodych, pięknych i bogatych – da się streścić w trzech słowach: picie, ćpanie, spółkowanie. Avari nie ma złudzeń – ta współczesna odmiana dekadencji prowadzi wyłącznie do autodestrukcji. „Żyć szybko...” można też odczytać jako przewrotne rozprawienie się z młodością. Młodość to swego rodzaju ciężka opresja – z męczącym poszukiwaniem swego miejsca w życiu. Mogą sobie pogratulować ci, którym udało się wyjść z niej bez szwanku.

MANANA CHYB

Reż. ROGER AVARY
USA 2002, Vision



Stare przyjaciółki (Susan Sarandon, Goldie Hawn)

SIOSTRZYCZKI

WSPOMNIENIA Z MŁODOŚCI POTRAFIĄ BYĆ KŁOPOTLIWE

Kataklizmy mogą przybierać różną postać. Na przykład Goldie Hawn, która w komedii „Siostrzyczki” jako Suzette nawiedza – niby upiór z przeszłości – rezydencję pewnej statecznej niewiasty w Arizonie. A przeszłość jest tym, co akurat Lavinia (Sarandon),

żona i matka, chciałaby wymazać z pamięci. W szalonych latach 60. panie były słynnymi *groupies*, które ponoć sam Frank Zappa ochrzcił mianem Banger Sisters. W dziedzinie fotografii robiły one to, co jak najbardziej autentyczne Plaster Casters (pod honorowym patronatem skandalisty Zappy) wycinały na polu rzeźby, a raczej gipsowych odlewów. A mianowicie – uwieczniały „klejnoty” znanych muzyków. Film czysto rozrywkowy, ale dzięki znakomitej obsadzie ogląda się go z pewną grzeszną przyjemnością.

JERZY RZEWUSKI

Reż. BOB DOLMAN
USA 2002, Syrena



Ułubieńcy Hitchcocka – Grace Kelly i Cary Grant

TO CATCH A THIEF (DVD)

HITCHCOCK NIETYPOWY, BO W WERSJI FRYWOLNO-ROZRYWKOWEJ

W polskich kinach i telewizjach film pokazywano pod tytułem „Złodziej w hotelu”, o czym donoszę, bo na płycie brak na ten temat wzmianki. „Złodziej w hotelu” nakręcił Hitchcock na Lazurowym Wybrzeżu i ta przyjemna atmosfera dobrze przeniosła się na ekran. Historyjka jest blaha: bogaczom odpoczywającym w Cannes giną klejnoty. Policja podejrzewa eksławamiwacza o przezwisku „Kot”, który – by oczyścić się z zarzutów – musi odnaleźć prawdziwego winowajcę. To, co istotne, kryje się we frywolnych, pikantnie dwuznacznych gierkach słownych, jakie prowadzą między sobą bohaterowie na tle nieskazitelnych błękitów. Zwłaszcza „Kot” (Grant) i zafascynowana nim Frances (podczas realizacji tego filmu Grace Kelly poznała księcia Monako). Co jest w tych gierkach stawką, domyślą się ci, którzy skojarzą fabulkę z powiedzeniem o „skradzionym klejnocie cnoty”.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

Reż. ALFRED HITCHCOCK
USA 1954, ITI

Najkrócej

☛ **POROZMAWIAJ Z NIĄ** Miłość jest dialogiem, który trzeba podtrzymywać za wszelką cenę. Inna strona

Almodovara kolorowego i namiętnego. Reż. Pedro Almodóvar, Hiszpania 2002, Gutek Film

☛ **BEZSENNOŚĆ** Al Pacino chce spać. Przeszkadzają mu w tym białe noce i wyrzuty sumienia.

Reż. Christopher Nolan, USA 2002, Best Film

Najkrócej DVD

☛ **LEON ZAWODOWIEC** Płatny morderca i mała dziewczynka – on uczy ją strzelać, ona jego czytać.

Czyli brutalność i niewinność w jednym. Reż. Luc Besson, Francja/USA, 1994, Monolith Video

☛ **MONSUNOWE WESELE** Feeria barw, eksplozja muzyki i burza uczuć. Oj, chciałoby się zatańczyć na takim weselu.

Reż. Mira Nair, Indie/USA 2001, Gutek Film

PAMIĄTKI PO BRIT POPIE

SZTANDAROWE
BRYTYJSKIE
ZESPOŁY GITAROWE
UBIEGŁEJ DEKADY
W DWÓCH PIGUŁKACH
DLA POCZĄTKUJĄCYCH

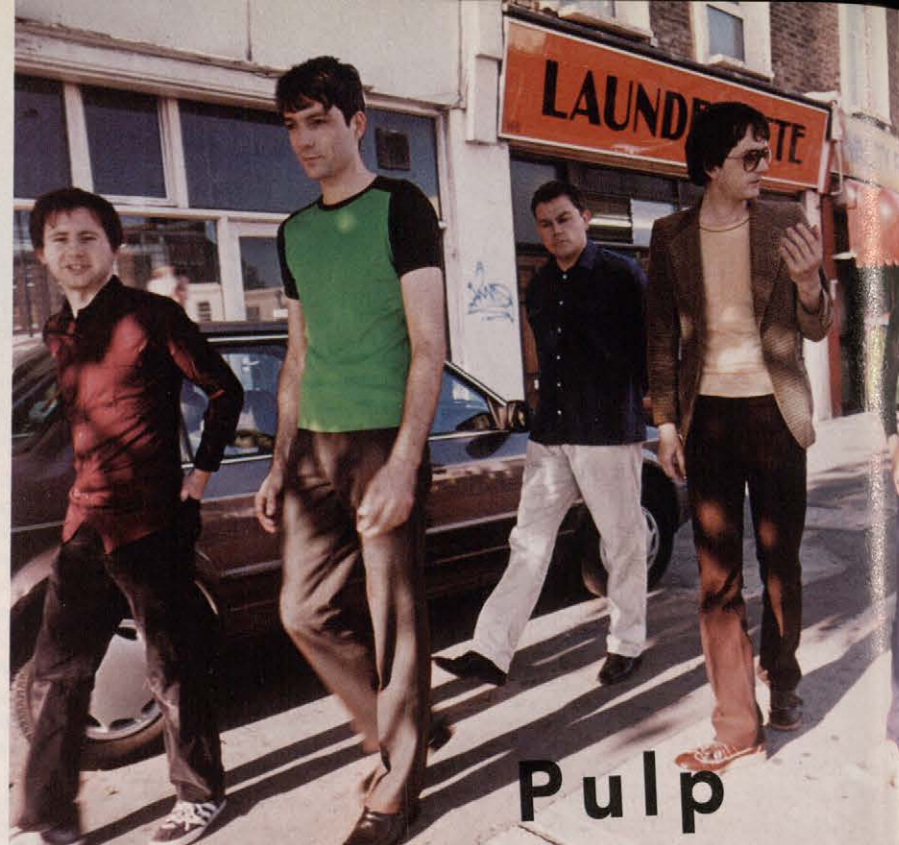
Na Wyspach dokonuje się muzyczna zmiana warty. Składanki podsumowujące działalność Pulp i Manic Street Preachers są na to kolejnym dowodem. Jeżeli dodamy do tego fatalne notowania Oasis, niedawnych bohaterów narodowych, wszystko staje się jasne. Brytyjska klasa średnia, dotychczas główny konsument brit popu – melodyjnych gitarowych produkcji w beatlesowskim stylu – odczuwa potrzebę nowości.

W połowie lat 90. Oasis albumami „Definitely Maybe” i „(What’s The Story) Morning Glory?” wskrzesili najlepsze tradycje Lennona i McCartneya. Brit pop królował. Do braci Gallagher dołączyli inni wielcy: Blur, Pulp, Manic Street Preachers, Suede, Radiohead, Elastica i dziesiątki pomniejszych kapel. Ale dzisiaj w Anglii słucha się eklektycznego The Streets albo nowojorskiego garażowego rock and rolla spod znaku The Strokes i Liars.

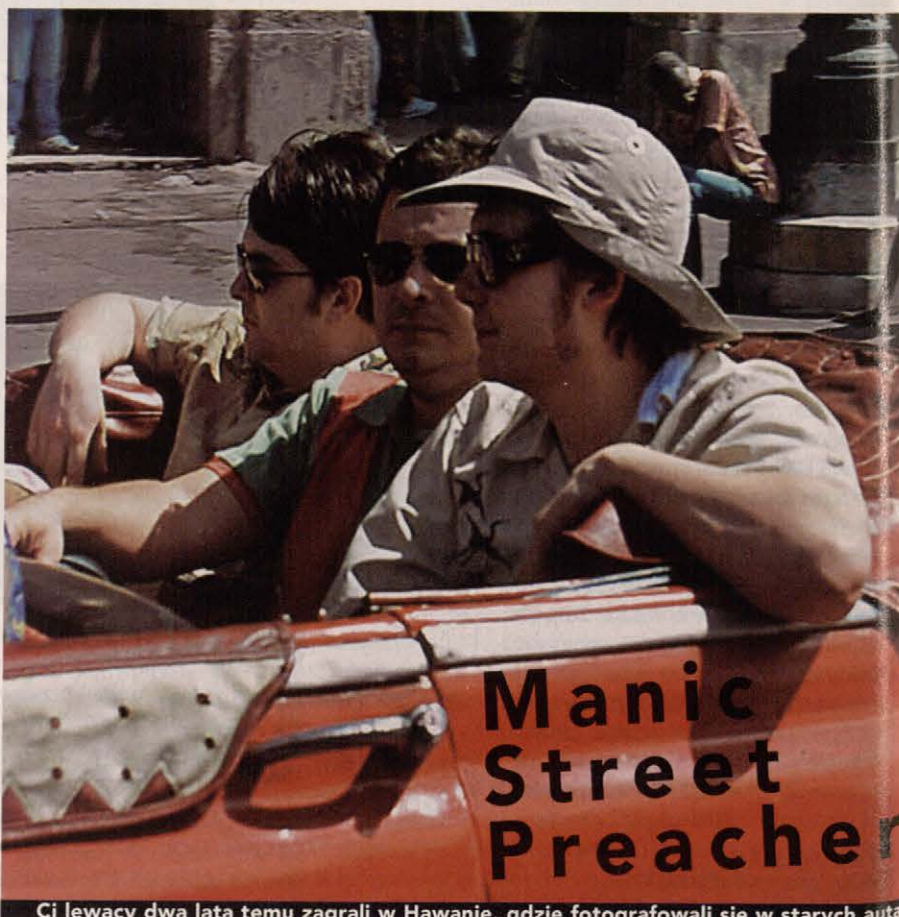
Do grona britpopowców, którzy zachowali twarz, należy Pulp prowadzony przez Jarvisa Cocker’a. Zespół jednak, choć zdobył popularność w latach 90., zaliczał się w tym gronie do weteranów.

Cocker założył grupę w Sheffield w roku 1981. Przeszedł z nią przez fascynację new romantic i popową psychodelię.

Apogeum popularności osiągnął Pulp w roku 1995 płytą „Different Class”, która stała się swoistym manifestem Brytyjczyków, a jednocześnie najbardziej eksplodującym wyznaniem Cocker’a tekściarza, inteligentnie opisującego scenki z życia klasy średniej. Po przeciętnej płycie „We Love Life” (2001) notowania zespołu wyraźnie jednak spadły, zaś wytwórnia Island postanowiła się pożegnać z muzykami. Ostatnim akcentem współpracy jest album „Hits” zestawiający największe przeboje grupy z lat 90. I jest to jedna z najlepszych



Jarvis Cocker (w okularach) – opisywacz scenek z życia klasy średniej



Ci lewacy dwa lata temu zagrali w Hawanie, gdzie fotografowali się w starych autach

składanek brytyjskich zespołów minionej dekady.

Na „Hits” jest dokładnie to wszystko, co być powinno: zgrabne, kiczowate brzmienie utworów z płyty „His’N’Hers”, hymny z „Different Class” („Common People” i „Disco 2000”), patetyczny „This Is Hardcore” oparty na efektownej formule bolera.

Jarvis Cocker wprowadził piosenkę lat 90. na wyżyny, odrywając ją od popowego schematu. Swą narracją tworzył prawdziwe opowieści, z którymi identyfikowali się odbiorcy jego tekstów (na przykład „Disco 2000” to miłosne wyznanie skierowane do dorosłej już koleżanki z dzieciństwa, z nostalgicznym opisem drobnomieszczańskiego domu owej sąsiadki).

Manic Street Preachers startowali z zupełnie innej pozycji – muzycznych rebeliantów, którzy debiutem „Generation Terrorists” (1992) chcieli wyrzucić brytyjski rynek do góry nogami. Piętnowali kapitalizm i nierówność społeczną, nacjonalizm, odwoływali się do punkrockowych, anarchistycznych ideałów (w „Repeat” skandowali: „Pieprz królową i kraj”).

Po zagadkowym – i do dzisiaj niewyjaśnionym – zaginięciu gitarzysty Richeya Jamesa grupa zwróciła się ku leższym gitarowym piosenkom pozbawionym ideowej kontestacji. Album „Everything Must Go” (1996) okazał się największym sukcesem.

Składanka „Forever Delayed”, która „pokrywa” całą działalność MSP, nie jest jednak tak udana jak Pulp. Na płycie dominuje komercyjne oblicze zespołu z drugiej połowy lat 90. Zespół wykastrowano z rebelianckich korzeni, tworząc dość jednowymiarowy portret – bo do „rewolucyjnych” nie można wszak zaliczyć ostatnich utworów spektakularnie promowanych na Kubie...

Pulp i Manic Street Preachers przeżywają wyraźny kryzys. Jarvis Cocker na łamach „Observer’a” mówił ostatnio o potrzebie dłuższego oddechu. Zamieszkał w Paryżu, założył rodzinę, oczekuje dziecka. Przewartościowanie w brytyjskiej muzyce pop stało się faktem. Ciekawe, kiedy moda na brit pop wróci, a Pulp i MSP znajdą kontynuatorów.

JACEK HAWRYLUK

MANIC STREET PREACHERS
„FOREVER DELAYED – THE GREATEST HITS”
EPIC

PULP
„HITS”
ISLAND

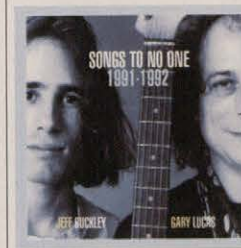
MAGIERA & L.A. – Kodex

Takiej listy gości nie miał na swoich producenckich albumach nawet DJ 600V. Zaproszenie dwóch wrocławskich magików konsolety przysłał niemal cały top rodzimej sceny hiphopowej. Do podkładów Magier i L.A. rymują więc i Fisz, i Peja, i Tede, żołnierze ciemnej strony rapowej mocy z członkami Molesty i Zipery na czele. Poza nimi między innymi O.S.T.R., Pezet, Łona i Fokus z Paktofoniki. Od ulicznych klimatów, przez klubowe bujanie, na hip hopie refleksyjnym skończywszy – wszystko, co składa się na kompendium wiedzy o dzisiejszym stanie ducha polskich adeptów sztuki rapowania. Dwójka zdolnych producentów wykazuje natomiast mistrzostwo w programowaniu beatów. Są precyzyjni, pomysłowi, otwarci nie tylko na wszelkie hiphopowe konwencje, lecz także na ragga, reggae czy soul.

BARTEK WINCZEWSKI



(T1-TERAZ)



(KNITTING FACTORY)

JEFF BUCKLEY & GARY LUCAS – Songs To No One 1991–1992

Zanim w maju 1997 roku pochłonęły go nurty Missisipi, Jeff Buckley zdążył pozostawić genialny album „Grace”. Od jego śmierci regularnie pojawiają się niepublikowane rarytasy wygrzebywane przez przedsiębiorczą matkę muzyka. Wiosną roku 1991 Jeff Buckley przyjechał z Los Angeles do Nowego Jorku, gdzie poznał Gary’ego Lucasa, byłego gitarzystę zespołu Captain Beefheart. Owoc tej współpracy to prawdziwy brudnopis pomysłów – nagrania demo, fragmenty prób, sesji radiowych, koncertów. Perlisty głos Buckleya w połączeniu z psychodelicznymi gitarowymi improwizacjami Lucasa daje niesamowite wrażenie – zwłaszcza w embrionalnych wersjach późniejszych standardów „Mojo Pin” i „Grace”. Emocje, wzruszenie i żal, że wszystko skończyło się tak szybko.

JACEK HAWRYLUK

MUZYKA GÓR – Korzenie

Program „Muzyka gór. Korzenie” został zaprezentowany w ramach Roku Polskiego w Hiszpanii (kwiecień 2002 roku), następnie zaś fonograficznie udokumentowany w Filharmonii Śląskiej. Tradycyjną muzykę góralską graną przez kapelę Jana Karpiela Bulecki i kapelę Walaśi zestawiono z kompozycjami „profesjonalnymi”, inspirowanymi folklorem. A ten pobrzmiewa w różnym nasyceniu i w II Koncercie skrzypcowym Szymanowskiego, i w Koncercie fortepianowym Góreckiego. Nie wspominając już o „Krzesanym” i „Orawie” Kilara. „Muzyka gór. Korzenie” to zapis fascynacji góralstwach, która przez cały wiek XX obecna była w twórczości polskich kompozytorów. I choć różni ich język i styl wypowiedzi, to łączy jednak bardzo wiele. I tę jedność słysząc w interpretacjach Filharmonii Śląskiej.

JACEK HAWRYLUK



GÓRCEKI, KILAR, SZYMANOWSKI
I TRADYCYJNA MUZYKA GÓRALSKA
ANNA GÓRCEKA (FORTEPIAN),
PIOTR PLAWNER (SKRZYPCE),
FILHARMONIA ŚLĄSKA, DYR.
MIROSLAW JACEK BŁASZCZYK.
KAPELE GÓRALSKIE: JANA
KARPIELA BULECKI I WALASI
(POLMUSIC)

STEREOLAB – ABC Music

Przyjemności. Podwójny album zestawia sesje zespołu Stereolab zarejestrowane dla BBC – od roku 1991 po ostatnie kompozycje sprzed dwóch lat. Evolucja przebiegała od elektronicznych eksperymentów, zabawy dźwiękiem i słowem (onomatopieiczne teksty, instrumentalne traktowanie głosu), poprzez inteligentny post rock, do avantpopowych piosenek. Muzyka jest bardziej spontaniczna od płytowych oryginałów, momentami chropowata, bliższa koncertowemu brzmieniu. Album jest również, niestety, pożegnaniem australijskiej gitarzystki i wokalistki grupy – Mary Hansen, która w grudniu zginęła w wypadku rowerowym w Londynie.

JACEK HAWRYLUK



(STRANGE FRUIT)

Koncerty 31.01 „Karol Stryja in memoriam”. Paweł Skrzypek (fortepian), Chór i Orkiestra Filharmonii Śląskiej, dyr. Mirosław J. Błaszczyk

– Brahms, Bogusławski, Strawiński – Katowice, Filharmonia Śląska 31.01 Alicja Gronau „I co wy na to? – czyli cierpienia nowego

Pirandella” – opera kameralna. Reżyseria Artur Hofman – Szczecin, Opera na Zamku

Koncerty 31.01–1.02 Kun Woo Paik (fortepian), Orkiestra FN, dyr. En Shao – Chopin, Haydn, Bartok – Warszawa, Filharmonia Narodowa

31.01–1.02 Afryka – festiwal charytatywny ska, folk, reggae (m.in. Alians, Daab, Orkiestra Na Zdrowie) – Od Nowa, Toruń 3.02 Soulfly – obecny zespół

Maksa Cavalery, ekswokalisty metalowej Sepulchry – Warszawa, Stodola 5.02 The Misfits – legenda amerykańskiego punk rocka – Warszawa, Proxima

Stefan Chwin

Autor, profesor Uniwersytetu Gdańskiego, rozwinął autentyczną historię o samobójstwie skrzywdzonej studentki

GRZECH ZANIECHANIA

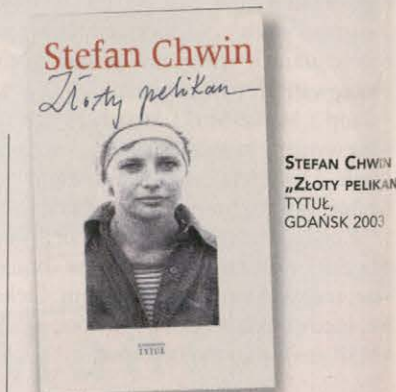
ŚWIETNA
POWIEŚĆ O
OSAMOTNIENIU
WE WSPÓŁ-
CZESNEJ
POLSCIE
POD RZĄDAMI
ZABÓJCZEJ
KOMERCJI

Po opublikowaniu „Hanemanna” i „Esther”, powieści zwracających się ku niemieckiej przeszłości Gdańska, kpiono ze Stefana Chwina, że nie jest już pisarzem polskim, lecz hanzeatyckim. I choć akcja „Złotego pelikana” także rozgrywa się w ukochanym mieście autora, nadal obsesyjnie kolekcjonującego okrucy gdańskiej historii, jego nowa powieść zdaje się aktem podpiłowania gałęzi, na której wygodnie się rozsiadł.

Oto ktoś, kto zdobył serce niemieckiego czytelnika powieścią o krzywdzie, jaka spotkała dobrego gdańszczyzanina Niemca za sprawą niedobrych Polaków, a następną książkę poświęcił modnemu tematowi żydowskiemu, wygłasza w „Złotym pelikanie” potępienie cynizmu wykorzystywania „poprawnych politycznie” te-

matów w literaturze. Atakuje Grassa („Nawet »śmierć tysięcy uchodźców« na pokładzie sławnego »Gustloff« zmieniała się w »wysoki nakład«”), Zagajewskiego, Miłosza i wszystkie „ciotki Holocaustu”. „Czy sztuka nie cukruje zbrodni, by była łatwiejsza do przełknięcia między filiżanką herbaty a magdalenką?” – pyta Chwin.

A więc precz z duchami niewiniątek! Zamiast nich pisarz otwiera nam w „Złotym pelikanie” egzystencjalną czerń duszy pojedynczego człowieka we współczesnym świecie bez Boga, miłości i przyjaźni. Najnowsza, świetna książka 53-letniego obecnie Chwina to przede wszystkim powieść o grzechu zaniechania. Oto Jakub, uniwersytecki wykładowca, lekceważący pretensje studentki o pomyłkę w ocenie na egzaminie (zapisaną tytułowym



STEFAN CHWIN
„ZŁOTY PELIKAN”,
TYTUŁ,
GDAŃSK 2003

wiecznym piórem), potrąca kamyczek uruchamiający lawinę, która skutecznie niweczy jego dotychczasowe życie. Targany wątpliwościami nie znajduje pociechy ani u żony, ani u znajomych księży zbytnio uwikłanych w ziemskie sprawy, ani u psychoterapeuty.

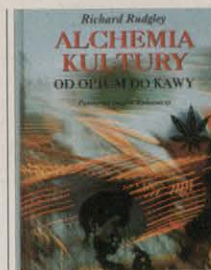
To, co potem się z Jakubem dzieje, przyrównywano już do średniowiecznej legendy o świętym Aleksym; nie zdradzając szczegółów akcji, mogę tylko

dodać, że średniowieczny wydaje się także finalny motyw dobrej śmierci w moralnym ładzie. Bo „Złoty pelikan” jest rozpaczliwym wołaniem przeciwko łatwemu życiu ograniczonemu do konsumpcji dóbr doczesnych: „Trzej Królowie o imionach Guerlain, Kenzo i Lagerfeld przynosili obietnicę, na którą czekali wszyscy”. Po Andrzej Stasiuku („Opowieści galicyjskie”) i Przemysławie Wojcieszku (film „Głośniej od bomb”) Stefan Chwin daje kolejne świadectwo zabójczej sakralizacji komercji we współczesnej Polsce.

Konieczne podkreślenie: mimo tych wszystkich marek firmowych nie wolno „Złotego pelikana” czytać dosłownie, jako powieść realistyczną. Prędzej jako powieść pod względem formalnym tendencyjną – pisarz często i wyraźnie nagina realia do fabularnej konstrukcji lub ustawia się ponad nimi. Ja na przykład w moim bloku od dwu lat obserwuję wywieszone na klatce schodowej kilkusetkrotne kwoty zaległości czynszowych lokatorów, których jakoś nikt nie eksmituje. Chwinowy Jakub już po paru miesiącach niepłacenia zostaje wyrzucony z mieszkania, choć kilkadziesiąt stron wcześniej jest ono określane jako jego „własne”. Fantazja pisarza każe dzieciakom z podstawówki spidować się na równi amfą i kokainą, co jest świadectwem absolutnej niewinności narkotykowej Stefana Chwina niewiedzącego, że na tę drugą mogą sobie pozwolić tylko gangsterzy, biznesmeni i gwiazdy telewizyjnych talk-show. Choć akcja książki rozgrywa się w realnym, współczesnym Gdańsku, z uwzględnieniem konkretnych miejsc, Jakub daje żebracze monetę o „dość dużym nominale”, a nie zwykłe dwa złote (pięć złotych, jak sądzię, nazwane zostałoby największym nominalem). Ta moneta powraca w zakończeniu książki: „gdy wyjął ją, błysnęła jak hostia. Był to ostatni obraz, jaki zapamiętał z życia”.

Świat rzeczywisty w „Złotym pelikanie” wydaje się więc raczej tworzywem, masą plastyczną formowaną w dowolny sposób wedle autorskiej woli. Ale skutki bywają zupełnie fantastyczne. Jakaż to wspaniała scena, w której Jakub, uciekając przed prześladowcami, trafia w podziemiach Gdańska do zaspanego podczas bombardowania pięćdziesiąt parę lat temu schronu, gdzie niczym w kolejowej poczekalni na ławkach siedzą martwi, uduszeni ludzie. Ta gonitwa w lochach przywołuje niewznawiane, niestety, przygodowe powieści pisane w latach 80. przez Chwina pod pseudonimem Max Lars („Człowiek litera”, „Ludzie skorpiony”). I aż żal, że obecnych „poważnych” dzieł literackich nie ilustruje on tak jak tamtych – kapitalnymi własnoręcznymi rycinami.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ



RICHARD RUDGLEY
„ALCHEMIA KULTURY.
OD OPIUM DO KAWY”,
PRZEL. EWA KLEKOT,
PAŃSTWOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY,
WARSZAWA 2002

DUCHOWY WYMIAR KAWY

DAWNIEJ UŻYWKI NIE SŁUŻYŁY WCALE ROZRYWCE

Poszukiwanie stanów odmiennej świadomości jest tak pierwotne jak potrzeba zaspokojenia głodu. Niemal wszędzie od Ameryki Południowej po daleką Syberię wykształciły się rytuały inicjacyjne i lecznicze z użyciem odurzających roślin. Jednak palenie marihuany i tytoniu, spożywanie polewki z muchomora czy zażywanie opium było we wszystkich kulturach plemiennych, a później w pierwszych rozwiniętych cywilizacjach otoczone wieloma tabu i nigdy nie służyło celom rozrywkowym. Rudgley w barwnej napisanej książce dowodzi, że współczesna kultura Zachodu traktująca substancje odurzające z taką swobodą jest wyjątkiem od reguły. Dostępność i legalność alkoholu i tytoniu, a także herbaty, kawy i kakao jest zdaniem autora uwarunkowana historycznie. A powszechne spożywanie dawno pozbawiło je znaczenia duchowego. „Alchemia kultury” to także książka dla wszystkich interesujących się egzotycznymi obyczajami i genezą niektórych wierzeń i mitów. Jeżeli chcesz wiedzieć więcej o latających dywanach, czarownicach, fajce pokoju i cygarze Winstona Churchilla, a także poznać niektóre arcyciekawe wizje hipnotyczne, sięgniesz po nią na pewno.

MARYNA BERSZ



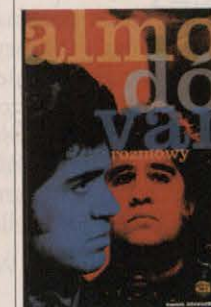
CZESŁAW MIŁOŚZ
„ORFEUSZ I EURYDYKA”,
WYDAWNICTWO
LITERACKIE, KRAKÓW 2002

ORFEUSZ MIŁOŚZ

NOWY TOM WIERSZY? I TAK, I NIE

Czytelnik, widząc w księgarni ten tomik, zapewne wykrzyknie w duchu: „O, nowy Miłosz!” – i nuże wyciągać portfel... Ale jeszcze ciekawością wiedziona otwiera książkę, zagląda... I lekka konfuzja. Cóż to, jeden wiersz? No, troszkę dłuższy niż zwykle, ale znowuż bez przesady, kilka stron druku... A dalej – ten sam wiersz, tylko po angielsku, niemiecku, rosyjsku i szwedzku. „Zaraz, zaraz, kochany WL-u – zgniewa się czytelnik. – W co ty ze mną grasz? A na cóż mi te przekłady? Za które przecież płacę ekstra, bo bez nich nijakiej książki by nie było, ale to tylko twój, WL-u, interes, nie mój. Poza tym wiersz znam, drukował go »Tygodnik Powszechny«”. I już czytelnik ma ochotę wyjść z księgarni, ale coś go wstrzymuje. „Do diabła z tym – myśli. – Przecież to Miłosz”. I bardzo dobrze, że wydawnictwo pilnie baczny na wszystko, co Miłosz napisze. Nie tylko dlatego, że noblista, że ma 92 lata, ale że wciąż jest w doskonałej formie. Warto mieć w bibliotece tę książeczkę z niewielkim poematem poświęconym Carol, niedawno zmarłej żonie Miłosza. Aluza do tytułowych bohaterów jest przejrzysta i przejmująca. Współczesny Orfeusz poeta darmo schodzi do Hadesu. Nie musi się nawet zgodzić z mitem odwracać, by zobaczyć, że Eurydyki tak czy owak za nim nie będzie. I trzeba żyć dalej. Na szczęście „pachniały zioła, trwał nisko brzęk pszczoł”. I Orfeusz znów chwyta za pióro. Tu panuje nad śmiercią.

TADEUSZ NYCZEK



„ALMODÓVAR. ROZMOWY”,
PRZEPROWADZIŁ
FRÉDÉRIC STRAUSS,
PRZEL. OSKAR HEDEMANN,
ŚWIAT LITERACKI,
IZABELIN 2003

POROZMAWIAJ Z NIM

ALMODÓVAR OPOWIADA O SWOICH FILMACH,
A NIE O SWOICH KOCHANKACH

Świetna książka. I jednocześnie wielkie rozczarowanie dla tych, którzy już na amen zaklasyfikowali Almodóvara jako „anarchistę”, „skandalistę”, „który dojrzał” itp. Bo choć hiszpański reżyser niczego nie ukrywa (mówi na przykład wprost o swojej „gejowskiej wrażliwości”), to jednak ani na moment, choćby dla żartu, nie pozwala sobie na talkshowowy ekshibicjonizm. Nie dowiemy się z tej książki, z kim Almodóvar sypiał i dlaczego pokłócił się z aktorką Carmen Maurą. Twórca pozostaje wyłącznie na obszarze twórczości, która od początku była dla niego nie szaloną zgrywą, lecz intelektualnym i estetycznym wyzwaniem. Almodóvar jest przede wszystkim wytrawnym narratorem. Autor książki Frédéric Strauss wie o tym i nie przerywa. To doprawdy rzadki dzisiaj przypadek dziennikarza, który umie słuchać. Każdy rozdział przypisano kolejnemu filmowi. Szkoda, że brakuje akurat rozmowy na temat „Drżącego ciała”, dzieła, do którego jakoś nie mogę się przekonać. Jestem pewien, że Almodóvar przekonałby mnie do niego swoim gadaniem.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

WYTNIJ, WYŚLIJ I WYGRAJ

Pomiędzy Czytelników,
którzy do 9.02.2003 r.
nadesłali kupon konkursowy,
rozlosujemy 10 egzemplarzy książki
A.S. Byatt „Cień słonca”.
Nasz adres:
Wiejska 19, 00-480 Warszawa,
z dopiskiem „Cień”

WE
WSPÓŁCZESNYM
– ZWANYM
OSTATNIM
PRZED-
WOJENNYM
TEATREM
W POWO-
JENNEJ
WARSZAWIE
– ZNÓW COŚ
DLA
WSZYSTKICH

Namiętna kobieta

Syn Mark (Piotr Adamczyk) i duch Craze (Andrzej Zieliński) przeszkadzają marzyć namiętną kobietę (Marta Lipińska)

BARDZO ŚMIESZNY SPEKTAKL

Pójście do teatru stało się ostatnio zajęciem dla prawdziwych twardej. Casy niepewne, spragnieni stawy duchowej mogą się tam narażać na mrozący krew w żyłach widok wnętrzności w kubłach, golasów różnej płci, a co gorsza różnej urody, albo na intelektualną przygodę, czyli wieczorne rozważania, co też na przykład w Szekspirowskiej „Burzy” robią trzy emerytowane łowiczanki. Możemy trafić na spektakl rozgrywany w egipskich ciemnościach i kompletnie niesłyszalny. W dodatku bez możliwości wyjścia. Dziś się gra bez przerw. Nic na to nie poradzimy, taką się ostatnio nosi modę. Na całe jednak szczęście wciąż mamy swobodę wyboru. Chcąc z niej skorzystać, warto się przejść do Teatru Współczesnego zwanego czasem „firmą przy Mokotowskiej” albo ostatnim przedwojennym teatrem w powojennej Warszawie.

Jedną ze specjalności Teatru Współczesnego jest wystawianie – obok literatury z najwyższej półki – repertuaru komediowego czy wręcz farsowego. I nie obniża to przecież rangi tej sceny. To dzięki Współczesnemu leższy

repertuar doczekał się w naszych czasach nobilitacji. To już niemal sztuka wysoka, wciąż jednak podziwiana i lubiana przez publiczność. Komedia we Współczesnym biją rekordy frekwencyjne i odsuwają w cień teatry rozrywkowe. „Jak się kochają”, „Czego nie widać” – to były wielkie przeboje ostatnich 20 lat. Nie tak dawno po 400 przedstawieniach pożegnaliśmy „Koniec początku” O’Caseya, przedstawienie, które od premiery w roku 1996 do ostatniego wieczoru gromadziło komplet publiczności. Od ponad tygodnia we Współczesnym można się śmiać na nowej sztuce – „Namiętną kobietę” Kay Mellor.

Świat na strychu

Betty, tytułowa namiętna kobieta, to odmiana Shirley Valentine – kobiety, która całe życie spędziła na domowej krzątaniu i tylko czasem, gdy nikt tego nie widzi, pozwala sobie na wspomnienie młodości, marzenia o lepszym i piękniejszym świecie. Shirley zadreślała monologami kuchenną ścianę, Betty swoim schronieniem i królestwem uczyniła strych. Marta Lipińska, która we Współczesnym

wciela się w taką właśnie housewife, od pierwszej chwili na scenie, desperackiego przeciskania się przez zbyt wąską dla siebie kłapę strychu, mechanicznego poprawiania kostiumu, wbijania się w za ciasną kieckę, groteskowych prób opóźnienia ślubu jednaka – budzi śmiech. Jest to jednak śmiech pełen czułości i zrozumienia. To jedna z najlepszych ról warszawskiego sezonu – Betty Marty Lipińskiej śmiesz, lecz także wzrusza.

Po pierwsze – rzemiosło

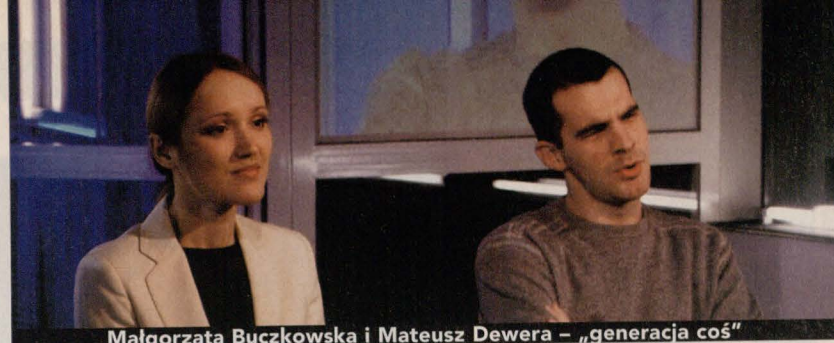
Nie od dziś wiadomo, że komedia jest znakomitą sprawdzianem możliwości aktora, zaś farsa to precyzyjny miernik tego, co umie cały zespół. Scena rozmowy Betty i jej syna Marka (w tej roli Piotr Adamczyk) z Craze’em, czyli duchem luzakiem (znów świetna rola Andrzeja Zielińskiego), to pokaz wirtuozerii scenicznego dialogu, sztuki reagowania na działania partnera. Ewolucje Piotra Adamczyka ostatkiem sił trzymającego się obłuzowanej rynn, nerwowa krzątania Krzysztofa Kowalewskiego zapewne przypomną miłośnikom kina wspinaczkę Harolda Lloyda po ścianie drapacza chmur.

Jest to wieczór i dla szeregowego widza, i dla miłośnika sztuki teatru – tej prawdziwej, nie zaś polegającej na niestannym penetrowaniu prawdziwych czy mniemanych głębi ludzkiej duszy. „Namiętna kobieta” w reżyserii Macieja Englerta przypomina starą prawdę: po pierwsze – rzemiosło, wizje nieco później. To bardzo niemodna zasada, ale warto ją stosować. Premierę nagrodzono bowiem niemiłą owacją. I nic dziwnego – na tle mizernego warszawskiego sezonu „Namiętna kobieta” – przedstawienie przecież bardzo konwencjonalne – błyszczy światłem największej mocy.

Nie brak, co prawda, malkontentów. Pewna znana aktorka, widząc entuzjazm publiczności, popatrzyła na mnie z lekkim politowaniem i powiedziała: „No cóż, w tym teatrze od 20 lat to samo”. I co na to odpowiedzieć? Chyba tylko przypomnieć starego Franca Fiszera. On to rzekł kiedyś o G.B. Shaw: „Mówią, że głądzi, ale wolę, żeby on głądził, niż ktokolwiek inny”.

TOMASZ MOŚCICKI

„NAMIĘTNA KOBIETA” KAY MELLOR,
REŻ. MACIEJ ENGLERT,
Teatr Współczesny w Warszawie



Malgorzata Buczkowska i Mateusz Dewera – „generacja coś”

LODOWATY LAMENT

GORZKI
PORTRET
MŁODEGO
POKOŁENIA
– POŻERACZY
REKLAM,
PRACÓ-
HOLIKÓW,
KOMPUTE-
ROWYCH
MANIAKÓW

Chleb powszedni” to właściwie monolog rozpisany na cztery głosy. W przeszklonym holu na piętrze wielkiego biurowca dwie dziewczyny i dwóch chłopaków siedzą grzecznie na białych krzesłkach. Czekają na casting? Mają przerwę w pracy? Jednak ktoś bez przerwy ich filmuje. Na ekranie wstawionym w jedno z okien widzimy zbliżenia ich twarzy – typowych przedstawicieli „generacji nic”. Bohaterami sztuki Danckwart są żalśni ludzie, którzy spowiadają się z tego, że nie mają się z czego spowiadać. Umieszczeni w szklanej klatce sami stali się przezroczystości, przewidywalni, stereotypowi. Otoczeni setkami gadżetów, pośród szyb i ekranów snują swoje opowieści o samotności, prezentują urywki emocji. Trawi ich obsesja czystości, asertywności, sukcesu. Reżyser świetnie prowadzi czwórkę młodych aktorów, zeszlórocznych absolwentów krakowskiej PWST: Ewę Brainer, Malgorzatę Buczkowską, Marcina Tyrola, Mateusza Dewerę, ukazując z ich pomocą, jak bardzo się zmienił wymiar pewnych podstawowych wartości. W świecie Danckwart cierpienie to niemożność kupienia ulubionego produktu. Szczęście – samotny wieczór przed telewizorem. Miłość – fotka atrakcyjnej kobiety na ekranie komputera.

Kolejny udany test nowej estetyki Miśkiewicza – chłodnej, oczyszczonej z liryzmu, moralnego osądu, erudycyjnych popisów. Wydarzenie.

ŁUKASZ DREWNIAK

„CHLEB POWSZEDNI” GESINE DANCKWART,
REŻ. PAWEŁ MIŚKIEWICZ, Teatr Polski we Wrocławiu



Pijak (Marek Litewka – z prawej) czeka na swoją chwilę

ZAŚLUBINY ZE ŚMIERCIĄ

ŚMIGASIE-
WICZ
ODCZYTUJE
ARCYDZIEŁO
GOMBRO-
WICZA
W KONWEN-
CJI SNU
O ŚLUBIE,
KTÓRY
ZMIENIA SIĘ
W POGRZEB

W założeniu reżysera Henryk kona w malignie porzucony na którymś z pól bitewnych II wojny światowej. Wszystko, co mu się przydarza, to próba pożegnania świata, który umiera wraz z nim. Stąd właśnie oniryczny, wolno sączący się rytm przedstawienia, odrealnione postaci, które pojawiają się wokół przywołującego ich bohatera jak duchy odprowadzające na tamtą stronę. Pochyla, osuwająca się w grób podłoga, podświetlone jasnością rozcięcia w czerni spowijającej tył sceny, kamienie wypadające z rąk postaci to znaki nieuchronnej śmierci, która obejmuje Henryka, sączy się do jego ucha wraz z głosem Pijaka: „Człowieku, jesteś martwy, ale żadnych zaświatów nie ma, tylko je sobie wyobrażasz. Naprawdę jesteś sam na wieczność ze swoim gnijącym, martwym ciałem”. Reżyser widzi w utworze Gombrowicza skrajnie pesymistyczny moralitet agnostyka, przez który przeprowadza zmęczzonego, pragnącego nicości Henryka – granego z pasją i wbrew tradycji tej roli przez dwudziestoparolatka Tomasza Kota. Zabicie Władzia, detronizacja Ojca to dla bohatera kolejne, nieodwołalnie przekraczane progi świadomości. W finale pogodzony ze sobą Henryk układa się do kamiennego snu. Jest sam. Nie ma z nim ani Mańki (Ewelina Starejko) pełnej neurotycznego erotyzmu, ani spiałego, niewartego spełnienia Ojca (Piotr Różański). To obok Kota najlepsze role spektaklu.

Który to już „Ślub” Śmigasiewicza? Drugi, trzeci? I która inscenizacja Gombrowicza? Dziesiąta? Piętnasta? Cieszy mnie konsekwencja reżysera w odkrywaniu tajemnic tej literatury.

ŁUKASZ DREWNIAK

„ŚLUB” WITOLDA GOMBROWICZA,
REŻ. WALDEMAR ŚMIGASIEWICZ, teatr Bagatela w Krakowie



NEANDERTALCZYK: WALKA O PRZETRWANIE

Fabularyzowany dokument. Opowieść o konkurencji *Homo sapiens* – neandertalczyku, który mimo iż był silniejszy i lepiej przygotowany do zmian klimatycznych, przegrał walkę o przetrwanie. Autorzy filmu nie tylko pokusili się o zrekonstruowanie świata materialnego, który stworzył, lecz także zadali pytanie o świat duchowy: wierzenia, rytuały itp. Rzecz zrobiona z rozmachem i dbałością o detale.

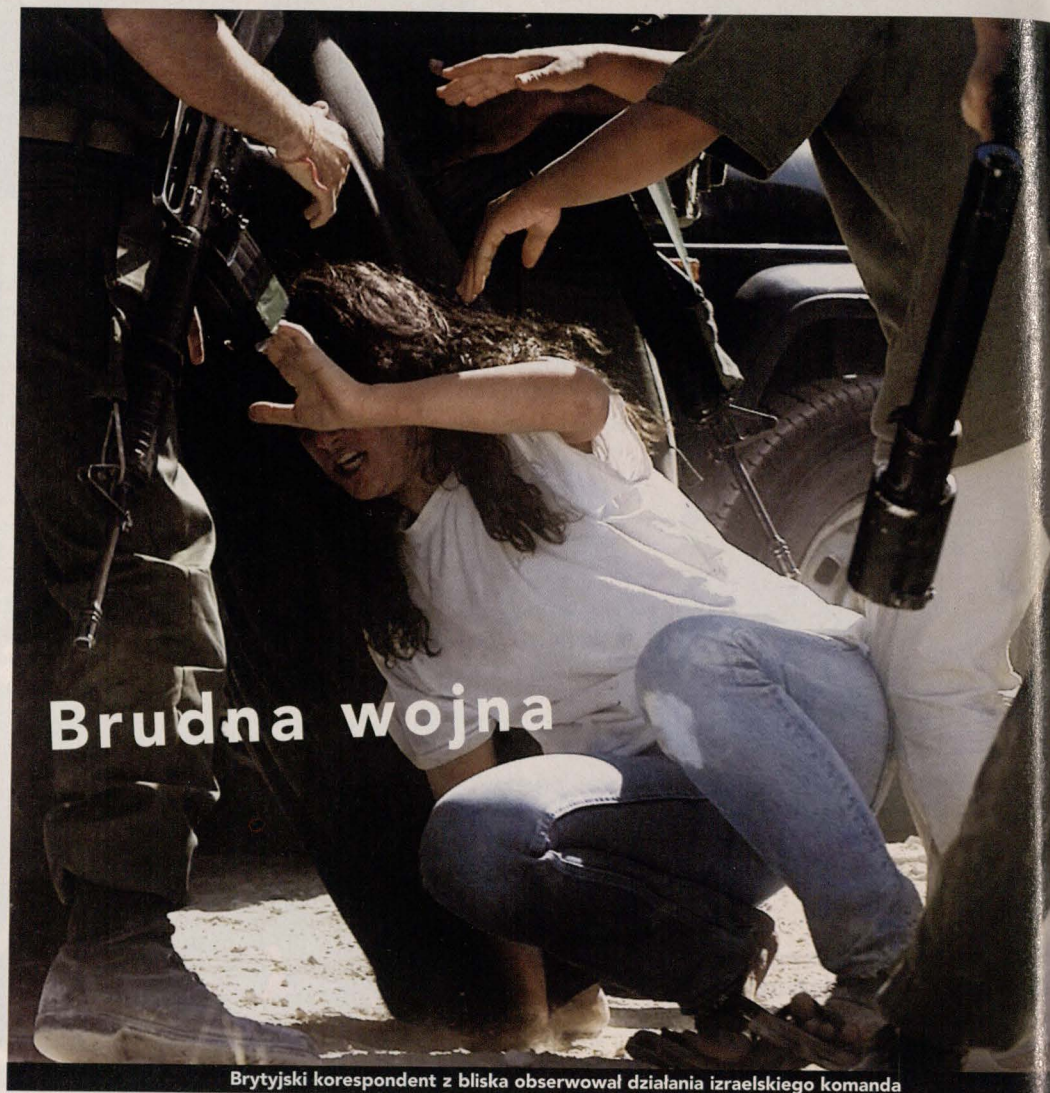
REŻ. TONY MITCHELL
POLSAT, 21.15



SZEKSPIR. WIECZÓR TRZECH FILMÓW

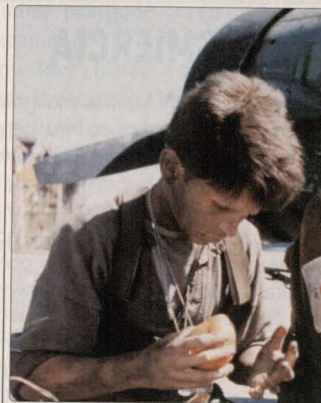
Zrobione w konwencji klasycznego hollywoodzkiego musicalu „Stracone zachody miłości” czy „Sposób na Ryszarda”, fabularyzowany dokument o przygotowaniach do wystawienia „Ryszarda III”? A może jednak szalona, popkulturowa ekranizacja „Romea i Julii” z Leonardem DiCaprio? Który z tych filmów państwu polecić? Oto jest pytanie! (Nie mogąc dokonać sensownego wyboru, polecamy wszystkie).

REŻ. KENNETH BRANAGH, AL PACINO, BAZ LUHRMANN
CANAL+, początek o 21.00



Brudna wojna

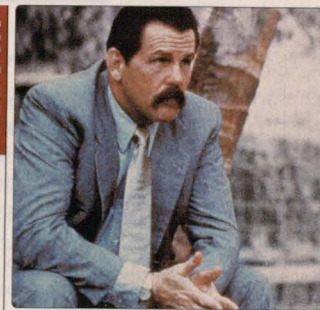
Brytyjski korespondent z bliska obserwował działania izraelskiej komanda



IMPERIUM SŁOŃCA

Jeden z najbardziej malowniczych portretów wojny autorstwa jednego z jej najwierniejszych portrecistów. W filmie, którego bohaterem jest chłopiec dorastający w japońskim obozie jenieckim, Spielberg zderza niewinność i wiarę z brutalnością i moralną degrengoladą. Czy te pierwsze zdolają się obronić?

REŻ. STEVEN SPIELBERG
TVN, 23.00



PYTANIA I ODPOWIEDZI

Policyjny. Pesymistyczna wizja świata, w którym bezpieczeństwo ludzi zależy od zdemoralizowanych, skorumpowanych rasistów zwanych policjantami. Lumet obnaża mechanizm policyjno-urzędniczo-mafijnych powiązań, które w filmie tropi młody i jeszcze „czysty” prokurator. W roli najgorszego z glin – Nick Nolte, którego spojrzenie mrozi jak grudniowa noc.

REŻ. SIDNEY LUMET
2TVP, 22.35



PRACUJĄCA DZIEWCZYNA

Komedia o ambitnej dziewczynie, której marzy się kariera w wielkiej firmie. Kasowy sukces filmu był zasługą nie tylko świetnych dialogów i dowcipu w dobrym guście, lecz także obsady, która spisała się na medal, a raczej na statuetkę, bo odtwórczyni głównych ról Melanie Griffith i Sigourney Weaver otrzymały Złote Globy. Film miał ponadto sześć nominacji do Oscara, ale nagrodzono tylko piosenkę „Let the River Run”. Jej uszczęśliwiony kompozytor Carly Simon otworzył później knajpkę w Nowym Jorku i nazwał ją oczywiście Riverrun.

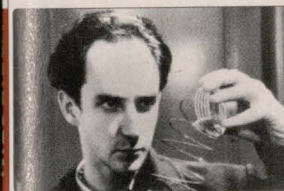
REŻ. MIKE NICHOLS
POLSAT, 20.00



FRANCUSKI ŁĄCZNIK

Klasyka kina policyjnego z rewelacyjnym Gene'em Hackmanem w roli szorstkiego gliniarza, który przejął od gangsterów brutalne metody działania. A wszystko, rzecz jasna, w imię prawa. Mocny film Friedkina oparty jest na faktach – przypomina głosną swego czasu międzynarodową aferę narkotykową, w którą byli zamieszani dyplomaci i artyści. Mocne wrażenia gwarantowane.

REŻ. WILLIAM FRIEDKIN
POLSAT, 22.00



PI

Dramat. Tytuł słusznie kojarzy się z matematyką, ale nie obawiajcie się państwo – u Aronofsky'ego więcej magii i poezji niż matematycznych łamigłówek. Bohaterem filmu jest naukowiec cierpiący na silne bóle głowy – prawdopodobnie związane z jego odkryciem, którego tajemnicę chcą poznać i maklerzy z Wall Street i talmudyści. Dziwny, specyficzny (niektórzy mówią, że „lynchowski”) klimat filmu podkreśla starannie dobrana muzyka – industrial rock i techno.

REŻ. DARREN ARONOFSKY
1TVP, 0.55



LOS ANGELES BEZ MAPY

Melodramat o miłości ponad granicami. Jego bohater, Brytyjczyk, rzuca wszystko (a nie jest tego wiele) i podąża do Kalifornii za mieszkającą tam Barbarą. Amerykańscy krytycy przecierali oczy ze zdumienia, bo nie mogli w filmie dopatrzeć się znanego im słonecznego Los Angeles. W dziele fińskiego reżysera zamieniło się ono w mgliste, melancholijne miasto.

REŻ. MIKA KAURISMAKI
2TVP, 23.40



WOODY ALLEN – ŻYCIE W FILMIE

Dokument. Wywiad z Woodym Allenem przeplatany jest fragmentami jego filmów. Mówiąc o nich, Allen nie może nie wspomnieć o sobie: „Wygłądałem na intelektualistę, bo noszę okulary i jestem drobny. Ale tak naprawdę wolę siedzieć w domu w podkoszulku, z piwem w rękę i oglądać sport w telewizji, niż płakać nad klasyczną powieścią rosyjską. Czytałem je tylko po to, by dorównać dziewczynom...”

REŻ. RICHARD SCHICKEL
ALE KINO!, 14.00



A POTEM NAZWALI GO BANDYTA

Dokument. Najślynniejszy partyzant Podhala Józef Kuraś „Ogień” widziany oczami byłych żołnierzy i ofiar. Ponieważ to film o górach i wolności, więc trochę w konwencji „na szkle malowane”. Tyle że krwią. Wszystko opowiedziane z góralską pasją. Najbardziej wstrząsające są relacje tych, którzy nadal boją się zemsty. „Przeszedł pan kiedyś przez łapy UB?” – pyta reżysera jeden z żołnierzy „Ognia” i nie pozwala sfilmować swoich zmaltretowanych 50 lat temu dłoni.

REŻ. GRZEGORZ KRÓLIKIEWICZ
1TVP, 20.15



SEKS, KŁAMSTWA I KASETY VIDEO

Obyczajowy. Nie seks i nie kasety, ale kłamstwa są głównym tematem tego filmu. Kłamią dwie siostry i mąż jednej z nich, uwikłani w trójkąt małżeński, kłamię impotent podglądacz, który niespodziewanie pojawia się w ich życiu. Pierwszy film, pierwszy sukces i pierwsza Złota Palma – i pomyśleć, że gdy to wszystko się działo, Soderbergh miał zaledwie 26 lat.

REŻ. STEVEN SODERBERGH
TV4, 22.15



KSZTAŁTY NOCY

Obyczajowy. Jeden z najgłośniejszych filmów niemieckich ostatnich lat. Narkomanka, biznesmen, imigrant z Angolii, bezdomni, romantyk – to bohaterowie melancholijnej, ale niepozawianej humoru opowieści o wydarzeniach jednej berlińskiej nocy. Będzie to noc pełna cudów – może dlatego, że w mieście właśnie gości papież?

REŻ. ANDREAS DRESEN
2TVP, 22.35



BRUDNA WOJNA

Dwuczęściowy dokument o konflikcie izraelsko-palestyńskim. W pierwszej części korespondent BBC obserwuje kilka akcji elitarniej jednostki izraelskiej działającej na terytorium Palestyny. Jej zadaniem jest rozprawianie się z terrorystami. Kolejna część przenosi nas na drugą stronę barykady; swoje racje przedstawiają ludzie organizujący krwawe zamachy. Autorem dokumentu udało się dotrzeć tam, gdzie normalnie dziennikarze nie mają wstępu, i zrobić mocny film, który na pewno nie jest kolejnym powierzchownym reportażem.

REŻ. DOMINIC ALLAN
PLANETE, 20.45



RYBKĄ ZWANĄ WANDA

Komedia, która należy do wymierającego gatunku inteligentnych. Jej temat jest wprawdzie dość banalny – kradzież diamentów – ale wykonanie do banalnych nie należy. Swój urok film zawdzięcza również rewelacyjnej obsadzie, której trzon stanowią aktorzy z „Latającego Cyru Monty Pythona”: John Cleese, Kevin Kline, Michael Palin.

REŻ. CHARLES CRICHTON
POLSAT, 21.00

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V P., 00-490 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25.
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 25 21

E-MAIL:
redakcja.przekroj@edipresse.pl

REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:
Piotr Najszub

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk, Bogna Świątkowska

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

ASYSTENTKA REDAKTORÓW NACZELNYCH:
Anna Romotowska

SEKRETARZE REDAKCJI:
Marcin Baran, Magda Gędziorowska,
Maria Świetlik (zastępca)

KULTURA:
Manana Chyb (szef), Marcel Andino Velez,
Paweł Dunin-Wąsowicz, Tadeusz Nyczek,
Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz,
Marcin Sendek, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA:
Wawrzyniec Smoczyński (szef),
Małgorzata Fiejdasz, Filip Lobodziński,
Jakub Mielnik, Magda Papuzińska, Maks Suski,
Paweł Wieczorek, Michał Wójcik

NAUKA:
Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA:
Paweł Sito (szef), Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich,
Małgorzata Łaska, Dominika Raczkowska,
Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTODZIEDYCJA:
Anna Majewska (szef), Marcin Kędryna,
Ewa Morgunow, Marek Szczepański,
Bogdan Krężel (fotograf)

KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej,
Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRODUKCJA:
Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT:
Iwona Chmielewska

EDIPRESSE
POLSKA

WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00.
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierala

WICEPREZES:
Krystyna Kaszuba

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU
I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit

DYREKTOR PUBLIC RELATIONS:
Katarzyna Bem

DZIAŁ DYSTYBUCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Marcin Fedisz (kierownik)

BIURO REKLAMY:
Andrzej Matuszczyk – dyrektor,
Artur Dudek, Bartek Kluczyński,
Adriana Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków)
Warszawa, ul. Wiejska 19,
tel. (0-prefiks-22) 584 22 95, 584 22 96
faks (0-prefiks-22) 584 22 98

Druk:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIN
PAPIER: OKŁADKA – LUMIART 90 G,
ŚRODEK – STELLA PRESS 60 G;
PRODUKENT – STORA ENSO
PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 32

PRZECZ POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZECZ RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31,
FAXS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

ARTYKUŁY NIEMĄWÓWIONYCH NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.



Dziennik z krainy

PAZŁOTKA

DOROTA MASŁOWSKA

Idzie wojna

Szanowna najjaśniejsza ciemna gwiazdo! Te imperialistyczne świnię przymierzają się do ataku na Koreę – pisze do mnie Kaziu Malinowski. Ja wiem, że moja egzystencja nie jest pełna, ponieważ w miejscach, gdzie powinien stać porządek, zdalnie sterowany telewizor z praktyczną telegazetą, jest wartość ujemna. Te miejsca w mieszkaniu, gdzie powinny wic się stosowne, chłodoodporne kable, gdzie powinny kwitnąć stosowne wojny, higieniczna, nieplamiąca krew powinna tryskać zgrabną, dobrze wymodelowaną fontanną z tętnic dwa kanały dalej niż życie codzienne kotów i psów w dzisiejszej Polsce, w te miejsca przychodzą do mnie pocztówki o wojnie.

Mam poczucie braku o charakterze nawet estetycznym, ponieważ mieszkanie, które wynajmuję, zawiera wszystkie elementy układanki: meblówkę utrzymaną w konwencji rustykalnej, tapczan z psychodelicznie barwną tapicerką, i brakuje tylko telewizji jak higienicznego narzędzia płciowego wmontowanego symetrycznie pomiędzy dwa psychodelicznie barwne fotele i wydzielającego kolorowe, bezpiecznie nieistniejące rzeczy. Moja egzystencja nie jest więc całkowicie pełna, moja egzystencja jest oceniana z dziennika telewizyjnego, są same rozmnażające się bezwstydnie kwiatki i ptaszki, i czarne paski nieistnienia względem ważnych postaci życia publicznego z gatunku Barbara Labuda i Kim Dzong Il.

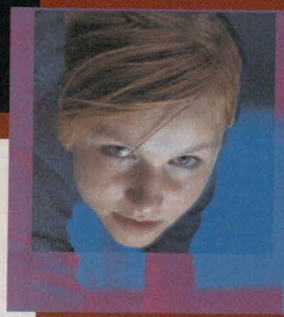
Jakub mówi, że Kim Dzong Il wygląda jak szalony naukowiec z kreskówki. Siedzi w zamku otoczony zaufanymi karatekami i miesza ze sobą kolorowe cieczy w poślach kolbach, produkuje na przemysłową skalę znaczki ze swoją twarzą do wpinania w kłapę, które już niedługo będą dostępne we wszystkich sklepach i aptekach. Dlatego kiedy ktoś mnie pyta, jak było na Paszportach, mówię szeptem, że wszystko będzie w porządku, bo powiedziałam chłopcom, żeby wyluzowali. Nikt jeszcze nie uwierzył.

Kaziu pisze: „Oś zła przebiega przez środek naszych półkul mózgowych. Rok temu śnił mi się Phenian godziny przed atakiem unice-

stwiający, chodziłem między ludźmi tak obcymi, jak tylko to możliwe. Bieda i zahukanie. Okna do mieszkań bez szaf. Do ciasnych klitek pachnących, mogę to sobie wyobrazić dokładnie, Koreańczykami, mają swój zapach, nie potrafię go porównać do żadnego, ale jak go czuję, to wiem dokładnie, co tak pachnie. To nie anioły, taki ślepek nie jestem, chujowy jest ich system społeczny, mało ma zalet, jest ich odpowiedzią na traumatyczne doświadczenie świata, Japoniec dymał okrutnie, potem jankes, oni nieufni. Oni dumni. Pamiętam wielki posąg prola, chłopki i inteligenta, gwóźdź w panoramie miasta, nad rzeką, z której tryskała para piętrową górą fontanna moloszek, ze środka rzeki. Kiedy znalazłem się w pobliżu, podszedłem pod samo pod, musiałem zobaczyć, co ona ma pod spódnicą, uda urywały się tuż pod linią tej kiecki płaszczyzną, zero cipy, zero nawet gaci, hard komunizm jest pruderyjny do bólu, nikt nie migdał się na ulicy. Jak takie bidusy konstruowały rakietę, która wyniosła na orbitę satelitę, nie mieści mi się we łbie, i już jankes sfajdał się w pory najk. Wie, że głowicę też tam można wrazić, wie, że zawiął, rozumie, że odwet byłby uzasadniony, i nie ma wpływu na przywódcę, bo to nie jakaś spleśniała demokracja, tylko uczciwa, skurwysyńska dyktatura, co jej nie można skolegować, prostytuując polityków kadencyjnych.

Co ja Ci Do wypisuję. Idzie wojna, armadidjon, nic już nie będzie takie jak przed nią, a co będzie po niej, uj wie. Amerykaniec zasiał parszywieńkie nasiona, moszcząc sobie wygodne gniazdko dobrobytu, solidnej tandety dla każdego i ćwierćboskich prerogatyw dla establiżmętów, a teraz te nasionka kielkują. I nie potrafię wygmerać w sobie współczucia dla ich pięknego państwa, co siało wojnę, gdzie popadnie, i wyciągało kartofle dla siebie cudzymi rękami. Teraz nok, nok zastukała do ich furtki, patrzy przez kamery, dzizes fakim krajst, oni już tu są!

Wszystko to dzieje się w moim życiu bezpłatnie, bez ingerencji praktycznej telewizji publicznej. Proszę państwa, szatan dzwonił, potwierdził swój udział w przyjęciu.



FOT. BOGDAN KRZEL

Daję słowo

JERZY BRALCZYK

Trzeba

Trzeba dać i to słowo. Jak **trzeba**, to dać. Mówię „**trzeba**”, kiedy postrzegam powinność albo i konieczność. Jak **trzeba**, to **trzeba**. Trudno. Siła wyższa. Jakaś zewnętrzna i mało określona. Jeżeli istnieje taka potrzeba, to **trzeba** zrobić, co **trzeba**. I najlepiej zrobić tak, jak **trzeba**. A nie byle jak. Wtedy wszystko będzie, jak **trzeba**. Na swoim miejscu. Tak, jak **trzeba**. W skrócie: jak **trza**.

Trzeba mi teraz paru przykładów, żeby to słowo z różnych stron pokazać. O, teraz to żadna siła zewnętrzna i nieokreślona, to mnie tego **trzeba**. Mam taką potrzebę. Kiedyś miałem **trzebę**, bo **trzeba** Ci wiedzieć, że „**trzeba**” była kiedyś rzeczownikiem, jak „potrzeba”, ale **trzeba** trafa, że potem przestała.

Potrąfi wyrażać szczególność uwarunkowań. **Trzeba** być specjalistą, żeby wszystkie dostrożyć. Trudne to i nie każdy może. Ale wyraża też ograniczenia i **trzeba** być bardzo ograniczonym, żeby tego nie zauważyć. I pouczenie ponieważ może wyrazić, w czasie przeszłym... Mówię wtedy: „**Trzeba** było” i jestem mądrzejszy po Twojej szkodzi. Czyli coś powinieś był. A Ty – nie. I widzisz? **Trzeba** Ci tego było?

Ale bywa i grzeczne, kiedy dziękuję, mówiąc, że nie **trzeba** było się fatorygować, albo powstrzymuję kogoś, że naprawdę nie **trzeba**. Często powtarzam to słowo, gdy nie bardzo wiem, co dalej mówić. Mówię wtedy: „**trzeba** pamiętać, że...”, „**trzeba** wziąć pod uwagę...”, „**trzeba** jeszcze dodać...”. A jak zupełnie nie wiem, to przyznaję, że **trzeba** się zastanowić. **Trzeba** się zastanawiać zawsze, ale teraz **trzeba** kończyć.



RYS. JAROSŁAW JURGA

Dziennik z placu INWALIDÓW

ZBIGNIEW MENTZEL

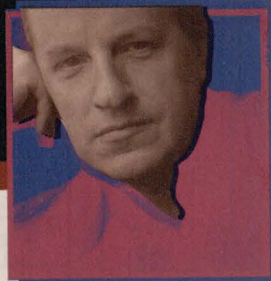
Pokrzywy na surowo

Po dwunastu latach kapitalizmu w Polsce stałam się zwolenniczką poglądu (...), że źródłem rozmaitych przejawów zła w społeczeństwie jest własność prywatna. Pogląd taki niełatwo jest dzisiaj ogłosić. „Nikt nie mógł być się spodziewać tego, że po 1989 roku (...) wolność wypowiedzi (...) zostanie poddana restrykcjom, (...) że wytworzy się u nas swoisty klimat zniewolenia cenzurą m.in. przez prywatnych właścicieli pism”.

Powyższe cytaty zaczerpnąłem z najnowszej książki profesor Marii Szyszkowskiej („Za horyzontem”, Rosner & Wspólnicy, Warszawa 2002). Autorka, której osobisty udział w stanowieniu polskiego prawa ma obecnie wymiar zarówno praktyczny (bo z ramienia So-

jusza Lewicy Demokratycznej zasiada w Senacie RP), jak teoretyczny (bo jej podręcznikowy „Zarys filozofii prawa” jest na paru uniwersytetach obowiązkową lekturą przyszłych prawników), chętnie podkreśla, że w „klimacie zniewolenia” panującym w Polsce o swe przekonania walczy, nie lękając się niczego, nawet ośmieszenia.

Wbrew pozorom nie jest to jedyna kwestia, co do której nie potrafię się z panią profesor nie zgodzić. We wspomnianej książce Maria Szyszkowska – jak zapewnia wydawca: „wybitny myśliciel”, „znakomita znawczyni filozofii” – rzeczywiście ani trochę nie lękając się śmieszności, wyraża niekiedy poglądy, które akceptuję bez wahania („Zdolność do przeżywania piękna, jak również doznań smakowych, nie-



zmiennie ubarwia nasze istnienie”) lub z drobnymi zastrzeżeniami („Głaskanie kota ułatwia powrót do równowagi psychicznej”).

Tekstem, który w książce „Za horyzontem” stanowi swoistą *summę* przemyśleń profesor Marii Szyszkowskiej, jest „Filozofia farmacji”. Jako nieszczęśliwe aptekarskie dziecko (moja rodzina znalazła się w biedzie, kiedy komuniści zabrali aptekę – prywatną własność dziadka), z ciekawością przyjąłem twierdzenie autorki, że to właśnie aptekarze „muszą zacząć pracę nad odrodzeniem duchowym naszego narodu”. Ponieważ „aptekarz pełni swoistą rolę spowiednika”, chory człowiek „przy okienku powinien mieć możliwość poufnej rozmowy. (...) Wymagałoby to dyskretnego oddalenia osób stojących w kolejce”.

Wprawdzie Maria Szyszkowska wyznaje, że ze światem medycyny nie kontaktowała się 20 lat i gabinet lekarski budzi w niej „potworny lęk”, nie ma jednak wątpliwości, że większość lekarzy grzeszy nieznajomością medycyny naturalnej i wyrządza szkodę chorym. W tej sytuacji – czytamy w „Filozofii farmacji” – „sprawą aptekarza jest (...) pełne tolerancji wskazywanie innych leków aniżeli te, które przewiduje medycyna akademicka”, a przynajmniej „korygowanie dawkowania zaleconego przez lekarza”.

Oczywiście, do pełnienia misji tak odpowiedzialnej aptekarzom potrzebny jest czas i spokój. „Wymaga to zrezygnowania z pokus, które roztaczają przedstawiciele firm farmaceutycznych” i nieprzekształcania aptek w kapitalistyczne „salony reklamowe wzniecające stan niepokoju”. Aptekarze, którym powie się wyraźnie: „Albo biznes, albo etyka”, na pewno wybiorą właściwie.

Ostatecznie, „Filozofia farmacji” profesor Marii Szyszkowskiej niewiele się różni od jej ogólnej „filozofii wszystkiego”, którą uprawia. Tu i tam podstawą okazuje się powszechna nacjonalizacja i domowe metody lecznicze. Jedną z takich metod autorka przemową w swej książce ujawnia: „Zapewniam moich Czytelników, że jadenie na wiosnę liści świeżych pokrzyw na surowo – wzmacnia siły organizmu”.

RODZINA OBŁYCH

KOT

W drodze ze szkoły syn Obły obserwuje, jak kot poluje na ptaka. Jest zaskoczony, ponieważ nigdy nie widział kota w takiej sytuacji. Nie wie, co ma o tym myśleć. Do późna w nocy Obły tłumaczą chłopakowi, że takie zachowanie jest dla kota całkiem naturalne.

– A więc to tak – rozmyśla syn Obły i kładzie się spać, ale nie zasypia. Spod koldry wylawia każdy podejrzanym szmer. Ze zmrużonymi oczami czeka – gotowy do skoku.



RYS. PAULUS MAZUR

PAPIER

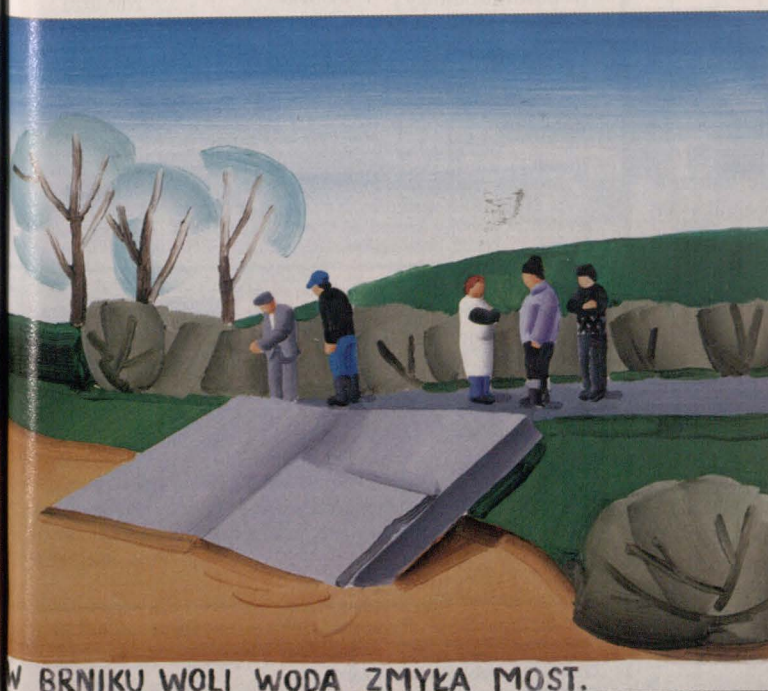
Syn Obły cały wieczór siedzi cicho w swoim pokoju. Pani Obła zaniepokojona zagląda do niego ukradkiem. Chłopak siedzi przy biurku i drze papier na małe kawałki, które pokrywają już całą podłogę.

– Co robisz?! – interweniuje pani Obła i poucza syna, że papier służy do czegoś innego. Syn Obły bierze sobie radę mamy do serca i przez resztę wieczoru zapisuje kilkadziesiąt stron różnymi słowami. Parę kartek pokrywa rysunkami. A potem wszystko drze.

PATRYK PAJAK

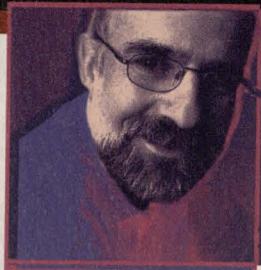
MACIEJOWSKI

ĆWIERĆ STRONY GRATIS



©MARCIN MACIEJOWSKI

W BRNIKU WOLI WODA ZMYŁA MOST.

W I N N Y
B I E Ń C Z Y K

MAREK BIŃCZYK

Uwaga, na rynku pojawiły się fałszywe petrusy

Prasa informuje, oczy widzą. Prasa informuje o tysiącach podróbek zegarka Patek zmiążdżonych przez walec na ulicy w Zurychu, o hektolitrach fałszywych perfum Diora puszczonech z dymem przez urząd do ścigania. Oczy widzą na łóżkach polowych i innych meblach naszych miast imitację butów Adidas czy koszulek Nike. Nie bez dumy pragnę donieść, że podrabianie wkroczyło też pełną gębą do świata win, by siać w nim nieufność i wzbudzać niepewność niczym wąż w raj, niczym Pruszków w Warszawie.

I nie chodzi mi bynajmniej o wulgarne fałszerstwa polegające na dolewaniu win z Południa do burgundów, co zdarzało się nagminnie; chodzi o majstersztyki, wykwinne oszustwa w stylu Arsène'a Lupina.

Niedawno francuską prasę wstrząsnęło odkrycie fałszywych petrusów (przypomnę: to jedno z najdroższych win) z wielkich roczników '82, '89 i '90. Spółka handlowa, która, jak to się pięknie mówi, weszła w ich posiadanie, a konkretnie kupiła je od podmiotu indywidualnego, straciła sto tysięcy euro. Podmiot ów, rzeźnik paryski, wygrał dużą sumę w kasynie Enghien i nabył petrusy od innego podmiotu grającego obok w ruletkę, który to podmiot, szef wielkiej drukarni, nabył je od trzeciego podmiotu, niejakiego Jacques'a poznanego w supermarkecie Carrefour przy półce z winami; u tego ostatniego policja znalazła etykiety wielu słynnych bordeaux.

Etykiety fałszować jest najłatwiej. Na podrobionych petrusach była jaśniejsza

Wykwintne oszustwa

niż oryginalna i nieco grubszej faktury. Fałszowano również cynową kapsułkę na szyjce, umieszczone na niej godło nie było dość wypukłe. Fałszywa była sama butelka; nie nosiła na dole oznaczenia VOA będącego skrótem nazwy wytwórni pracującej dla Petrusa. Podrobiono wreszcie korek, na którym nie dość zręcznie odcisnięto nazwę.

Spółka zaalarmowana przez klienta angielskiego wysłała butelkę do Château Pétrus. Właściciele potwierdzili oszustwo. Mimo to spółka poprosiła o ekspertyzę sądową. Tym razem analizie poddano zawartość. Stwierdzono, że owszem, bukiet podrobionych win jest przyjemny, lecz przebiega w nim zbyt wyraźna nuta kakao. Ponadto w ustach brak finezji, finał jest zbyt krótki i suchy. Eksperti wyrazili opinię, że wina powstały w gorącym miejscu, być może w hiszpańskiej Tarragonie, i że dominują w nich owoce grenache, szczepu w Bordeaux nieobecnego.

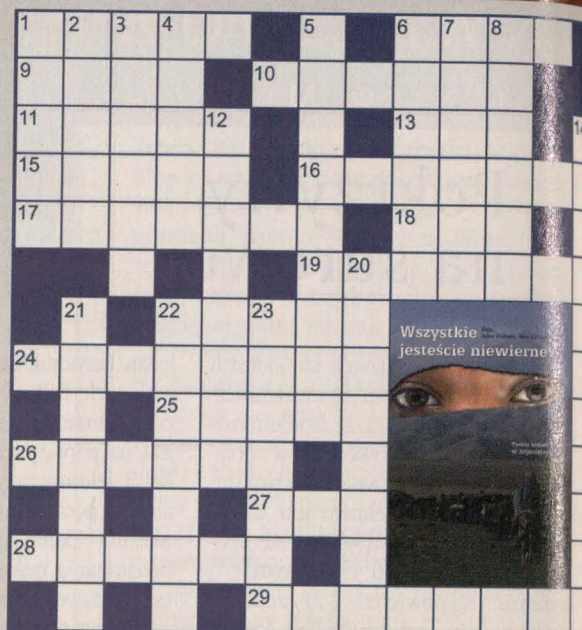
Zaufanie koneserów do starych petrusów bardzo się skurczyło. Dziś trudno jest sprzedać roczniki '82 i '90. Właściciele Petrusa zapowiadają wprowadzenie zabezpieczeń. Już począwszy od rocznika '96, na górze butelki widnieje wygrawerowana nazwa wina. Teraz ma być wprowadzona nowa, niemożliwa do podrobienia kapsułka oraz opracowany system rozpoznawania rocznika przy użyciu cezu 137.

Tyle mego raportu. Jednym (tym, co mają) niech służy ku przestrodze, drugim (tym, co nie mają) niech niesie pocieszenie. Mnie zaś niech służy tej jeszcze myśli: cokolwiek powiedzieć, przyjemnie jest być podrabianym. Co sława to sława! Ach, żeby ktoś tak zaczął wreszcie fałszować me kroniki, podrabiać metafory, siać wśród czytelników niepewność jak Pruszków w Warszawie!



Prawdziwy wiejski burgund Irancy 1999 Thierry Richoux, 57 złotych, sklepy Nicolas

KRZYŻÓWKA nr 5



POZIOMO:

1. ministerstwo łagodzenia „wszcząsów”
6. ciasto z marchewką
9. z waleń
10. „Wichry wojny” (staroż.)
11. szeroki na górze
13. szampan żalobny
15. kaprze
16. tkanina rozciągutka
17. postny dziewięty
18. trzy litery w porcie

19. niespokojnie na Spokojnym
22. wietrzny kogut
24. płaska, ale krzywa
25. w każdej komórce
26. w rogu ciemna
27. nie Willis
28. podniecająco na Spokojnym
29. je swój zawód u lekarza

PIONOWO:

1. Ukraina
2. paiek
3. zepsute miasto

4. skała pod Kościem
5. podejrzana pod budką
6. papapuga
7. oświecił świat
8. bez niej nie ma testamentu
12. kronikarz bez rączek i nóżek
14. dama, co chodzi i sprzedaje sam
20. skarbonka w bucie
21. dwójka dla żołnierza
22. słowo po Słowia
23. wypiek ku-lunarn

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 2

Poziomo:

1. kuma 5. emerytka 9. uran 10. kit 11. rata 12. inercja 15. Szekspir 17. Anna 19. rota 20. pion 21. kpina 23. pi 24. Rada 25. wiadro 26. Ikar 27. atlas 29. zbuk 31. Ryszard 32. koza 34. NIK 35. Nil 36. abrakadabra

Pionowo:

1. kurs 2. uraz 3. materialistka 4. anakonda 5. ekipa 6. Mini 7. eternit 8. tajniak 13. Capri 14. anoda 16. starszak 18. anarchista 21. kwadrans 22. PIT 28. budzik 30. brona 33. Ala

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki-karpia nr 51/52 nagrody wylosowali: Krzysztof Batorski, Tomaszów Mazowiecki; Krzysztof Drzazga, Lublin; Urszula Gaspa, Rybnik; Magdalena Hończak, Dębica; Jerzy Kaliński, Chicago; Barbara Kapała, Jarosław; Agata Kliks, Sosnowiec; Ludwika Kosmalka, Kutno; Wanda Kowalewska, Kraków; Patrycja Krawczyk, Rybnik; Zofia Krysińska-Fryc, Bielsko-Biala; Elżbieta Kurzańska, Alwernia; Barbara Lal, Rzeszów; M.W. Majczak, Tarnobrzeg; Krzysztof Malinowski, Łobez; E. Marcinkowska, Gdańsk; Helena Pęczuch, Jasionka; Doris i Tomasz Popiołkowie, Gliwice; Helena Pudelko, Oświęcim; Wanda Shinta, Pleszew; Anna Sikora, Warszawa; Maria Szewczyk, Berlin; Małgorzata Szpringer, Szczecin; Władysława Szymańska, Pleszew; Bartosz Świerdzki, Łódź; Bartosz Witczak, Świebodzin; Agata Wojtaszek, Krotoszyn; Małgorzata Woldanowska, Pabianice; Marcin Zabielski, Nowy Sącz; Aleksander Zygmunt, Katowice. Gratulujemy!

Pomiedzy Czytelników, którzy do niedzieli 9 lutego (decyduje data stempla pocztowego) nadesła poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki „Wszystkie jesteście niewierne! Piękno kobiet w Afganistanie” Zofii Johna Follaina i Ricarda Cristofari (wydawnictwo Świat Książki).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 5 lub Krzyżówka 5.

KULINARNE
PIÓRO
POLSKI

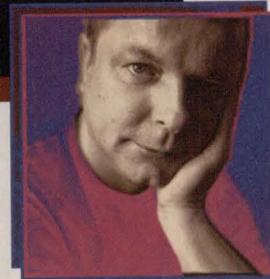
Kuchnia polska po warszawsku

Ostatnio rzadko jadłem na mieście, ale pilnie czytam recenzje z restauracji zamieszczane w stołecznej prasie – a tuż pojawi się coś zjawiskowego. Dlatego właśnie przestudiowałem publikację pod tytułem „Sztuciec Warszawski” dołączoną do „Gazety Wyborczej” 13 grudnia 2002 r. Jest to wykaz restauracji podzielony na rodzaje serwowanej w nich kuchni. Szef kuchni każdej z nich poleca kilka dań, których warto tam skosztować. Przyjrzałem się bliżej daniom polecanych przez szefów restauracji specjalizujących się w kuchni polskiej i wpadłem w głęboką depresję.

Proszę Państwa: z 61 wymienionych w „Sztuciu” restauracji o profilu polskim 24 polecają kaczkę pieczoną. Tylko 17 rekomenduje pierogi, 11 żur, 5 – sandacza. Z mniejszą częstotliwością powtarzają się: polędwica wołowa, zupa borowikowa, golonka, cielęcina z kurkami, pieczone prosię, bigos, kotlet schabowy i gicz cielęca. Wyłaniający się z tej statystyki obraz kuchni polskiej w wydaniu stołecznych restauratorów jest doprawdy ponury. Trudno bowiem o danie tak pozbawione lokalnej czy narodowej specyfiki jak kaczka pieczona. Rozumiem, że wiele z tych restauracji obsługuje głównie turystów, a ci niechętnie ryzykują – wszak rozstrój żołądka jest dla turysty większym nieszczęściem niż odciski. Turysta chętniej zamówi smaczną przecięź, atoli nudną jak flaki z olejem, kaczkę niż właśnie flaki, choćby po warszawsku, z pulpetami. Po powrocie do domu powie znajomym, że Polska jest największym producentem kaczek na półkuli północnej. I niech mu będzie. Nie chodzi mi o turystę, tylko o podejście stołecznych restauratorów do bardzo bogatej i zróżnicowanej tradycji kulinarnej, jaką mógłby się szczycić nasz kraj, gdyby troskliwiej ją pielęgnowano.

Restauratorzy stołeczni, nie znużajcie nas pieczoną kaczką!

Turysta – i nie tylko on – chętnie zjadłby salatkę z prawdziwą bryndzą zamiast fałszywego sera feta. Skosztowałby prawdziwego oscypka, do wędlin z małych masami (a nie wielkich kombinatów) zjadłby marynowanego maślaka. Smakowałaby mu



TADEUSZ PIÓRO

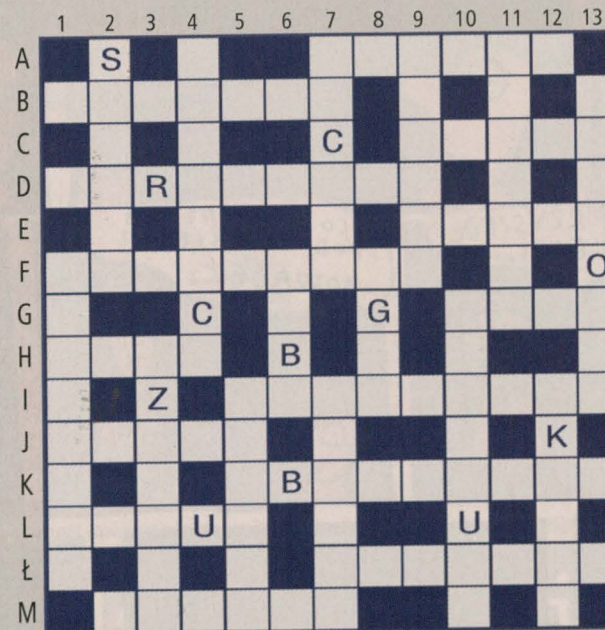
salatka z pieczonych buraków podana z wędzonymi rybami. Kto wie, może zamiast kaczki skusiłby się na kurczaka z jałowcem? A dzieciom turystów zasmakowałby kotlet mielony nie z tłustej wieprzowiny, lecz w połowie z mięsa wołowego, a po ćwierci – cielęcego i wieprzowego? Czy rybę po grecku lub kluski z makiem wolno jeść tylko w Wigilię?

W roku 1981 zdarzyło mi się zjeść obiad w restauracji hotelu Polonia. Pracował tam kelner, który nie przyjmował zamówień od gości, ponieważ sam najlepiej wiedział, co kto chce. Koło mnie usiadło trzech mężczyzn, najwyraźniej w delegacji służbowej. Kelner podszedł do nich z butelką wódki i powiedział: „Już przynoszę śledziki. Dla panów będzie psrąg, a panu podam befszyk”. I pobiegł do kuchni. Okazało się, że panowie chcieli zupę i pierogi, a nie wódkę i śledzia. A przytaczam tę anegdotę dlatego, że niektórzy restauratorzy chyba rozumują podobnie jak ten wszechwiedzący kelner. Wiemy, co lubicie, i wam to podamy. Lecz jest to droga regresu i upadku. I mam nadzieję, że podążający nią szybko się znajdą w mniejszości.

JOLKA nr 5

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

H1 - C10 - I10 - D6 - K13 / E4 - E9 / K10 - H2 - F1 - D1 - B11 / A9 - G6 - M2 - L1 - Ł8 - M12 - F7 - F11 / G13 - K8 - C2 - J5 - H8 - B6 - J7 - Ł11.



WYRAZY 9-LITEROWE:
• za nią • inaczej satyra wyraż • sklep ma dość towaru • pracochłonny stołownik

WYRAZY 8-LITEROWE:
• pierogowa płaszczyzna • pierogowa przywara • drzwi do opery • walizka z myszką

WYRAZY 7-LITEROWE:
• w taksonomii niżej niż ekipa Millera • między aktem a antraktem • napastnik głów • nie zasypia gadżetów w popiele

WYRAZY 6-LITEROWE:
• nie wieszaj na nim ważnych spraw • gwałt aut • dla tych, którym w Chanel Nr 5 jest za zimno • lądowisko w Ga-Pa

• gwóźdź zdania • forma popcornojadom obca • auto szybsze od panczenisty (podpowiedzą na Stegnach) • drwalowi potrzebna jak siekiera

WYRAZY 5-LITEROWE:
• coś dla miłośników rozwiązywania • powinność nożyc leżących na uderzonym stole • wpaść we własne – ot, pech! • niebieska imienniczka Williams

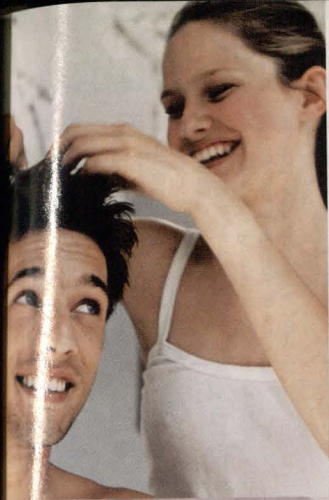
WYRAZY 4-LITEROWE:
• w Arystofanesowym terrarium • asystent młodego Frankensteina • Szalona w cieniu dwóch bardziej znanych • mułka z krasulą w szranki stają

ROZWIĄZANIE JOLKI NR 2: KTOŚ TAM W GÓRZE WYRAŹNIE MNIE LUBI (Malachiasz Constant w „Syrenach z Tytana” Kurta Vonneguta).

Rzędami: asfalt, rozpeczyny, gorycz, atelier, skunks, kraina, okres, papużki, wstrząs, skraj, unikat, narośl, urwanie, mistrz, przepiórki, kuźnia.

Kolumnami: Augustów, Sinatra, fortunat, kubel, koszmar, trzask, Twain, Ross, dzieje, kontra, spór, kleik, anemik, erupcja, ochra, żywostan, mnożnik, implozja.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 51/52 nagrody wylosowali: Małgorzata Baranowa, Kraków; Alina Flak, Czeladź; Bożena Jakubowska, Nowy Sącz; Beata Matyszkowicz, Bielsko-Biala; Mirosława Pacalawska, Łowicz; Krystyna Rodkiewicz, Gdańsk; Elżbieta Słoma, Przeworsk; Lidia Sujczyńska, Otwock; Anna Wilkoń, Rybnik; Adam Wnęk, Olsztyn. Gratulujemy!



Ogłaszamy wielki konkurs
URODY i smarta

NUMER SPECJALNY

URODA

LUTY 2003
NR 2
CENA 6,99 ZŁ
(w tym 7% VAT)
ISSN 1155-9924
druk 1200 7184

NA OKŁADCE
Justyna Steczkowska
TYLKO NAM
zdradza sekrety
zmysłowego
piękna

25 zapachów
afrodyzjaków

Co Ty wiesz
o fallusach?

Laserowe
zabiegi
na idealne ciało

OBUDŹ
W SOBIE
seksapil

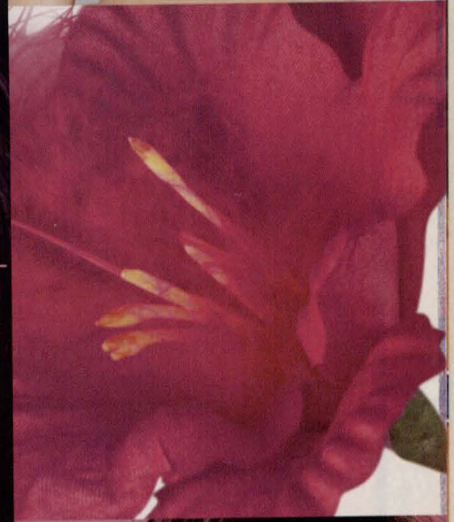
NUMER SPECJALNY

Pocałunki o smaku czekolady
Przyciągnij spojrzenia promienną cerą i świetlistym makijażem

Jak uwodzić

SUPERPORADNIK

- zmysłowy makijaż zimowy
- słodkie usta o smaku landrynek i czekolady
- zalotne spojrzenie spod sztucznych rzęs
- tajemnice seksownego buduaru
- wieczór we dwoje czyli romantyczna randka w wannie



KTO TY JESTEŚ?

POŁAK MARY
Gwiazdą dnia w telewizjach był 10 stycznia tego roku poseł Polaczek z klubu PiS. W Polsacie przedstawiony jako Janusz, w TVN – jako Marek. Wszyscy wiemy, że gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania. I właśnie to rzuca jest prawdziwe, a imię jego Jerzy.
(Ogryzda i piniągnawda BCS z Warszawy)

MYŚL!

Nie to, że boję się umrzeć, ale mimo wszystko wolę, żeby mnie nie było, kiedy to się zdarzy.
(Woody Allen)

FILUTER



PIERWSZY SEKS, PIĄTY KRZYK
Niezwągle ciekawą interpretację badań inicjacji seksualnej zaprezentował tygodnik „Wprost” (nr 2 z 2002 roku):

Inicjacja seksualna

KIEDY ROZPOCZYNAJĄ WSPÓŁCZYŃCIE

KOBIECY	MĘCZCZYŹNI
3,1%	10,2%
15,1%	14,7%
17,0%	16,5%
18,4%	17,5%
19,0%	18,3%
19,4%	18,8%
19,8%	18,8%
40-49 lat	

To, że najwięcej kobiet zaczyna seks po czterdziestce, jest czymś, w co przy sporej dawce dobrej woli można uwierzyć, gorzej z uznaniem faktu, że seks uprawia już ponad sto procent pań i panów.
(Nadsłał Jan S z Komorów)

HUMOR ZESZYTÓW

Bonaparte górował nad innymi niskim wzrostem.
Dużo wpływ na Mickiewicza miała Maryla Rodowicz.
Wisła, płynąc przez Żuławy, wpada w depresję.
Dalsza działalność Jacka Soplity miała miejsce pod habitem.
W zimie piękno przyrody przykryte jest śniegiem.

KINOTEATRZYK P. JURKA „SKOK” (słuchowisko sensacyjno-sportowe)

SPRAWOZDAWCA
(początkowo cicho, potem coraz głośniej):
– Kądem jest już na górze. Ma lekki wiatr z prawej strony, ale mójny nadzieje... Ruszał! Zaciągnijmy kciuki, proszę państwa! Odbicie, leci... leci, Adam, leci! O, Jezus Mariaki! Ładuje na buili Fatalny skoki! Fatalny skoki! Adama! Małaysza! Przewraca się!!!
THE END/KURTYNA



– Maską pośmiertną, panno Barrow, kopie dla wszystkich kierowników działów

Z GŁOWY...

Uzbrojeni w cierpliwość mają rozbrajające miny.
...KRZYSZTOFA BILIŃCY

KURZY BLOG (2/4)

...a Hania z naszego kurnika to weszła w wapno, co je gospodarz zostawił koło stodoły, i ma teraz białe stopki...
...się śmiejemy z niej...
...zjadłam dzisiaj dzidzownicę, dawno takiej nie jadłam – rarytas, co by tu jeszcze... aha, nowy kogut (bo stary też jeszcze jest, ale stary) walczył dzisiaj z Siwym, kocurem... włosy leciały i pióra, że hej!...
...fajny jest i podoba mi się – a jaki punktualny, ho, ho...



KAWAŁKI

– Czy to numer 555 555?
– Nie, to numer 55 55 55.
– O, to przepaszam, że panią obudziliam.
– Nie szkodzi, i tak musiałam wstać, bo ktoś dzwonił!
Psychiatra do pacjenta:
– Chyba jest pan bardzo niezdyscyplinowanym człowiekiem?
– I tak, i nie, panie doktorze...
Na budowie, podczas szkolnej wyprawki:
– Bardzo ważne jest noszenie kasków. Znalam chłopca, który nie nosił kasku. Pewnego dnia spadła mu cegła na głowę i zabiła go na miejscu. Znalam też dziewczynkę, która chodziła w kasku, i gdy spadła jej cegła na głowę, usmiechnęła się i poszła dalej.
– Na to odzywa się jasni: – Ja ją znam. Młodziak w naszym bloku. Do tej pory chodził w kasku i się usmiecha.

Konstanty Ildefons Gałczyński ZIMA Z WYPISÓW SZKOLNYCH

Któż to tak śnieżkiem prosił z niebiosów?
Dyć oczywiście pan wojewoda;
módl się, dziecińco, z całą krainą – niech Bóg mu siły doda;
śnieżku naprośzył, śnieżek poruszył doby pan wojewoda.

A któż na szybach maluje kwiaty,
czy mroz, czy mroz, dziecińco?
Nie, to rączeczną dla ciebie, zabuchno, starostą ze starością;
srebrzyste prążki, listki, gałązki dla ciebie, dziwna dziecińco.

A któż te śliczne zawiesił sopte za oknem u okapu?
Czy może także mroz niedobry swą fantastyczną łapą?
Nie, moje złoto, to referenci, podkierownicy, nadasytenci nocą nie spali, hurra! wołali, sopte poprzyklejali.

Hej, tam w Warszawie jest pan minister siwy i taki miły,
przez okno rzuca spojrzenia bystre, bo chce, by dla ciebie były zimą sopelki, śniegi i lody;
wszystkie zimowe wygody.

Jeżeli tedy sanki usłyszysz i dzwonki ich tajemnicze,
wiedz: to minister w skupionej ciszy nacisnął taki guziczek,
że sanki dwunio i gwiazdki lśnią nad miastem i nad wsią.